



STEVE PERRY

OBCY MROWISKO

Tłumaczył:
Waldemar Pietraszek

Wydawnictwo „ORION”
Kielce 1994

Tytuł oryginału ALIENS: EARTH HIVE
All rights reserved
Copyrights © 1992 by Twentieth Century Fox Film Corporation
Aliens TM © 1992 by Twentieth Century Fox Film Corporation
Cover art copyrights © 1992 Dennis Beauvais

Redaktor techniczny:
Artur Kmiecik

Wszystkie prawa zastrzeżone
For the Polish edition:
Copyrights © by: Wydawnictwo “ORION” Kielce

„Zabawne myśleć, że Bestia jest czymś, co mógłbyś upolować i zabić...”
– William Golding Władca much

*Dianie po raz kolejny;
I Patowi Dupre, bylemu harfiście
Orkiestry Symfonicznej z Denver,
Któremu zawdzięczam uratowanie
mej duszy podczas hippisowskiej jesieni
1970 roku w Baton Rouge*



1.

Nawet we wnętrzu swego grubego skafandra Billie mogła wyczuć zimno nocy docierające do ciała. Owszem, pełzacz osłaniał przed lodowatym wiatrem i mogły zabrać ze sobą jeden z przenośnych piecyków udając, że to ognisko, ale mimo to ciągle było zimno. Zrobiły wszystko co mogły. Na planecie Ferro nie było ani kawałka drewna. Nawet gdyby był jakiś, to z pewnością nie do spalenia. Drewno było w tym świecie więcej warte niż platyna o takiej samej masie. Nierealne było nawet myślenie o takim marnotrawstwie.

Mroźny wicher skowyczał jak jakaś nieszczęśliwa poczwara i ciągle uderzał swymi podmuchami w przysadzistą bryłę pełzacza. Czasem jego pieśń przechodziła w przeciągły gwizd, gdy powietrze padało pomiędzy gaśienice traktora. Powstawały przy tym zupełnie niesamowite dźwięki. Przez przetaczające się po niebie grube chmury błyskały gwiazdy, jaskrawe punkciki na tle śmiertelnie czarnej kurtyny, które lśniły jak diamenty oświetlone światłem lasera. Nawet bez chmur panował tu mrok; Ferro nie miała księżyców.

No cóż. Nie było tu zbyt wygodnie, ale przynajmniej one trzy w całej kolonii nie miały nic do zrobienia i nudziły się śmiertelnie.

- Fajnie – odezwała się Mag – Co jeszcze możemy zrobić? Zjadłyśmy już nasze zapasy, śpiewaliśmy głupie piosenki o kołku i zającu w morzu. Koniec zabawy, Carly.

Mając dwanaście lat, Mag była o rok młodsza niż Billie i Carly, i zawsze miała na ustach jakąś cierpką uwagę.

Billie wstrząsnęła się wewnątrz skafandra.

- No tak, sprytny mózdzku, co jeszcze było na tym starym dysku o biwaku w terenie?

Jak się zamkniecie, głupie kwoki, to wam powiem.

Mag chwyciła się za serce.

- Och, zabójco spryciarzy – jęknęła – Trafiałś mnie.

- Zwykle opowiada się historyjki – zakomunikowała Carly, ignorując zupełnie wygłupy koleżanki – O duchach, potworach i takie tam gówna.

- Wspaniale – stwierdziła Mag – Opowiedz nam jakąś.

Carly zaczęła snuć opowieść o wampirach i upiorach. Billie wiedziała, że jest to ściągnięte ze starego filmu. Jednak co innego oglądać obraz wideo, siedząc sobie w ciepłej kabinie, a co innego, gdy siedzi się tutaj, z dala od Głównego Budynku, pod gołym niebem, w ciemnościach. Brrr.

Uderzenia wiatru dotarły na krótką chwilę do nich i sypnęły piaskiem. Potem ucichły. Dokładnie w momencie, gdy Carly dotarła do kulminacyjnego punktu swego opowiadania.

- ... i każdego roku jeden z tych, którzy przeżyli tę straszną noc stawał się obłąkany. A teraz... Kolej na mnie!

Mag i Billie podskoczyły, gdy Carly raptownie pochyliła się ku nim. Potem wszystkie zaczęły chichotać.

- Hej, Mag. Twoja kolej.

- No tak. W porządku. To była ta stara czarownica. No, wiecie...?

W połowie jej opowiadania zaczęły spadać drobne odłamki lodu. Jeden z nich musiał trafić w przewód grzejnika, bo ten nagle rozjarzył się i zgasł. Gdy płomienie znikły jedynym źródłem światła pozostał ciekłokrystaliczny ekran pełzacza. Noc opadła na dziewczynki, a zimno i ciemności jakby zgęstniały. Główny Budynek był daleko. Znowu zaczął padać grad. Billie wstrząsnęła się nie tylko z powodu zimna.



- O, rany. Popatrzcie. Mój ojciec znowu będzie marudził, że zniszczyliśmy ten ogrzewacz. – stwierdziła Mag – Wracam do pelzacza.

- No, dalej. Kończ swoją bajeczkę.
- Wybaczcie. Zaraz odpadną mi uszy.
- Dobra. Ale musimy jeszcze pozwolić opowiedzieć coś Billie. Carly skinęła na koleżankę.
- Twoja kolej.
- Myślę, że Mag ma rację. Chodźmy do środka.
- Hej, Billie. Nie rób z nas idiotek.

Dziewczynka wzięła głęboki oddech i wydmuchnęła wielki kłęb białej pary. Przypomniały jej się sny. „Chcecie czegoś przerażającego? W porządku.”

- Dobrze. Opowiem wam coś. To były... to były takie stwory. Nikt nie wiedział skąd pochodziły, lecz pewnego dnia zjawily się na planecie Rim. Były koloru czarnego szkła, miały trzy metry długości i zęby długie jak wasze palce. Zamiast krwi w ich żyłach płynął kwas. Gdybyście zraniły jednego z nich, a krew prysnęłaby na was, wypaliłaby wam dziury aż do kości. Tak naprawdę to nie można ich było zranić, bo ich skóra była twarda jak pancerz statku międzygwiazdowego.

Wszystko co umiały robić to jedzenie i rozmnażanie się. Były jak wielkie, gigantyczne żuki. Mogły wtargnąć wszędzie. Ich zęby były twarde jak diament.

- O, kurczę – westchnęła Carly.

- Gdyby was schwytały i zabiły od razu, miałybyście szczęście – ciągnęła Billie – One starały się nie zabijać od razu i to było gorsze niż śmierć. Wciskały w ciebie swoje poczwarki. Przez przelyk. I to ich dziecko rosło w środku aż do momentu, kiedy miało wystarczająco mocne zęby, żeby wygryźć sobie drogę na zewnątrz. Przez twoje mięśnie i kości. Po prostu wyżerały ci dziurę we wnętrzościach...

- Jezu! – krzyknęła Carly.

Mag położyła rękę na piersi.

Billie czekała na jej ironiczną uwagę, lecz Mag odezwała się z wysiłkiem:

- Nie... czuję się zbyt dobrze...
- No, Mag – odezwała się Carly – to tylko zmyślona historia.
- Nie... nie... och, mój żołądek...

Billie przełknęła ślinę. Gardło miała wyschnięte na wiór.

- Mag?

- Ooo... to boli!

Dziewczynka uderzyła się w klatkę piersiową jakby usiłowała ją roztrzaskać. Nagle jej skafander wybrzuszył się w miejscu, gdzie znajdował się splot słoneczny. Wyglądało to jak pięść usiłująca wydostać się spod ubrania. Materiał zatrzaszczwał.

- Aaaa...! – krzyk Mag spłynął na Billie.
- Mag! Nie! – Billie wstała i cofnęła się do tyłu.

Wstała też Carly. Podeszła do Mag.

- Co to jest?

Skafander ponownie zatrzaszczwał. Nagle pękł. Fontanna krwi bluznęła na zewnątrz. Wytrysnęły strzępki ciała, a wężopodobny stwór rozmiarów ramienia człowieka błysną ostrymi jak igły zębami. Powoli wysuwał się z ciała umierającej dziewczynki.

Carly wrzasnęła. Nagle głos jej się załamał. Usiłowała uciec, ale monstrum wystrzeliło z Mag w jej kierunku z prędkością rakiety. Straszliwe zęby zatrzaszczwały się na krtani Carly. W świetle gwiazd krew wyglądała na czarną. Krzyk zaatakowanej przeszedł w rżenie.

- Nie! – krzyczała Billie – Nie! To był sen! To nieprawda! Tego nie było! Nie...!

Billie zbudziła się z krzykiem.



Pochylał się nad nią lekarz. Leżała na łóżku ciśnieniowym i pole siłowe przytrzymywało ją delikatnie jak wielka, czuła ręka. Szarpnęła się, ale im gwałtowniej to robiła tym silniejsze stawało się pole.

- Nie!

- Spokojnie, Billie, spokojnie! To tylko sen! Już dobrze, wszystko w porządku!

Oddech zmienił się w posapywanie. Serce jej waliło i łatwo mogła wyczuć pulsowanie w skroniach. Popatrzyła na Doktora Jerrina. Rozproszone światło ukazywało sterylnie białe ściany i sufit centrum medycznego. Tylko sen. Jak zawsze sen.

- Dam ci trochę soporyfitu... – zaczął lekarz.

Potrząsnęła głową. Pole łóżka pozwoliło na taki ruch.

- Nie. Nie trzeba. W porządku.

- Jesteś pewna?

Miał miłą twarz. Był dostatecznie stary by być jej dziadkiem. Leczył ją od lat odkąd tylko przybyła na Ziemię. Z powodu snów. Nie zawsze były takie same. Zwykle śniła o planecie Rim, o świecie, w którym się urodziła. Minęło już trzynaście lat odkąd katastrofa jądrowa zniszczyła kolonię na Rim i prawie dziesięć lat od wyjazdu z Ferro. Ciągłe prześladowały ją koszmary porywając ją w dziki i niekontrolowany galop przez długie noce. Leki nie skutkowały. Rozmowy, hipnoza, biologiczne sprzężenie zwrotne, syntetyzacja fal mózgowych – nic nie pomagała.

Nic nie mogli powstrzymać tych snów.

Lekarz pozwolił jej wstać i podejść do umywalki. Umyła twarz. Lustro pokazało jej jak wygląda. Była średniego wzrostu, szczupła i silna. Nie na darmo spędzała tyle czasu w sali ćwiczeń. Włosy, zwykle krótko obcięte, teraz sięgały ramion. Ich blado brązowy kolor przypominał prawie popiół. Bardzo jasne, błękitne oczy patrzyły z nad prostego nosa, a usta były jak włosy – nieco przyduże. Nie była to brzydka twarz, lecz nie taka, żeby przejść przez pokój dla lepszego widoku. Niebrzydka, ale naznaczona przekleństwem. Jakiś bóg musiał wziąć ją na oko. Billie chciałyby wiedzieć dlaczego.

- Na Buddę, są wszędzie wokół nas! – ryknął Quinn.

Wilks poczuł jak pot spływa mu po kręgosłupie pod zbroją z „pajęczego jedwabiu”. Światło było za słabe i ciężko było dostrzec co działo się wokół. Lampa na hełmie była gównem warta. Podczerwień też nie bardzo była przydatna.

- Przestań pieprzyć, Quinn! Uważaj na swój odcinek i wszystko będzie w porządku!

- Nie pieprz Kap, dostały Siera!

To był Jasper, jeden z komandosów. Było ich tu dwunastu w ich oddziale. Zostało czterech.

- Co mamy robić?

Wilks otaczał ramieniem dziewczynkę, w dłoni trzymał karabin. Dzieciak wrzeszczał.

- Spokojnie, kochanie – powiedział – Będzie dobrze. Wrócimy na statek, wszystko będzie dobrze.

Ellis, osłaniający tyły, zajęczał w swahili:

- Ludzie, ludzie, czym one są, do diabła?

Było to retoryczne pytanie. Nikt tego nie wiedział.

Ciepło owionęło kaprala. Powietrze było przesycone zapachem jaki wydaje padlina zbyt długo leżąca na słońcu. Tam, gdzie stwory przeszły do wnętrza przez ściany, gładki, niezniszczalny plastik pokryty był czarniawą substancją. Wyglądało to jakby jakiś szalony rzeźbiarz pokrył ściany pętlami wnętrzości. Poskręcane ścianki były tak twarde jak plaston, ale przybysze rozgrzali je jakimś, być może organicznym, środkiem. Teraz było tu jak we wnętrzu pieca, tylko wilgotniej.



Za plecami ponownie odezwał się karabin Quinna. Odgłos wystrzałów dotarł do uszu Wilksa jak stłumione echo.

- Quinn!

- Za nami jest pełno tego gówna, Kap!

- Strzelaj, żeby trafić – rozkazał kapral – Tylko tripletami! Nie mamy dość amo by ją tracić na ciągły ogień!

Dalej, z przodu, korytarz rozgałęział się, lecz drzwi ciśnieniowe opadły i zablokowały obydwa wyjścia. Błyszczące światło, sygnał dźwiękowy i komputerowy głos ostrzegały, że reaktorowi zagraża stopienie.

Musieli przebić się na zewnątrz i to szybko, żeby nie zaszlachtowały ich te bestie. Mogli też zamienić się w radioaktywny popiół. Pieprzony wybór.

- Jasper, trzymaj dzieciaka.

- Nie! – krzyknęła dziewczynka.

- Muszę otworzyć drzwi – powiedział Wilks – Jasper zaopiekuje się tobą.

Czarny komandos zbliżył się i chwycił dziecko. Przytuliło się do niego jak mała małpka do matki.

Kapral odwrócił się do drzwi. Odpiął od pasa swój plazmowy miotacz, wycelował i nacisnął spust. Białe ostrze plazmy zabłysło na długość ramienia. Skierował je dokładnie na rygiel i poruszył w jedną i drugą stronę. Zamek zrobiono z potrójnie polimeryzowanego węgla, ale nie był zaprojektowany by oprzeć się temperaturze wnętrza gwiazdy. Węgiel, bulgocząc stopił się i ściekł jak woda.

Drzwi otworzyły się.

Za nimi stało monstrum. Pochyliło się nad Wilksem, długi, uzębiony bicz wysunął się z potwornej paszczy. Ślina ociekała ze szczęk jak strużki galarety.

- O, kurwa – komandos rzucił się w prawo i instynktownie przesunął strumień plazmy. Cienka jaj linia trafiła w szyję stwora, która wyglądała na zbyt cienką by nosić niemożliwie wielką głowę. Jak coś takiego mogło w ogóle stać? To nie miało żadnego sensu...

Obce stworzenie było potężne, ale plazma jest wystarczająco gorąca by topić diamenty. Głowa odpadła i potoczyła się na podłogę. Ciągle próbowała ugryźć Wilksa, szczęki ciągle ociekały śliną i kłapały na niego. Nawet nie było wiadomo, czy to coś jest martwe.

- Ruszać się! I uważajcie, ten cholerny stwór jest ciągle niebezpieczny!

Jasper wrzasnął.

- Jasper! Co jest!

Jeden z potworów dopadł go i zmiażdżył mu głowę tak, jak kot robi to z myszą. Dziewczynka...!

- Wilks! Na pomoc! Pomocy!

Inne monstrum chwyciło dziecko i odchodziło z nim.

Kapral odwrócił się i wycelował broń. Uświadomił sobie nagle, że jeżeli trafi, prysznic z kwasu może zabić dziewczynkę. Widział już jak ta krew pożarła pancerz, który mógł wytrzymać zimno pustki kosmicznej. Obniżył lufę i wycelował w nogi potwora. Nie będzie mógł biec, jeżeli nie będzie miał stóp...

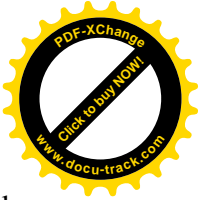
Korytarz był pełen stworów. Quinn leżał rozpruty, jego karabin ciągle strzelał automatycznym ogniem. Przeciwpancerne i burzące ładunki rozrywały monstra, trafiały w ściany. W powietrzu unosił się smród spalenizny...

Ellis przebiegał się swym miotaczem i strumień ognia wypełniał korytarz, odbijając się od obcych i spływając po ścianach...

- Na pomoc! – krzyczała dziewczynka – Proszę, pomóżcie mi!

O, Boże!

- Nie!



Wilks obudził się. Pot pozlepiał mu włosy i spływał po czole do oczu. Ubranie miał mokre. O rany.

Usiadł. Ciągle był w celi, na wąskiej pryczy. Ciemne, plastikowe ściany tkwiły na swoich miejscach.

Drzwi otworzyły się cicho. Stał w nich robot-strażnik. Dwa i pół metra wysoki, poruszał się na gąsienicach. Teraz połyskiwał w świetle więziennego korytarza. Elektroniczny głos odezwał się do więźnia:

- Kapral Wilks! Baczość!

Wilks przetaił oczy. Nawet wojskowy dryl razem z całym jego poczuciem bezpieczeństwa nie potrafił uwolnić go od koszmarów.

Nic nie powstrzyma tych snów.

- Wilks!

- Co tam?

- Do raportu w WOJKOM.

- Pieprzę to, blaszana główko. Dostałem jeszcze dwa dni.

- Sam tak chciałeś – powiedziała maszyna – Twoi wysoko postawieni przyjaciele myślą inaczej. Najwyższe czynniki chcą cię widzieć.

- Co za wysoko postawieni przyjaciele?

Jeden z innych więźniów, tłuścioch z Beneres, odezwał się:

- Jacy przyjaciele?

Wilks gapił się na robota. Dlaczego chcą go widzieć? Za każdym razem gdy szarże zaczynały grę, oznaczało to kłopoty dla żołnierza. Poczł jak skręcają mu się wnętrzności i nie było to uczucie jak po lekach. Cokolwiek to było, nie było dobre.

- Idziemy, komandosie – powiedział strażnik – Mam dostarczyć cię do WOJKOMu jak najszybciej.

- Pozwól mi najpierw wziąć prysznic i trochę się ogarnąć.

- Załatwione odmownie. Powiedzieli „jak najszybciej”.

Blizna po poparzeniach pokrywająca mu lewą połowę twarzy zaczęła nagle swędzieć. Cholera! Nie tylko źle, ale naprawdę fatalnie.

Czego oni od niego chcą?

2.

Ziemię okręażało mnóstwo odpadów.

W ciągu setki lat od czasu, kiedy został wystrzelony pierwszy satelita, beztroscy astronauta i załogi budów kosmicznych gubili śruby, narzędzia i inne części wyposażenia. Mniejsze rzeczy potrafiły poruszać się z prędkością względną piętnastu kilometrów na sekundę i mogły wybić całkiem niezłą dziurę w każdym materiale o gęstości mniejszej niż gęstość pełnego opancerzenia, a to dotyczyło także statków podróżujących z ludźmi. Nawet odprysk farby mógł spowodować wgniecenie uderzając w gładką powłokę. Chociaż były niebezpieczne dla statków, małe przedmioty spalały się na polu ochronnym. Oczywiście były to pozostałości po działaniu specjalnych robotów, które wszyscy nazywali odkurzacami.

Czasem powstawało realne niebezpieczeństwo, że jakaś wielka rzecz spadnie na ziemię. Kiedyś, na Big Island, spadła część konstrukcji statku i zabiła sto tysięcy osób oraz spowodowała, że kawa Kona stała się niezwykle rzadkością. Z powodu tego i podobnych mu incydentów ktoś w końcu zrozumiał jakim problemem są śmieci na orbicie. Zostało ustanowione prawo, że wszystkie odpady większe od człowieka mają być odnajdywane i usuwane. Została do tego powołana nowa agencja, organizacyjne prace trwały krótko i instytucja już istniała.



Z tego to powodu patrolowiec Straży Wokółziemskiej Dutton wisiał zawieszony na orbicie nad Północną Afryką. Światło gwiazd migotało na jego borowo-węglowej powłoce, a jego załoga złożona z dwóch ziewających mężczyzn zamierzała właśnie sprowadzić wrak statku kosmicznego. Komputer kontroli uszkodzeń zakomunikował właśnie, że znalezisko może rozpaść się lada moment i dlatego trzeba je natychmiast sprawdzić.

Istniała możliwość, że ktoś mógł tam obozować i po wybuchu rozpadłby się na kawałeczki wystarczająco małe dla kosmicznego odkurzacza.

- Próbnik gotowy do akcji – powiedział Ensign Lyie.

Siedzący obok kapitan patrolowca, komandor Barton, skinął głową.

- Stan gotowości... – wystrzelić próbnik.

Lyle dotknął tablicy kontrolnej.

- Próbnik wystartował. Telepomiar zielony. Wizja włączona. Sensory działają. Spalanie jednosekundowe.

Małeńki statek robota pomknął ku porzuconemu w przestrzeni frachtowcowi. Nieustannie przysyłał informacje do pozostającego coraz dalej patrolowca.

- Może jest załadowany platyną – odezwał się Lyle.

- Pewnie. Może też deszcz leje na Księżycu.

- O co ci chodzi, Bar? Nie chciałbyś być bogaty?

- Jasne. I chciałbym też spędzić dziesięć lat na zesłaniu, walcząc z potworami. Chyba, że znasz sposób jak wyłączyć niebieską skrzynkę.

Lyle zaśmiał się. Niebieska skrzynka nagrywała wszystko co działo się na patrolowcu oraz wszystkie wyniki prób. Nawet gdyby znaleziony statek był pełen platyny, nie było sposobu, żeby ukryć to przed Dowództwem. A oficerowie stamtąd nie znali okoliczności łagodzących.

- Nie. Nie znam. Ale gdybyśmy mieli parę milionów kredytek, można łatwo by wynająć kogoś, kto zna.

- Oczywiście. Twoją matkę – skwitował Barton.

Lyle zerknął na płaski ekran komputera. Był to tani sprzęt. Marynarka miała w pełni holograficzne maszyny, lecz Straż ciągle musiała posługiwać się przestarzałymi wyrobami z Sumatry. Próbnik włączył hamowanie, zbliżając się do wraku.

- No i proszę. Co my tu mamy?

Barton chrząknął.

- Popatrz na właz. Jest wybrzuszony na zewnątrz.

- Myślisz, że była eksplozja? – spytał Lyle.

- Nie wiem. Otwórzmy tę puszkę.

Lyle uderzył kilka razy w klawiaturę. Z próbnika wysunął się uniwersalny przyrząd i zniknął w zamku włazu.

- Nie mamy szczęścia. Zamek jest uszkodzony – zauważył Lyle.

- Nie jestem ślepy. Widzę to. Wysadź go.

- Miejmy nadzieję, że wewnętrzna kłapa jest zamknięta.

- No, dalej. Ten kawał złomu krąży tutaj od co najmniej sześćdziesięciu lat. Ktokolwiek znajdowałby się w środku, zmarłby ze starości. Wewnątrz nie ma w ogóle powietrza i jeżeli jakimś cudem ktoś jest w domu, to i tak siedzi w pojemniku przetrwalnikowym. Poza tym, minie około trzydziestu minut zanim ciśnienie spadnie krytycznie. Wysadzaj.

Lyle wzruszył ramionami. Dotknął klawiatury.

Próbnik przyczepił mały ładunek wybuchowy do włazu i wycofał się o kilkaset metrów. Wybuch błysnął w całkowitej ciszy i kłapa włazu otworzyła się.

- Puk, puk. Jest ktoś w domu?

- Zobaczymy. I spróbuj nie stracić tym razem próbnika.



- To nie była moja wina – bronił się Lyle – Jeden z silników hamujących był włączony.
- To ty tak mówisz.

Statek-robot wsunął się przez otwarty właz do wnętrza porzuconego statku.

- Wewnętrzna kłapa otwarta.
- Dobrze. Nie traćmy czasu. Do środka.

Halogeny próbnika zabłyśły, gdy wpłynął do wnętrza. Na ekranie komputera pojawił się alarm o skażeniu radioaktywnym.

- Trochę tam gorąco – mruknął Lyle.
- Tak, mam nadzieję, że lubisz dobrze przypieczone tosty.
- Mmm. Myślę, że ktokolwiek tam jest, zmienił się już w grzanekę. Musimy wykopać próbnik, gdy wróci.

- Jezu Chryste, popatrz na to! – powiedział Burton.

„To” było człowiekiem przepływającym tuż przed próbnikiem. Wysokie promieniowanie zabiło bakterie, które mogłyby rozłożyć ciało, a chłód zakonserwował wszystko, co próżnia wysała. Mężczyzna wyglądał jak suszona śliwka. Był nagi.

- O, Boże – jęknął Lyle – No, sprawdźmy tę ścianę z nim.

Dotknął kilku klawiszy i obraz pojaśniał i powiększył się. Coś było napisane na gładkiej powłoce. Brązowe litery głosiły: ZABIŁO NAS WSZYSTKICH.

- Cholera, czy to zostało napisane krwią? Wygląda moim zdaniem na krew.
- Chcesz zrobić analizę?
- Nigdy w życiu. Trafił nam się niezły statek.

Lyle przytaknął. Słyszeli już o takich przypadkach. Mieli nadzieję, że nigdy nie przyjdzie im otwierać podobnego. Ktoś tracił zmysły i zabijał wszystkich na pokładzie. Otwierał wyjście i pozwalał by powietrze uciekło na zewnątrz, albo wypełniał cały statek promieniowaniem, jak było w tym przypadku. Szybka, albo powolna śmierć, ale śmierć. Nieodwołalna. Lyle wstrząsnął się.

- Odszukaj terminal i zobacz czy można dotrzeć do pamięci statku. Pomiary zrobimy tutaj.

- Jeżeli tylko baterie są dobre. Oops. Popatrz na miernik.

- Widzę. Nie bardzo wierzę, ale tak jest. Nikt nie mógłby przeżyć. Nawet w pełnym ubraniu przeciwradiacyjnym ugotowałby się.

- No, jest. To zwykły transportowiec.
- Mały, przysadzisty robot leżał rozciągnięty na podłodze.
- Musieliśmy go obudzić, kiedy wysadzaliśmy drzwi.
- Tak, pewnie tak. Dawaj pamięć.

Próbnik przesunął się do tablicy kontrolnej.

- Diabli. Patrz na te dziury. Spójrz jak coś roztopiło plastik. Promieniowanie tego nie zrobiło, prawda?

- Kto wie? Czy to ważne? Po prostu zabierz pamięć i ściągaj próbnik z powrotem. Wysadzamy tego frajera. Mam dziś wieczorem randkę i nie chcę się spóźnić.

- Ty tu dowodzisz.

Próbnik podłączył się do urządzenia kontrolnego. Zasilanie statku prawie zanikło, ale było wystarczające do skopiowania pamięci.

- Popatrzmy – odezwał się Lyle – mamy tu na ekranie identyfikator statku.

- Żadna niespodzianka – powiedział Burton – Reaktor piątego typu, długo w głębokiej przestrzeni, słabe osłony, prawie martwe jądro. Nic dziwnego, że urządzili sobie taką majówkę. Tak musiało być. Zamień to w małe słoneczko. Poślij 10-CA i wracamy do domu.

Lyle dotknął ponownie kilku klawiszy. Próbnik umieścił mały ładunek nuklearny na ścianie pomieszczenia, w którym się znajdował.

- Dobra. Trzy minuty do... O, cholera!



Ekran zgasł.

- Co zrobiłeś?

- Nic nie zrobiłem. Przestała działać kamera.

- Przełącz się do pamięci. Straciliśmy kolejny próbnik i Stary przeżuje nasze dupy na miazgę.

Lyle wcisnął guzik. Komputer przejął kontrolę nad próbnikiem. Od tej chwili każdy centymetr trajektorii lotu był zapisywany w pamięci i próbnik mógł być sprowadzony z powrotem na statek.

- To proste – w chwilę później powiedział Lyle – spalił więcej paliwa niż powinien.

- Może natknął się na coś opuszczając wrak. Nieważne.

Zadokował. Zewnętrzny właz otwarty. Niech no spojrzę dlaczego ten dupek zachował się tak nieładnie – doświadczone palce Lyle'a pobiegły po klawiaturze.

- O, Jezu! – powiedział Barton.

Lyle. Spojrzał. Co to było do diabła? Jakaś rzecz siedziała na próbniku. Wyglądała jak gad, nie, jak gigantyczny żuk. Chwileczkę, to mógł być rodzaj ubioru. Nie było sposobu, żeby przeżyć w próżni bez żadnej osłony...

- Zamknij właz! – wrzasnął Barton.

- Za późno! To jest już w środku.

- Zatop grodz! Wypompuj powietrze! Wyrzuć to na zewnątrz przez te pieprzone drzwi!

Dźwięczne uderzenie przebiegło wibracją przez cały statek. Jakby młotek uderzył w metal.

- To próbuje otworzyć wewnętrzny właz!

Lyle uderzał w klawisze jak szaleniec.

- Antyrad wypełnił grodz! Włączone pompy ssące!

Ciągle słychać było uderzenia.

- Spokojnie, spokojnie. Nie wpadajmy w panikę. Nie może się dostać do środka. Nikt nie przejdzie przez borowo-węglowy właz używając do tego gołych rąk!

Coś rozdarło się. Coś głośno zadźwięczało. Potem rozległ się odgłos najbardziej przerażający astronautę: powietrze uciekało ze statku.

- Zamknij zewnętrzny właz, na miłość boską!

Lecz ciśnienie powietrza wyrwało Lyle'a z fotela. Kabina wypełniła się fruwającymi rzeczami, które były wysysane ku tylnej części patrolowca. Pióra świetlne, filizanki i kolorowe magazyny miały się dziko. Pochylił się nad tablicą kontrolną i wcisnął guzik alarmu.

Barton, także na wpół wyciągnięty ze swego stanowiska, usiłował dosięgnąć czerwonego guzika, lecz zamiast tego wcisnął przycisk, który spowodował wyłączenie kontroli komputera. Statek przeszedł na ręczne sterowanie.

Ciśnienie w kabinie spadło niemal do zera. Dziura wielkości włazu cholernie szybko pozbawiła statek powietrza. Oczy Lyle'a wyszły z orbit i zaczęły krwawić. Odpadła mu jedna z małżowin usznych. Wrzeszczał z bólu, ale oszukał przycisk kontrolujący zewnętrzną klapę.

- Mam go! Mam go!

Właz zamknął się. Włączyły się awaryjne zbiorniki powietrza. Zwiększona grawitacja wcisnęła dwójkę mężczyzn w siedzenia.

- Cholera! Cholera! – powtarzał Barton.

- Już w porządku, w porządku. Zamknięte!

- Kontrola Straży Wokółziemskiej, tu patrolowiec Dutton! – zaczął Barton – Mieliliśmy wypadek!

- Och, nie! Człowieku! – krzyknął Lyle.

Komandor odwrócił się gwałtownie.

Stwór stał opodal.



Miał zęby. Ruszył ku nim. Wyglądał na głodnego.

Barton próbował wstać, upadł i uderzył przycisk startu. Statek ciągle był na sterowaniu ręcznym. Silniki odpaliły.

Przyspieszenie rzuciło potworem w tył i wcisnęło Lyle'a i Bartona w fotele. Mimo, że oni nie mogli się nawet poruszyć, stwór jakoś potrafił wstać.

To był koszmar. Nie mogło to wydarzyć się na jawie.

Pasy bezpieczeństwa rozerwały się, gdy monstrum wyrwało Lyle'a z siedzenia. Szponiaste ręce zacisnęły się na jego ramionach. Trysnęła krew. Bestia otworzyła paszczę i wysunęło się z niej coś na kształt węża. Ruch był tak szybki, że Barton ledwo mógł dostrzec co to jest. Wąż wkręcił się w głowę ofiary jakby czaszka była zrobiona z kitu. Krew i mózg rozprysnęły się wokoło. Lyle krzyknął w ostatecznym przerażeniu.

Patrowiec, ciągle przyspieszając, skierował się prosto w stronę radioaktywnego wraka.

Monstrum wyciągnęło swą diabelską rzecz z czaszki Lyle'a. Wywołało to mlaszczący dźwięk jakby ktoś wyciągnął stopę z błota. Bestia odwróciła się do Bartona. Ten wciągnął powietrze by krzyknąć, lecz głos nigdy nie wydostał się z jego krtani...

W tym samym momencie patrolowiec uderzył w porzucony transportowiec i... nastąpiła eksplozja bomby zostawionej przez próbnik.

Obydwa statki zostały zniszczone w wyniku wybuchu. Niemal wszystko zmieniło się w drobny pył zdążający po wydłużonej spirali ku Słońcu.

Wszystko z wyjątkiem niebieskiej skrzynki.

Wilks patrzył na ekran mimo, że ten był już całkiem pusty.

Zadziwiająco jak doskonale chroniona jest niebieska skrzynka, że potrafi przetrwać tak bliską eksplozję ładunku jądrowego.

Popatrzył na robota - strażnika.

- No, dobra. Obejrzałem to sobie.

- Chodźmy – powiedziała maszyna.

Byli sami w konferencyjnej sali w kwaterze Głównej WOJKOMu. Kapral szedł z tyłu, a robot pokazywał drogę. Gdyby miał karabin mógłby zastrzelić tę blaszankę i spróbować uciec. Kiedy szli korytarzem Wilks próbował sobie poukładać to wszystko.

„To dlatego nie wyrzucono go całkowicie z Korpusu. Tylko sprawą czasu jest kolejne spotkanie ludzkości z obcymi. Nie chcieli mu wierzyć, kiedy mówił im co wydarzyło się na planecie Rim, ale prawda pochodząca z maszyn nie pozostawała wątpliwości. Mały zabieg na mózgu mógł wyrzucić wszystko z jego pamięci, lecz Korpus nigdy nie pozbywał się czegoś, co mogło okazać się użyteczne po pewnym czasie.”

Wnętrznosci skręciły mu się w zimny supeł, jakby ktoś wlał mu do brzucha ciekłego azotu. Bomba na Rim nie zniszczyła ich wszystkich. Wojskowi ponownie potrzebowali eksperta od potworów, a Kapral Wilks był nim. Prawdopodobnie nie byli uszczęśliwieni z tego powodu, lecz musieli to zrobić.

Nie cieszył się na spotkanie z nimi. Nie wyglądało to zbyt dobrze. Przeciwnie, bardzo źle.

3.

Siedziba Salvaja znajdowała się niemal dokładnie pod osłoną ogromnego reaktora w Stacji Sieci Kontrolnej Zasilania dla Południowej Półkuli. Obszar SSKZ był wystarczająco rozległy by czasami wywoływać zmiany pogody. W większości wypadków wywoływał deszcz. Przez dni i noce, ciągle, nieustannie, deszcz lał jak z cebra. Budowla została wykonana z prefabrykatów mogących przetrwać eony w warunkach stałej, wysokiej wilgotności. Szarobure ściany pięły się ku niebu, które tutaj miało prawie stale kolor ołowiu. Było to dobre miejsce na kryjówkę. Nikt tutaj nie przychodził bez powodu, nawet policja unikała deszczu.



Pindar, technik od holografii, skakał przez głębokie do kostek kałuże. Zawsze tu były, pomimo pomp wysysających nieustannie wodę. Gdyby Salvaje nie miał tak wielu pieniędzy, którymi chciał się dzielić, technik nigdy nie odwiedziłby tej przekłetej dziury. Ściany budynku pokrywała gruba warstwa pleśni i nawet specjalna farba nie potrafiła jej powstrzymać. Chodziły wieści, łatwo złapać szczep grypy, która może zabić cię zanim dotrzesz do lekarza, a nawet gdyby ci się to udało, to żaden środek nie zwalczy istniejących tutaj mutantów. Miło.

Drzwi otworzyły się trzeszcząc zawiasami i Pindar wszedł do kryjówki Salvaja.

- Spóźniłeś się – dobiegł go upiorny dźwięk zza pleców.

Technik wszedł dalej, zdjął osmotyczną powłokę, która zabezpieczała go przed deszczem i rzucił cieniutki jak pajęczyna plastik na podłogę.

- Tak, słusznie. Mam szczęście jeśli uda mi się zdrzemnąć w przerwach pomiędzy moją pracą, a tym głównym tutaj.

- Nie obchodzą mnie twoje drzemki. Płacę dobrze.

Pindar popatrzył na gospodarza. Był to zwyczajny człowiek. Średniego wzrostu, włosy utrzymywane elektrostatycznymi ładunkami, sterczały do tyłu. Nosił małą bródkę i wąsy. mógł mieć zarówno trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat; miał twarz z rodzaju tych, które nigdy się zbyt nie starzeją. Nosił gładki czarny ubiór i błyszczące buty. Technik nie wiedział jak powinien wyglądać święty człowiek, ale z pewnością nie tak jak Salvaje.

- Tam – wskazał nawiedzony.

Pindar zobaczył kamerę stojącą na stole.

- Do licha. Skąd wytrzasnąłeś taki antyk? Wygląda jak wymontowany z jakiegoś starego statku...

- Nie ma znaczenia skąd go mam. Czy potrafisz podłączyć nas do Sieci?

- Senior, mogę cię podłączyć nawet za pomocą tostera i dwóch kuchenek mikrofalowych. Jestem bardzo dobrym technikiem.

Salvaje nie odezwał się, tylko popatrzył na Pindara zimnymi szarymi oczami. Ten wzdrygnął się.

„Daj mu to czego chce” – powiedział do siebie.

- Si, mogę przesłać twój obraz, ale tylko wizję i fonię. Żadnych efektów specjalnych, żadnych poddźwięków, ani zapachów. Wyglądasz całkiem miło w porównaniu z tym co wrzuca się do WN.

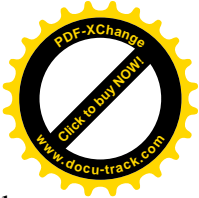
- Wielkie Nieczystości usłyszą prawdę bez żadnych trików. I zobaczą wizerunek Prawdziwego Mesjasza. To wystarczy. Uważaj!

Salvaje dotknął kontrolki starego rzutnika. Za nim pojawił się lśniący hologram.

- Madre de Dios!. – wyszeptał Pindar. Obraz miał około trzech metrów wysokości, począwszy od spiczastego ogona do wierzchołka groteskowej głowy w kształcie banana. Jeżeli to oś miało oczy to musiały się znajdować tuż za podwójnym rzędem ostrych jak igły zębów. Technik odszedł nieco na bok i dostrzegł coś co okazało się być grubymi zewnętrznymi żebrami wychodzącymi z grzbietu potwora. Wyglądało to tak, jakby jakiś bóg zażartował sobie i stworzył człekokształtnego gigantycznych rozmiarów insekta. Monstrum było czarne, może ciemno szare. Pod żadnym pretekstem nie chciałby się spotkać z czymś takim. Nie wiedział czym jest potwór, ale sądząc po wyglądzie nie jest Mesjaszem. Gotów był założyć się o całe żelazo z Pasa Asteroidów.

- Mogę włączyć cię na pięć minut – odezwał się Pindar i wskazał na stara kamerę – razem z twoim... eee... mesjaszem. Twoje pieniądze. Ale ciekaw jestem czy ktokolwiek popatrzy na to i uwierzy, że istnieje. osobiście uważam, że można to zobaczyć tylko w Hadesie.

- Nie wyrażaj sądów o czymś, czego nie rozumiesz, techniku.



Pindar wzruszył ramionami. Podłączył komputer kamery, dołączył bocznik i przygotował transmiter. Podszedł szybko do zasilacza i konsoli kontrolnej. Wystukał skradziony kod satelity komunikacyjnego. Zatrzymał się przed ostatnią cyfrą i odwrócił do Salvaja.

- Kiedy wprowadzę ostatni znak będziesz miał trzy minuty zanim WCC trafi na ślad twojego kanału. Dwie minuty później znajdą przekaźnik, który ukryłem w Madrasie, a w ciągu kolejnych dwóch minut znajdą twoją kryjówkę. Najlepiej skończyć transmisję w ciągu pięciu minut. Wmontowałem automatyczny przerywacz, który zadziała trzydzieści sekund później. Będę musiał znaleźć następny przekaźnik, jeżeli będziesz chciał znowu nadawać.

- Esta no importa – powiedział Salvaje.

Technik znowu wzruszył ramionami.

-Twoje pieniądze.

Salvaje wyciągnął rękę jakby chciał pogłaskać hologram migoczący tuż za nim. Palce przeszły przez obraz.

- Inni muszą o tym usłyszeć. Muszę im to powiedzieć.

„Głupi jak szczurze gówno” – pomyślał technik, lecz nie powiedział tego głośno.

- W porządku. Za cztery sekundy. Trzy. Dwie. Jedna.

Wprowadził ostatnią cyfrę.

Salvaje uśmiechnął się do kamery.

- Witajcie, błogosławieni poszukiwacze. Przychodzę do was z Wielkim Objawieniem. Nadchodzi Prawdziwy Mesjasz...

Pindar potrząsnął głową. Prędzej modliłby się do swego psa niż do tej przerażającej bestii, która z pewnością jest symulacją komputerową. Nic nie może wyglądać tak jak to.

Kawiarnia dla pacjentów była niemal pusta. Może z tuzin wyciszonych przez leki chorych stało w kolejce z plastikowymi tackami w rękach. Billie poruszała się we własnej chemicznej mgle. Zmęczona, lecz niezdolna do odpoczynku.

Sasha siedziała przy stoliku obok holoprojeksi i usiłowała nawinać na plastikowy widelec jakiś paskudny makaron. Stół był wystarczająco mocny by wytrzymać ciężar posiłków, ale zwinąłby się jak papierowa zabawka, gdyby ktoś próbował użyć go jako maczugi. Ktoś taki jak ona.

- Cześć, Billie – odezwała się Sasha – Popatrz na Didi. Zmienia kanały w projektorze co trzy sekundy. Dlatego myślę, że ta dziewczyna jest psychiczna!

Sasha zaśmiała się. Billie знаła jej historię. Wepchnęła swego ojca do wanny z kwasem do czyszczenia biżuterii, kiedy miała dziewięć lat. Przebywał już tutaj od jedenastu lat, bo za każdym razem, kiedy pytano ją czy zrobiła by to ponownie, odpowiadała z okrutnym grymasem, że oczywiście. Była gotowa robić to codziennie, w każdy dzień tygodnia, a w niedzielę nawet dwa razy.

Billie zerknęła na Didi. Dziewczyna wpatrywała się w projektor jak zahipnotyzowana. Hologramy połyskiwały, gdy zmieniała kanały. Nawet Didi zabierało trochę czasu obejrzenie wszystkich czterech czy pięciu setek kanałów.

- No chodź, siadaj. Spróbuj tych ciepłych rzygowin. Są naprawdę niezłe.

Billie usiadła, prawie upadła na krzesło.

- Znowu na niebieskich?

- Tym razem na zielonych – westchnęła Billie.

- Rany, co zrobiłaś? Udusiłaś pielęgniarkę?

- Sny.

Billie popatrzyła na ekran świecący przed Didi. Statek kosmiczny. Błysk. Kolumna aut na autostradzie. Błysk. Dzikie elfy. Błysk

- No, Billie – powiedziała Sashsa – Za miesiąc będziesz wiedziała co ci jest



- Tym razem nie wytrzymam, Sash. Oni sobie tego nie wyobrażają. Powiedzieli mi, że moja rodzina zginęła podczas wybuchu. Ja wiem lepiej. Byłam tam!

- Spokojnie, dzieciaku. Monitory...

- Pieprzę monitory!

Billie cisnęła talerzem przez stół, rozrzucając wokoło makaron. Elastyczne naczynie upadło na podłogę i odbiło się nie wydając prawie żadnego dźwięku.

- Potrafią wysłać statek na odległość setki lat świetlnych do innego systemu gwiazdowego, potrafią zrobić androida z aminokwasów i plastiku, ale nie potrafią uwolnić mnie od koszmarów!

Jakby w magiczny sposób pojawili się porządkowi, ale złość Billie nie mogła dłużej walczyć z chemikaliami, którymi ją nafaszerowano. Oklapła całkowicie.

Za plecami rozległ się spokojny głos Didi:

- Zatrzymać kanał

Tuż przed nią błyszczał obraz mężczyzny ze sterzcącymi w tył włosami i z maleńką bródką. A za nim stało... stało...

- ...dołączcie do nas przyjaciele – mówił głos mężczyzny w głośniku wszczepionym w kość za uszami Didi – Dołączcie do Kościoła Niepokalanego Wylęgu. Przyjmijcie ostateczną komunię. Zostańcie z Prawdziwym Mesjaszem...

Didi uśmiechnęła się, kiedy porządkowi podeszli i podnieśli Billie. Nie widziała wychodząc, Prawdziwego Mesjasza.

- Cholera, pospieszmy się!

Potem ktoś wcisnął porcję zielonego leku w tętnicę szyjną i Billie odpłynęła.

Wilks i robot dotarli do strzeżonych drzwi wiodących do Pierwszej Komórki Wywiadu w WOJKOMie. Laser kontrolny rzucił na jego oko czerwoną plamkę i zanim kaprał skończył mrugać komputer porównał wzór siatkówki i drzwi zaczęły się otwierać. Maszyna obok odezwała się:

- Wchodź. Ja poczekam tutaj.

Zrobił jak mu kazano. Czuł na sobie niewidoczne spojrzenia. Wiedział, że jest obserwowany przez komputery i prawdopodobnie również żywych strażników. Każdy jego ruch był rejestrowany. Pieprzyć to.

W korytarzu były tylko drzwi. Nie mógł zabłądzić. Otworzyły się, gdy tylko się zbliżył. Wszedł. Wewnątrz nie było nic prócz owalnego stołu, przy którym zmieściłoby się dwanaście osób i trzech krzeseł. Da były zajęte. W jednym siedział pełny pułkownik lotnictwa. Żadnych odznaczeń bojowych. Biurkowy pilot. Mógł być dowódcą WW. WW to był skrót od Wywiad Wojskowy.

Drugi mężczyzna był w cywilnym ubraniu i na cywila wyglądał. Wilks mógł się założyć o swoją miesięczną pensję, że facet był z ZAW – Ziemskiej Agencji Wywiadowczej. Z paczki dziwadeł jakie tylko chciałeś.

- Spocznij, kapralu – powiedział pułkownik. Wilks nawet nie zauważył, że stoi na baczność. Stare nawyki ciężko umierają.

Zauważył, że pułkownik – na plakietce nosił nazwisko Stephens – trzyma ręce za plecami. Jakby obawiał się go dotknąć.

Inaczej cywil. Ten wyciągnął rękę.

- Kaprał Wilks – nie uściśnął wyciągniętej dłoni. Robiąc to z takim facetem mogłeś się spodziewać przeszczepu palca.

Człowiek z wywiadu skinął głową i cofnął rękę.

- Widziałeś nagranie – stwierdził Stephens.

- Widziałem.

- Co o tym myślisz?



- Myślę, że ci ze straży, mieli dużo szczęścia, że weszli w ten atomowy wybuch. Pułkownik i i cywil wymienili szybkie spojrzenia.

- To jest... eee... pan Orona – powiedział Stephens.

„Tak, a ja jestem Król Jerzy II” – pomyślał Wilks.

- Miałeś już do czynienia z tymi stworami wcześniej, prawda? – zapytał ten nazwanu Oronem.

- Zgadza się.

- Opowiedz mi o tym.

- Co mógłbym powiedzieć nowego? O wszystkim wiecie. Widziałeś nagranie z mojego „badania”, co?

- Chcę usłyszeć to od ciebie.

- Może ja nie chcę ci tego opowiadać.

Stephens zerknął na niego.

- Opowiedz tę historię, komandosie. To rozkaz.

Wilks prawie wybuchnął śmiechem.

„I co jeszcze. Możesz mnie pocałować w dupę. Albo wysłać do kompani karnej. Wolałbym być tam niż tutaj.”

Jednak wiedział, że jeżeli będą chcieli, to wycisną z niego to opowiadanie. Będzie śpiewał jak arię w operze.

- W porządku. Byłem jednym z oddziału wysłanego by sprawdzić co się stało w koloni o nazwie Rim. Straciliśmy z nimi kontakt. Na miejscu znaleźliśmy tylko jedną osobę, która przeżyła. Dziewczynkę o imieniu Billie. Wszyscy pozostali pozabijanie przez pewien rodzaj obcych. Takich samych jak ten, który dopadł strażników. Jeden z nich dostał się do ładownika. Zabił pilota. Roztrzaskaliśmy się. W oddziale było nas dwanaścioro. Zabrali ją do krewnych na Ferro, po tym, jak wcześniej wyczyścili jej pamięć. To był dzielny dzieciak, biorąc pod uwagę to całe gówno, w jakim siedziała. Spędziliśmy razem trochę czasu na statku zanim nas zamrożono do podróży. Polubiłem ją. Była naprawdę dzielna. Później słyszałem o kolejnej inwazji potworów na jakąś kolonię. Prawdopodobnie kilku komandosów i cywilów także uszło stamtąd cało. Kiedy wróciłem, medycy mnie dopadli i wyrócili mi mózg na drugą stronę. Jest jena rzecz, o której nikt nie chciał słyszeć: monstra składają swe jaja w ciałach kolonistów. To zostało pogrzebane. Ścisłe tajne. Całkowita dezintegracja mózgu, jeżeli coś o tym pisnę. Wszystko wydarzyło się więcej niż tuzin lat temu. I to jest koniec mojej opowieści.

- Masz nieodpowiednie nastawienie do tej sprawy, Wilks – odezwał się Stephens.

Orona uśmiechnął się.

- Pułkowniku, czy nie sądzisz że powinienem zamienić z kapralem kilka słów na osobności?

Po dłuższej chwili Stephens skinął głową.

- W porządku. Porozmawiam z tobą później.

Wyszedł z pokoju.

Orona ponownie uśmiechnął się.

- Teraz możemy porozmawiać spokojnie.

- Co? – roześmiał się kapral – Czy ja mam może wytatuowane na czole „głupek” ? Jeżeli tu nie ma całej baterii urządzeń podsłuchowych, to gotowy jestem zjeść ten pieprzony stół. Prawdopodobnie pułkownik jest w następnym pokoju i ogląda hologram z tego pomieszczenia. Daj mi spokój, Orona, czy jak tam się naprawdę nazywasz.

- Dobra – zgodził się cywil – Zagramy z tobą na twój sposób. Przerwij mi gdy się pomyle.

Po tym jak udało ci się uciec z Rim spędziłeś sześć miesięcy na kwarantannie, która miała nas upewnić, że nie zaraziłeś się jakimiś obcymi wirusami czy bakteriami. Nikt nawet



nie próbował się z tobą zobaczyć. Żadnych odwiedzin, nie nada. Nie pozwoliłeś naprawić swej twarzy.

- Kobiety lubią blizny – stwierdził Wilks – Robią się wtedy czułe.

- Kiedy wróciłeś do swych obowiązków – kontynuował Orona – stałeś się nieobliczalny. Dziewięć aresztowań i ustawiczne pobyty w brygadzie dla niezdyscyplinowanych. Trzy za pobicia, dwa za zniszczenie cudzej własności, jeden za usiłowanie zabójstwa.

- Facet miał za dużą głowę – przerwał Wilks.

- Specjalizuję się w genetyce, kapralu, ale każdy kto przeszedł przez wykład psychologii łatwo dostrzeże, że jesteś na drodze bez powrotu. Na drodze do dna.

- Tak? Cóż, to moje życie. Co cię ono obchodzi?

- Zanim tych dwóch kłownów ze straży Wokółziemskiej nie wysadziło się do diabła, zdołali skopiować cały bank danych i mamy trajektorię tego starego statku. Wiemy skąd leciał.

- Zgadnij, ile mnie to obchodzi.

- A powinno kapralu. Przyszedłeś tutaj. Jakikolwiek są twoje problemy, są nieważne. Potrzebuję specjalisty od tego, co znaleźli ci ze straży. Ty jesteś jednym z nich.

- Nie jestem ochotnikiem.

- Och będziesz – Orona wyszczerzył zęby.

Wilks zamrugał. Coś nieprzyjemnego przetaczało mu się w brzuchu, jak bestia, która chce się wydostać na zewnątrz.

- Wiesz o tej małej dziewczynce, którą uratowałeś? Jest tutaj. Na Ziemi. W centrum psychiatrycznym. Trzymają ją ciągle na prochach i wykonują mnóstwo testów. Wiesz, ma koszmary. Z pewnością czyszczenie pamięci było niedokładne. Pamięta wszystko w snach.

Możesz wylądować w takim samym miejscu, jeśli nie zrobisz odpowiedniego kroku.

„Billie jest tutaj?”

Nigdy nie spodziewał się, że ją jeszcze kiedyś zobaczy. Był nią naprawdę zainteresowany. To była jedyna osoba, która widziała potwory z takiego bliska jak on. Przynajmniej jedyna, o której wiedział. Popatrzył na Orona. Potem skinął głową. Jeżeli chcą go mieć, będą go mieli. Wystarczająco długo był w Korpusie, żeby o tym wiedzieć. Mógłby odejść, lecz czy chciał tego, do diabła. Są gorsze rzeczy niż umieranie.

Wziął głęboki oddech.

- Dobra. Idę.

Cywil uśmiechał się, i kiedy to robił, przypominał Wilksowi jednego z potworów.

Cholera!

8.

Billie spała. Mogła słyszeć głosy przez sen; odległy podkład upiornych dźwięków, pomiędzy przerażającymi obrazami.

- ...znowu śni. Co dostała?

Drzwi rozwarły się przed Bilie. Za nimi była ciemność. W niej błyskały oczy. Światło na krótko zamigotało na rzędach dziwnie żłobkowanych zębów.

- ... trzydzieści Trinominy...

Drzwi otworzyły się szerzej, trzeszcząc głośno. Rodzaj... bytu wtoczył się do środka. Nie mogła dostrzec wyraźnie...

- ...trzydzieści? To dwa razy tyle co normalna dawka. Nie obawiasz się uszkodzenia mózgu?

Byt zwarł się, formując drgający obraz. Czarny, wielki z niesamowitymi zębami. Monstrum. Wyszczrzyło się do Billie. Rozwarło szczęki. Ruszyło ku niej.



Była jak skamieniała. Nie mogła się poruszyć, a to podchodziło coraz bliżej. Otworzyła usta do krzyku...

- ...cóż, pewne ryzyko istnieje. Jest już na wpół obłąkana i żadne konwencjonalne leczenie nie skutkuje. Poza tym doświadczalne androidy dostają do czterdziestu miligramów bez widocznych uszkodzeń...

Potwór sięgnął po nią. Otworzył paszczę. Zbliżał się do niej powoli, a ona... ona nie mogła się poruszyć...

- ...nie jest androidem, mimo wszystko...

- ...może jeszcze być...

Dłoń dotknęła jej ramienia.

Billie obudziła się. Serce dudniło jej jak oszalałe.

Cała była oblana potem.

To tylko Sasha.

- Och, Sash. Co tutaj robisz?

- Masz gościa. Dok przysłał mnie, żeby ci powiedzieć.

- Gościa? Nie znam nikogo na Ziemi z wyjątkiem lekarzy i pacjentów naszego centrum.

Sasha wzruszyła ramionami.

- Dok powiedział, że ktoś na ciebie czeka w P4. Chcesz iść ze mną?

- Nie. Poradzę sobie.

Tak naprawdę nie czuła się w tym momencie zbyt pewnie. Leki krążyły jej w krwi, a ostatni koszmar ciągle wibrował w pamięci. Lecz jeżeli ma stąd wyjść kiedykolwiek, musi sprawiać wrażenie, że panuje nad sobą.

Przeszła przez hall i potwierdziła swe wejście do „prywatnego” pokoju w strefie odwiedzin. Weszła do pokoju P4.

Usiadła.

„Kto to może być?”

Obudził się monitor. Na ekranie pojawił się komputerowy obraz miłej siwowłosej babci. Głos, kiedy przemówiła okazał się miły, chociaż przepełniony spokojną pewnością, jaką daje władza. Billie wiedział, że dodano do niego specjalny zestaw poddźwięków, by wyciszyć i uspokoić słuchacza oraz zmusić go do posłuszeństwa.

- Będziesz obserwowana – powiedział babcia – Każda wzmianka na temat leczenia spowoduje zakończenie odwiedzin – uśmiechnęła się, co spowodowało pojawienie się zmarszczek w kącikach oczu – Odwiedziny są przywileje, a nie prawem. Masz dziesięć minut. Czy to rozumiałe?

- Tak.

- Wspaniale. Ciesz się z odwiedzin.

Ściana naprzeciw pojaśniała. Dwa metry od niej siedział mężczyzna. Połowę jego twarzy pokrywały blizny. Nosił mundur.

„Kto...?”

- Cześć Billie.

Odczuła to tak, jakby ktoś uderzył ją pięścią w głowę. To on! Człowiek, który w snach zawsze przychodził, by ją uratować.

- Wilks!

- No, wreszcie. Jak cię tutaj traktują?

- Jesteś... jesteś prawdziwy!

- Tak było, gdy ostatni raz patrzyłem na siebie.

- O, Boże, Wilks!

- Nie byłem pewny, czy mnie będziesz pamiętać

- Wyglądasz... no... trochę inaczej.

Dotknął twarzy.



- Wojskowi chirurdzy. Kupa rzeźników.
- Co tutaj robisz?
- Powiedzieli mi, że jesteś w tym centrum. Postanowiłem cię zobaczyć, kiedy dowiedziałem się, że ty też masz okropne sny.
- O potworach.
- Tak. Nie śpię dobrze od akcji na Rim.
- To się zdarzyło naprawdę, co?
- Tak. Naprawdę. Trzymali mnie w garści i będą trzymać zgodnie z klauzulą mojej umowy, ale ty jesteś cywilem. Zdecydowali się na wyczyszczenie ci pamięci, ale to nie poskutkowało. Przynajmniej nie tak, jak oczekiwano.
Billie skamieniała i poczuła niewiarygodną ulgę jakiej nigdy dotąd nie znała. To zdarzyło się naprawdę! Nie jest obłąkana! Sny są formą wspomnień usiłujących wydostać się z głębin podświadomości.

Wilks patrzył na to dziecko. Cóż, to już nie było dziecko. Dziewczynka zmieniła się w sympatycznie wyglądającą kobietę.

Nie był do końca pewny dlaczego się tutaj wybrał. Jedynym powodem, jaki uświadamiał sobie było to, że ona jest osobą, która potrafi zrozumieć jego nocne koszmary. Próbował ją odnaleźć dawno już temu, tak samo jak innych żołnierzy i cywilów, którym udało się ująć przed drugą inwazją, ale wszyscy zostali starannie ukryci. Prawdopodobnie w różnych ośrodkach medycznych takich jak ten, albo na odległych o lata świetlne placówkach. A może nie żyli.

- Dlaczego przyszedłeś?

Powrócił myślami do młodej kobiety po drugiej stronie szklanej tafli.

- Są przekonani, że znaleźli... odszukali macierzystą planetę tych... tych stworów – powiedział – Chcą mnie tam posłać z kilkoma oddziałami.

Na kilka sekund zapadło milczenie.

- Żeby je zniszczyć?

Wilks uśmiechnął się, lecz był to raczej grymas goryczy

- Żeby schwytać żywcem „przedstawiciela gatunku”. Myślę, że WW chcą użyć potworów jako swego rodzaju broni.

- Nie! Nie możesz im na to pozwolić!

- Dziecko, nie potrafię ich powstrzymać. Jestem tylko kapralem.

„Pijakiem i zabijaką” – dodał w myślach.

- Zabierz mnie stąd – rzuciła gwałtownie Billie.

- Co takiego?

- Nie jestem wariatką. Wspomnienia są prawdziwe. Możesz im to powiedzieć. Usiłują wmówić mi, że wszystko co pamiętam, to majaki. Ty jednak znasz prawdę. Powiedz im. Uratowałeś mnie kiedyś Wilks. Zrób to jeszcze raz! Zabijają mnie tu tymi lekami, całym tym leczeniem! Muszę stąd wyjść!

Ekran monitora zajaśniał i siwowłosa starsza pani ponownie się pojawiła. Na twarzy miała uśmiech.

- Dyskusje na temat leczenia są niedozwolone – powiedziała – Odwiedziny skończone. Proszę natychmiast opuścić pokój.

- Wilks, błagam!

Kaprał wstał i zacisnął pięści.

- Proszę natychmiast opuścić pokój – powtórzyła staruszka.

Billie stała i tłukła w szklaną ścianę.

- Pozwólcie mi wyjść!



Drzwi za jej plecami otworzyły się i weszło dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn. Chwycili Billie. Młoda kobieta wyprężyła się i zaczęła szarpać, lecz bezskutecznie. Ściana zaczęła ciemnieć.

- Hej, sukinsyny, pozwólcie jej wyjść! – ryknął Wilks. Podszedł do ściany i uderzył w nią. Cofnął ramię i ponownie uderzył szkło z całej siły. Nadaremnie.

Monitor po jego stronie zajarzył się. Ukazała się ta sama stara kobieta.

- Te odwiedziny są już zakończone. Proszę wyjść. Dziękujemy za przybycie. Życzymy miłego dnia.

- Wilks! Pomóż mi! – słyszał krzyk.

Dźwięk ścichł, a ściana ściemniała zupełnie. Billie odeszła.

Komandos odwrócił się i popatrzył na swe potężne dłonie.

- Przykro mi, dzieciaku – wyszeptał – Naprawdę mi przykro.

5.

Wyjątki ze ściśle tajnego pokazu audiowizualnego zatytułowanego: „Teoria rozmnażania się Obcych” autorstwa Dr Waidźława Orona.

Uwaga: Ten zapis jest specjalnym dokumentem wojskowym i wymaga posiadania uprawnień A-1/a by być czytany i oglądany. Karą za bezprawne użycie tego dokumentu może być Pełna Rekonstrukcja Mózgu i/lub grzywna do 100 000 kredytów i/lub zesłanie w Federalnej Kolonii Karnej na dwadzieścia pięć lat.

POCZĄTEK:

KOMPUTER GENERALNY PIX: Głęboka przestrzeń w dużej grupie gwiazd. W centrum znajduje się OBCY. Widok z boku. Zwinięty w embrionalną kulę. MUZYKA: „Jazda Walkirii” Wagnera.

Głos Orona

Ludzkość cierpi z powodu zarozumiałego poglądu na istotę życia.

Obcy rozwija się powoli. MUZYKA POTĘŻNIEJE.

G.O.

Ludzkość sądzi, że obce formy życia powinny ulegać ich standardom włącznie z logiką i moralnością.

Obcy w całej swej okazałości. Odwraca się powoli do kamery. MUZYKA CIĄGLE DOMINUJE.

G.O.

Nawet pomiędzy ludźmi moralność jest ignorowana, kiedy staje się to koniecznością. Dlaczego mamy wymagać od obcych form życia więcej niż od siebie samych?

Obcy rozwiera ramiona i rozstawia odnóża. Wyciąga ogon. Staje się parodią znanego rysunku Leonarda Da Vinci. NAJAZD KAMERY.

Obcy wypełnia cały ekran.

G.O.

Gdybyśmy nie wiedzieli nic więcej o Obcych, to musielibyśmy i tak stwierdzić: Po pierwsze, nie są tacy jak my. Po drugie, zrozumienie ich jest prawie niemożliwe.



OBCY wypełnia ekran; MUZYKA CICHNIE I EKRAK STAJE SIĘ CZARNY.

ŚWIAT OBCYCH Z ZEWNĄTRZ – DZIEŃ – ŚRODOWISKO

Ponura, skalista planeta. Bardzo mało zieleni, ogromne puste przestrzenie.

G.O.

Wnioskując z twardych szkieletów zewnętrznych i ich zdolności adaptacyjnych, obcy mieszkają przypuszczalnie na surowej, niegościnniej planecie.

ZMIANA OBRAZU

ZEWNĘTRZE KOPCA

Postrzępiony, podobny do mrowiska wyrastający z czystej powierzchni wokół. Jest zbudowany z przeżutych miejscowych roślin i szkieletów ofiar.

G.O.

Wiemy, z naszych wcześniejszych badań, że obcy posiadają swoistą hierarchię opartą o funkcję królowej oraz, że budują ule by ochronić jaja i młodzię.

WNĘTRZE ULA – KOMORA JAJ

Ogromna KRÓLOWA, monstualny worek na jaja przyczepiony do jej odwłoka, składa jaja na podłogę komory.

CHWILOWA ZMIANA OBRAZU

WNĘTRZE POMIESZCZENIA Z JAJAMI

GRUPA OFIAR trzymana przez OBCYCH – ROBOTNICE jest atakowana. Rzeź. WYLĘGNIĘTE FORMY LARWALNE. (Są to dłoniopodobne grudy z palcami i ogonami. Te ostatnie owijają się wokół szyi ofiary i chronią larwy przed strząśnięciem. Potem wciskają się do przelyku. Porównaj obraz #3).

G.O.

Proces pasożytniczego odżywiania się jest czymś wstrząsającym dla pewnych cywilizowanych społeczeństw, lecz zupełnie naturalny dla obcych żyjących w tak nieprzyjnym środowisku.

ZMIANA OBRAZU

OFIARA

Jej brzuch pęcznieje od środka. Ryczy, ale w ciszy (obraz bez dźwięku).

G.O.

Narodziny kolejnego stadium rozwojowego jest śmiertelne dla gospodarza.

ZBLIŻENIE – BRZUCH OFIARY

Skóra pęka, tkanki się rozchodzą i OBCY – DZIECKO, wyglądający jak tłusty wąż z ostrymi zębami, wyłania się z krwawego otworu.

G.O.

Młody obcy wygryza sobie drogę na świat, gdzie być może stoczy walkę o dominację z innymi świeżo narodzonymi. Możemy tylko domniemywać co do tego zagadnienia.



ZMIANA OBRAZU

ZEWNĘTRZE ULA – DZIEŃ

Rozbrzmiewa RYK zbliżającego się statku kosmicznego. W dole grupa obcych – robotnic obserwuje pojazd.

G.O.

Jak obcy wydostali się ze swego świata jest oczywiście sprawą czysto spekulatywną

STATEK

ląduje i POSTAĆ W SKAFANDRZE wychodzi, dźwigając różne narzędzia i groźnie wyglądającą broń.

POSTAĆ W SKAFANDRZE

wraca do statku, niesie w butli jajo obcych. Z rozmiarów jaja w porównaniu z osobą zbieracza, jasno wynika, że jest on dużo większy niż człowiek, może trzykrotnie większy.

ZMIANA OBRAZU

WNĘTRZE STATKU ZBIERACZA

Zbieracz podchodzi do jaja obcych. Pochyla się nad nim. Jajo powoli otwiera się. Zbieracz zagląda do środka.

G.O.

Drobna nieuwaga w postępowaniu z tak drapieżnym stworzeniem może być krańcowo niebezpieczna. Prawdopodobnie śmiertelna.

ZMIANA OBRAZU

ZEWNĘTRZE STATKU ZBIERACZA

Statek leży rozbity na powierzchni jakiegoś nieznanego świata. Mgła snuje się wokół. WŁAZ UCHYLA SIĘ I POJAWIA SIĘ:

WNĘTRZE STATKU ZBIERACZA

Szkielet Zbieracza, klatka piersiowa rozerwana, siedzi przy konsoli kontrolnej. TRZECH LUDZI W SKAFANDRACH. Światła migoczą na martwym ciele olbrzyma. Ludzie badają go.

G.O.

Ludzkość osiągnęła stopień rozwoju, który pozwala im uważać się za niezwycięzonych. W zetknięciu jednak z istotami przystosowanymi do ekstremalnie niekorzystnych warunków takie przekonanie może okazać się niebezpieczne.

ZEWNĘTRZE LĄDOWNIKA

Lądownik startuje z powierzchni planety.

ZBLIŻENIE - LĄDOWNIK

Przyszana do spodu pojawia się ogromna postać OBCEGO.



G.O

To, że człowiek nie może żyć w próżni, nie oznacza, że żadne złożone formy życia nie mogą.

WNĘTRZE STATKU - PORT PRZEŁADUNKOWY, SZEROKI KĄT

Przez port idzie DWÓJKA MĘŻCZYŹN.

O.Z.P. (OBRAZ ZA PLECAMI) - OBCY Obserwuje ludzi. Ślina cieknie z okropnych szczęk.

WIDOK OD STRONY OBCEGO - LUDZIE

Rusza. Przerazający atak. Krew tryska, chlapie na obiektyw kamery.

ZMIANA OBRAZU

WNĘTRZE ŚLUZY POWIETRZNEJ

Kłapy otwierają się i Obcy zostaje wyrzucony na zewnątrz przez uciekające powietrze. LECI w próżni powoli się obracając.

G.O.

W ograniczony sposób, ograniczony z powodu nielicznych kontaktów z tymi stworzeniami, można stwierdzić, że mają one prosty sposób na kontrolowanie swego życia. Zabijać, rozmnażać się i przeżywać.

OBCY Płynie przez pustkę. Według ludzkich standardów powinien być martwy, lecz zwija się powoli w embrioidalną kulę. Ogon owija się wokół masywnej głowy i kolczastego ciała.

G.O.

Właściwie wykorzystani, obcy mogą stać się doskonałymi wojownikami. Badania nad ich organizmami mogą dać udoskonalenie pancerzy, broni chemicznej i biologicznej, a może nawet otworzyć nowe drogi do rozwoju podróży międzygwiazdnych.

COFNIECIE - OBCY

Małeje do punktu, a następnie znika w zimnych ciemnościach kosmosu.

Koniec wyciągu. Czytających/oglądających ostrzega się po raz kolejny, że użycie tych materiałów bez zezwolenia będzie surowo karane zgodnie z prawem według paragrafu 342544A, Poprawka II.

6.

Billie spała, lecz sen nie był odpoczynkiem. Śniła, że znów jest w kolonii na planecie Rim. Widziała rodziców, widziała jak koloniści planują zamienić planetę w prawdziwy raj. Oglądała to i była szczęśliwa.

Piękny obraz odpłynął. Potem zjawiły się potwory.

Jej życie stało się pasmem uciezek od kryjówki do kryjówki; było przepełnione strachem i czekaniem na chwilę, kiedy bestie znajdą ją i zabiją. Dołączyła do szczurów pod



podłogą, a jej zmysły i szybkość działania upodobniły ją do ściganego zwierzęcia. Przeżycie było dla niej wszystkim i jednocześnie czymś mało ważnym.

Ujrzała Wilksa i innych. Strzelały karabiny. Słyszała hałas. Była przerażona.

Nagle poczuła otaczające ją ramię kaprała. Drżało od wystrzałów, jak całe jego ciało. Patrzyła jak monstra padają, lecz wiedziała, że jest ich zbyt wiele.

Nadszedł najgorszy moment. Twarde szczęki zamknęły się na jej ciele. Potwór uniósł ją i niósł na śmierć. niespodziewanie upadł, przecięty na wysokości kolan. Jego krew wypalała dymiące dziury w podłodze. Puścił ją, a ona nie czekała. Uciekła. Powietrze pełne było gryzącego dymu. Słyszała krzyżącego Wilksa. Karabiny strzelały i strzelały, aż dźwięk wystrzałów zamienił się w nieustający ryk. Kły rannego potwora dzwoniły o podłogę, gdy monstrem usiłowało dosięgnąć swej ofiary.

Zaczęła krzyżeć. Wołała o pomoc jedynym imieniem, jakie miało dla niej znaczenie:

- Wilks!

Tylko on mógł ją uratować.

7.

W otchłaniach Kwatery Głównej, w długim hallu z niewidocznymi drzwiami, spacerowało dwóch mężczyzn: Orona i pułkownik Stephens.

- On jest tak twardy jak cały sad leszczyny - odezwał się Stephens - Gdybyśmy go nie potrzebowali już dawno by skończył u czubków.

- Rzeczywiście - przytaknął Orona - ale mamy go i Sztab chce właśnie jego.

- Tak. Sztab myśli, że to jest ktoś w rodzaju zabójcy potworów, ale ja uważam, że jest raczej mordercą komandosów.

- Chciałeś dowodzenia jakąś akcją. Noto ją masz. Daję ci.

- Pewnie, mam być Jonaszem w potencjalnie śmiertelnej walce.

- Pozwól mi przedstawić, jak ja to widzę, Bill - powiedział Orona - Sztab będzie miał doświadczoną osobę na pokładzie. Jedyny komandos, który, poza Wilksem, przeżył spotkanie twarzą w twarz z potworami, zniknął. Kobieta i dziecko uratowani przez niego także się rozpułynęli i nie wiemy gdzie są. Dziewczyna, którą uratował kaprał jest w wariatkowie na ćpana po dziurki w nosie. Były też jakieś poważnie uszkodzone androidy, ale nie wiemy co się z nimi stało. Pełno w tej całej sprawie niejasności. Pozostaje Wilks.

- Nie podoba mi się to. On jest nieobliczalny.

- Nie pytam cię czy ci się to podoba, albo czy on ci się podoba. Mówię ci tylko, że Sztab powiedział jak to ma wyglądać. Jeżeli jesteś zmęczony służbą, to idź do nich i powiedz, że ci się to nie podoba. Stephens pokręcił głową.

- Będzie awansowany na sierżanta - ciągnął Orona - i zostanie odpowiedzialnym za ładunek. Jak wiele uszkodzeń zdołasz tam dokonać?

Pułkownik Stephens stał przy doku załadunkowym i obserwował jak roboty załadowują statek. W pewnej chwili zatrzymał szeregowca obsługującego automatyczny transporter.

- Co jest w tych skrzyniach, żołnierzu? Młodzik wyprężył się na baczność.

- Strzelby plazmowe i ładunki, panie pułkowniku. Stephens popatrzył na twarde skrzynie z czarnego plastiku. - Kto, do diabła, zezwolił na broń plazmową?

- Nie wiem. Sierżant Wilks rozkazał załadować. To wszystko, co wiem.

- Co wiedziałeś.

Stephens pojechał windą do magazynów. Ujrzał Wilksa jak kieruje trzema robotami ładunkowymi.

- Wilks! - Tak jest.



- Skąd zdobyłeś zezwolenie na broń plazmową?
- Dostałem rozkaz wyposażyc oddziały w odpowiedni sprzęt, panie pułkowniku.
- I uważasz, że ładunki plazmy to coś odpowiedniego? Nie zamierzamy prowadzić wojny, Sierzancie. Mamy zamiar przywieźć to stworzenie żywcem, nie w kawałkach.

- Z mojego doświadczenia... - zaczął Wilks.
- ...pomieszało ci w głowie - skończył za niego Stephens - Wziąłeś na własną odpowiedzialność najbardziej destrukcyjną broń jaka istnieje, a wystarczą zwykłe karabiny. I taką właśnie broń będziesz używał. I powołując się na twoje własne wspomnienia 10 mm AP jest równie dobre do zatrzymania tych bestii.

Wściekłość zbulgotała w głowie sierżanta.

- Jak tylko spotka pan, pułkowniku, tego potwora, będzie pan chciał mieć coś lepszego.
- Sztab chciał cię mieć, Wilks, więc cię ma. Ale nie narażę misji na rozwalenie potencjalnej zdobyczy przy pomocy broni, która potrafi zatrzymać czołg. Usuń te strzelby ze statku, Sierzancie. Jasne?

Głos Wilksa był lodowaty i twardy jak stal. - Całkowicie jasne, panie pułkowniku.

Dwójka graczy na heksagonalnym korcie przetrzucała piłkę przy pomocy ładunkowych rakiet. Piłka wielkości pięści pędziła jak rakieta pomiędzy wielościennymi bandami - musiała uderzyć w co najmniej trzy ściany, żeby gracz zdobył punkt - i wracała z równie wielką prędkością 120 kilometrów na godzinę.

Gracz po lewej stronie przygotował wyśmienity, sześciocienny atak. Ten po lewej był o pół sekundy zbyt wolny i elektropiłka uderzyła go w piersi wystarczająco mocno by go przewrócić.

- Do diabła! - uderzony wstał i stwierdził - Twój punkt. - Gotowy?

- Dalej. Serwuj.

Gracz z prawej uśmiechnął się.

- Za chwilę. Są jakieś wiadomości o propozycji połączenia Systemów Klimatycznych?

Lewy wzruszył ramionami. Prawy roześmiał się głośno.

- Damy im propozycję, której nie można odrzucić, nie?

- Świetnie. Nie znasz Massey'a, ale on jest, no, czymś w rodzaju takiej propozycji. Serwuj.

Dwóch mężczyzn siedziało przy holograficznym stole. Ich dłonie w rękawiczkach przesuwały się po klawiaturze gry. Wewnątrz heksagonalnego pola miniaturowi gracze byli spoceni ciągłym bieganiem tam i z powrotem. Ich operatorzy nosili drogie jedwabne garnitury i wyglądali na wypoczętych. Mieli fryzury za co najmniej dziewięćdziesiąt kredytów i wyrafinowane, drogocenne spinki do kołnierzyków. Wyglądali zupełnie jak dwaj wiceprezesi korporacji i byli nimi.

Piłka odbiła się od czterech ścian i przeszła obok przyjmującego.

- Dobry strzał - odezwał się człowiek w zielonym ubraniu. Pod szyją nosił rubin wielkości małej śliwki. Klejnot kontrastował w subtelny sposób z kolorem ubrania.

- Tak. Przynajmniej się zrewanżowałem - powiedział drugi z mężczyzn. Nosił czerwony garnitur, a u niego pod szyją błyszczały, dla odmiany, diamenty dwukrotnie większe niż rubin partnera. Był starszym wiceprezesem.

Hologram zamigotał i zgasł. Zielony powiedział:

- Słuchaj, musimy porozmawiać o projekcie bioochrony. - Coś ze strony rządu?

Obydwaj wstali odeszli od stołu. Zielony pokręcił głową. - Znasz tych facetów. Wszystko chcą trzymać w tajemnicy.



- Musimy wziąć w tym udział - stwierdził Czerwony Mówimy teraz o ogromnej forsie. Mieliśmy oferty na dostawy niemal ze wszystkich korporacji w systemie, jeżeli tylko zaoferujemy właściwy produkt. Nie możemy pozwolić, żeby wojsko nas ubiegło.

Zielony wyszczerzył zęby.

- Nie obawiaj się. Mam zamiar włączyć do gry Massey'a.

Dotarli do drzwi. Otworzyły się bezgłośnie ukazując wnętrze biura wielkości małego domu. Jedną ze ścian zrobiono z nieskazitelnie przezroczystego szkła. Za nią rozpościerał się widok na megapolis. W pogodny dzień, jaki właśnie był, widok z osiemdziesiątego piętra był niezwykły. Stanowił jeden z przywilejów stanowiska.

- Dobra, słyszałem o tym Masseyu ale go nie znam. Opowiedz mi o nim.

Czerwony podszedł do biurka wystarczająco dużego by pięć osób czuło się przy nim swobodnie.

Zielony ruszył do automatu w ścianie naprzeciw biurka. - Diabelski Pył - powiedział do maszyny - Pół grama. Ty coś chcesz?

- Tak, może Technienie Orgii.

Zielony dołączył zamówienie Czerwonego. Po sekundzie mała taca wysunęła się z urządzenia. Na niej znajdowała się niewielka filiżanka z odrobiną różowego proszku, a obok jednorazowy inhalator. Zielony wręczył go Czerwonemu i podniósł swoje naczynie. Wsywał sobie proszek do lewego oka. W tym czasie Czerwony włożył końcówkę inhalatora w prawe nozdrze i nacisnął. Obaj rozjaśnili się, gdy chemikalia zaczęły działać.

- Mówiłeś o Masseyu.

- A, tak. O nim. Ten facet jest czymś wyjątkowym. Magisterium w Harvardzie, doktorat z prawa finansowego na Uniwersytecie Cornella, stanowisko w Mitsubishi. Mógłby pracować w każdej firmie systemu, ale on zaciągnął się do Komandosów Kolonialnych. Dostał Srebrną Gwiazdę w Wojnie Naftowej. Cztery Fioletowe Serca. Dowodził oddziałem podczas Rebelii Tansu na Wakahashi i tam też dostał wiele odznaczeń.

- Prawdziwy patriota, co? - wykrzywił się czerwony. Wypreżył się w fotelu, gdy kolejny chemiczny orgazm przeszył jego ciało.

- Nie. Lubił zabijać. Prawdopodobnie zaszedłby wysoko, ale wykończył go sąd. Próbował zabić swego dowódcę.

- Pieprzysz.

- Tak. Myślał, że tamten jest tchórzem, kiedy nie wydał rozkazu ataku na grupę cywilów. Massey uważał, że wśród nich mogą znajdować się zwolennicy wroga. Może tak było. Uderzył dowódcę tak, że tamten padł nieprzytomny, a sam poprowadził atak. Zabił osiemdziesiąt pięć osób; mężczyzn, kobiet i dzieci. Chodziła plotka, że ponad połowę wykończył osobiście.

- Człowiek kochający swoją pracę.

- O, tak. Przekupiliśmy trybunał i wzięliśmy go do siebie. Ciężko dzisiaj znaleźć dobrych pomocników, prawda? Zielony zaczął się śmiać. Czerwony przyłączył się ochoczo.

Massey siedział przy stole w kuchni. Na kolanach trzymał swego sześciolatniego syna. Za ich plecami Marla przyciskała guziki w ekspresie do kawy.

- Będzie gotowe za sekundę, kochanie - powiedziała i pocałowała męża w szyję.

- Dzięki, dziecinko - uśmiechnął się, a do syna powiedział - Co mi mój syn zaplanował na dzisiaj?

- Mieliśmy iść do zoo - stwierdził chłopiec - Zobaczyć te cienkie pająki z Deneba i może węże Bartletta, jeżeli tylko wyjdą na zewnątrz.

- Brzmi niezłe - stwierdził Massey. Podniósł chłopca i postawił go na podłodze - Ale Tata musi teraz iść do pracy. Powiedz ode mnie cześć tym pająkom:



- Ależ Tatusiu, pająki nie mówią!

Massey wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A co z twoim wujkiem Chadem? Marla zamierzyła się na niego.

- Mój brat nie jest żadnym pająkiem! - powiedziała surowo, ale oczy jej się śmiały.

- To prawda. Nie jest - poważnie powiedział jej mąż - Ma tylko cztery nogi, a nie osiem.

- No, bo spóźnisz się do pracy. Tu masz kawę. Massey wyszedł z domu, ciągle się uśmiechając. Praca. Nic nie może być ważniejsze niż praca. Nic.

Jej zęby błyszcząły jak gwiazdy. Były takie piękne. Podchodziła bliżej, wspaniała i wyniosła, czarna, przerażająca i stanowcza. Jej zewnętrzny szkielet błysnął czernią, kiedy pochyliła się nad Billie. Otworzyła paszczę i rząd mniejszych zębów na wewnętrznych wargach także się rozwarł.

Kocham cię - dobiegły Billie jej myśli - Pragnę cię.

"Tak, wiem" - pomyślała Billie.

To była królowa, i przysłała po nią. Szponiaste dłonie potwora błysnęły w ciemnościach.

- Chodź i... połącz się ze mną kusila królowa.

"Tak - pomyślała ponownie Billie - Tak, chcę tego."

Królowa podeszła jeszcze bliżej.

Easley i Bueller czaili się na tyłach zrujnowanego budynku. Wysoki do pasa stos cegieł i poskręcane resztki schodów przeciwpożarowych były jedyną osłoną przed karabinami bunkra.

Z bunkra nie było ich widać, ale ten głupi komputer może wykryć ciepło ich ciał i obsypać ich gradem ładunków 30mm AP

-Ale gówno - odezwał się Bueller -Ten skurwysyn przygwoździł nas tutaj !

- Może nie - zaproponował Easley - Z tyłu jest wejście dla konserwatorów. Mogę rzucić granat i przerwać zasilanie. Wtedy weźmiemy go za dupę.

Trzy ładunki 30mm uderzyły w cegły kilka centymetrów nad głową Buellera. Ten przyłgął mocniej do ziemi.

- Cholera!

- Dobra, uważaj - mówił dalej Easley - zrobimy tak. Odczołgasz się ze dwadzieścia metrów, wystawisz broń nad ścianę i zaczniesz strzelać w tego frajera. ja okrążę go i walnę z tyłu, kiedy będzie zajęty tobą.

Bueller skrzywił się pod osłoną twarzy wykonaną z przezroczystej stali. Grymas pomarszczył przepaskę nad oczami i widniejącą na niej czaszkę - emblemat elitarniej jednostki Komandosów Kolonialnych.

- Masz lepszy pomysł? - spytał Easley Bueller pokręcił głową.

- Ech, do diabła. Robimy to. Daj mi sygnał, kiedy już będziesz gotowy do tańca.

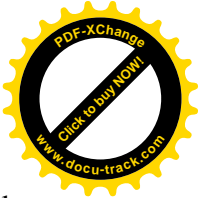
- Uważaj - stwierdził Easley.

Jego głos w komunikatorze hełmu był nieco skrzeczący. Było to standardowe wojskowe urządzenie z kodowaniem, więc ten w bunkrze nie mógł ich usłyszeć, a nawet gdyby tak się stało, to i tak nic by nie zrozumiał.

Bueller ruszył nisko pochylony.

Easley zapalił świecę o małym wydzielaniu ciepła i rzucił ją na ziemię. Przy odrobinie szczęścia mogło to imitować ciepło promieniujące z ciała i skupić uwagę bunkra. Jeżeli tak się stanie będzie mógł zniszczyć tego dupka. Ruszył. Był dobry, był jednym z najlepszych w Korpusie. I niech diabli wezmą, jeżeli da się wykołować jakiemuś frajerowi siedzącemu w zamkniętej skrzynce.

Kiedy dotarł na miejsce, powiedział do mikrofonu: - Teraz!



Trzydzieści metrów od niego, klęcząc za jakąś kupą gruzu, który kiedyś był prawdopodobnie domem, Bueller wystawił swój karabin ponad wierzchołek stosu cegieł i nacisnął spust. Przebiegał z miejsca na miejsce by sensory ruchu mogły go wykryć. Sonar mógłby go namierzyć bardzo szybko, ale nie zamierzał dawać mu takiej szansy.

Pociski z miękkiej stali uderzyły o mur. Bunkier już wiedział, że tu się ukrywa. Komandos zmienił miejsce.

Pięć sekund później wydarzyły się dwie rzeczy: eksplodował granat i karabin z bunkra przestał strzelać.

Bueller wyszczerzył zęby. - No, droga wolna, bracie!

Easley musiał trafić prosto w system chłodzenia. Niezła lewatywa. Minęło dziesięć sekund. - Easley?

- Stawiasz dzisiaj piwo, kolego - dobiegła go odpowiedź. Bueller wstał. Ludzie, czy to sen! Ten stary farciarz myśli, że może igrać z najlepszym...

Ładunek rozerwał się na jego piersi. - O, kurwa.

Popatrzył w dół i zobaczył zieloną plamę fluorescencyjnej farby. Gdyby to była kula przeciwpancerna, byłby już wspomnieniem.

- Gówno, gówno, gówno!

- Masz rację - powiedział Wilks - Jak zdrowie, panie Gówno.

Podszedł do Buellera. W ręce trzymał treningowy karabin snajpera. Za nim stał Easley. Zdjął już hełm, a na jego osłonie świeciła blado zielona plama.

Za plecami Easleya stał oddział komandosów i obserwował scenę. Wilks miał na sobie liniowy kombinezon i plastikowe buty.

- Jesteście dobrzy - powiedział - ominęliście kilka min i uchroniliście się przed pułapkami. Potrafiliście zniszczyć robota w bunkrze, ale mimo to i tak jesteście padliną bo ruszacie się jak głupcy.

Za jego plecami Easley pochylił się do żołnierza obok niego.

- Widziałas to, Blake?

Niska blondynka z włosami obciętymi na wzór innych komandosów skinęła głową.

- Tak. Dobra nauczka. Zdjął was jak ptaki na polowaniu. - Ejże... - Easley zmarszczył brwi.

Bueller przerwał mu.

- Chwileczkę, Sierżancie. Słyszałem Easleya przez komunikator!

- Nie, nie słyszałeś. To byłem ja. - Ale... ale... to... to jest...

- Oszustwo - dokończył Wilks - Życie jest twarde. Czy uważasz, że te stwory, przeciw którym nas wysyłają grają według jakichś zasad?

Bueller spojrzał na zieloną plamę.

- Cóż, chłopcy i dziewczęta. Dzięki starannej pracy Easleya i Buellera spędzimy ten przyjemny dzień na nauce strzelania. Pełny ekwipunek, dopóki nie przejdziecie całego scenariusza walki bez jednego trafienia - uśmiechnął się do Buellera i Easleya - Jeżeli taka stara pierdoła jak ja potrafi jeszcze ograć prawdopodobnie najlepszych z Korpusu Komandosów Kolonialnych, to kolonie siedzą w gównie po uszy. Będą mieli dużo kłopotów, gdy będą potrzebowali czegoś więcej niż nożyczek. Komandosi, powstań!

Oddział ruszył, pomrukując. - ...Bueller, ty dupku...

- ...cholera, Easley, popatrz w co nas... - ...o, Buddo, wyglądacie jak...

Wilks z przyjemnością patrzył jak maszerują. Oczywiście, musiał kopać ich w tyłki. Taka była rola trenera i odkąd Stephens odsunął go od załadunku statku, było to jego zajęcie. Pomimo, jednak, całego krytycyzmu, musiał przyznać, że są dobrzy. Jako oddział byli razem już od roku. Mieli wspaniałe wyniki w posługiwaniu się wszelkimi rodzajami broni ręcznej,



materiałów wybuchowych. Znali doskonale strategię i taktykę. Gdyby nie oszukiwał, nie pokonałby tych dwóch doskonałych fachowców. Byli o wiele lepsi niż się spodziewał. Poszedłby z nimi na wroga bez chwili zastanowienia.

Kiedy wyciągali opancerzenie i zakładali je na siebie, Wilks wspominał swój oddział na Rim. Czy ci są tak dobrzy jak tamci? Prawdopodobnie tak. Trudno mieć całkowitą pewność zanim nie pojawią się potwory. Trening nie jest tym samym co rzeczywistość, jakkolwiek by był realny. Ten oddział ma dobre wyniki i reagują naprawdę doskonale kiedy zaskakujący ogień z flanki nie jest niczym więcej tylko deszczem ładunków z farby. Jeżeli będą tak dobrzy w rzeczywistych warunkach, kiedy pojawią się źli chłopcy, wtedy, ech, będą lepsi niż jego grupa na Rim.

Modlił się do wszystkich bogów by byli lepsi. Inną rzeczą jest ruszać na odosobnioną grupę obcych, a inną lądować na planecie zamieszkałej przez potwory. I kto wie czy ich świat nie jest pełen jeszcze gorszych bestii? Może monstra, przeciw którym będą walczyć są jak myszy w porównaniu do innych tam żyjących. To była gorzka myśl. Jeżeli ten oddział ma tam dotrzeć i wrócić, musi być dobry. Powinni być najlepsi. Gdyby mógł nauczyć ich wszystkiego co pamiętał, gdyby wpoił im całą swą wiedzę zanim staną do walki, gdyby uświadomił im przeciw jakiemu wrogowi staną...

"Gdyby" było wielkim słowem, chociaż na takie nie wyglądało. W tej akcji nie będzie miejsca na błędy. Każdy mógłby kosztować ludzkie życie.

Może nie tylko życie. Stare słowo nie pasowało tutaj. Bestie mogły cię zabić, a potem zjeść. Mogły zrobić też coś gorszego. Pozostawić cię przy życiu.

Oddział zaczął biec równym tempem. Wilks odwrócił myśli od rozważań o tym, co może ich spotkać.

- Dobra, dzieciaki. Zobaczmy czy potracimy przejść przez ulicę i uniknąć przejechania. Blake, jesteś szpicą, Easley dowodzisz, Bueller taktyka, Ramirez...

Skończył wydawać rozkazy i zaczął opisywać wykonanie zadania. Przerwał, gdyż zdecydował, że pozwoli im improwizować w czasie akcji w zależności od rozwoju wydarzeń. Zamiast mówić im co ich czeka powiedział tylko:

- Za czterdzieści pięć sekund pojawi się tu nowy obraz pola walki. Tyle dostajecie dla siebie. Starajcie się zachowywać tym razem jak komandosi, a nie jak gówno na nogach!

Zrujnowanie ściany i bunkier zaczęły znikać i komputer zaczął budować nową scenę. Sierżant odwrócił się i odszedł. Otoczenie wyglądało na zupełnie realne, choć było tylko iluzją.

To, z czym niebawem się zetkną iluzją nie będzie. "Mógłbyś na to plunąć, żołnierzu - pomyślał - i nie byłoby to najgorsze."

8.

Drzwi do sali konferencyjnej rozwarły się przed Billie jak wrota piekieł. Za nimi czekała, jak wiele razy wcześniej, grupa konsultacyjna.

Wciągnęła głęboko powietrze i weszła.

Przed nią stał doktor Jerrin i nie uśmiechał się. Zły znak. - Usiądź, Billie,

Popatrzyła na pozostałe sześć twarzy. Trzy z nich należały do lekarzy, których знаła, jedna do administratora centrum medycznego, jedna do prawnego reprezentanta władz. Ostatnia także była miła i praworządna.

Usiadła. Jerrin popatrzył po pozostałych. Chrząknął, zabębnił palcami o stół.

- Billie, widzisz, uważamy, że w twoim leczeniu nastąpił... eee... pewien impas.



- Naprawdę? - Billie nie potrafiła powstrzymać ironii. I tak nie miało to żadnego znaczenia. To tylko cienka otoczka grzeczności. Nie zamierzali jej stąd wypuścić. Nie teraz. Prawdopodobnie nigdy. Pewnie spędzi tutaj całe życie.

- Doktor Hannah zaproponowała nowy sposób leczenia, który, jeśli się powiedzie, no, bez dramatyzowania, jeśli się powiedzie... daje nam szansę na powstrzymanie tych nocnych niepokojów.

Billie ożywiła się nieznacznie.

- Naprawdę? - tym razem w jej głosie było mniej sarkazmu.

Jerrin spojrział na doktor Hannah, tłustą blondynkę z jakiegoś zimnego klimatu.

- Tak - odezwała się lekarka - mamy pewne osiągnięcia w leczeniu tą metodą skazańców. To całkiem prosta metoda operacja przy użyciu lasera chirurgicznego, który niszczy określone obszary mózgu...

- Co? Mówicie tutaj o wypaleniu mi mózgu! - Spokojnie, Billie... - zaczął Jerrin.

- Pieprzę to! Nie chcę!

Hannah uśmiechnęła się z goryczą.

- To tak naprawdę nie zależy od ciebie: Władze mają pewne uprawnienia, kochanie. Z powodu swych urojeń jesteś zagrożeniem dla siebie i innych...

-To nie są urojenia! Wilks był tutaj. Wilks, komandos, który mnie uratował na planecie Rim! Spytajcie go! Odszukajcie go i zapytajcie!

Billie stała i wrzeszczała na doktor Hannah.

Drzwi otworzyły się i weszła dwójka dyżurnych z kaftanem bezpieczeństwa w rękach.

- Co dostała? - spytała gruba lekarka, jakby Billie nie było w pokoju.

- Triazolam, Haliperidol, Chlorpromazynę. Podwójne dawki - wyliczył Jerrin.

- Widzicie? Uzależnienie. Rotujemy jej leki. Wszystkie jakie tylko istnieją, a ona się do nich przyzwyczaja. Nie powinna móc nawet chodzić, a popatrzcie tylko.

Billie szarpała się w uścisku dwójki sanitariuszy. Chociaż byli to potężni mężczyźni, z trudem potrafili ją utrzymać. Jerrin westchnął.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Doktorze! Proszę! Nie róbcie tego!

- To dla twojego dobra, Billie. Będziesz szczęśliwsza bez tych koszmarów.

- Ale za jaką cenę? Czy zabierzecie mi tylko sny? Jerrin patrzył tępo w stół.

- Czy tylko?

- Mogą być jakieś niewielkie uszkodzenia. Mała utrata pamięci.

- Zamierzacie, skurwysyny, wypalić całą osobowość, prawda? Zamienić mnie w zombi!

- Ależ, Billie...

Z siłą zrodzoną z przerażenia Billie wyrwała się z uchwytu sanitariuszy i rzuciła do ucieczki. Była w drzwiach, gdy trzeci dyżurny trafił ją w bok elektrycznym strzałem. Upadła niezdolna zapanować nad mięśniami.

"O, Boże. Chcą pozbawić mnie mózgu. Lepiej już umrzeć, bo kiedy to zrobią, nigdy już nie wyjdę do domu."

9.

Wilks patrzył w ekran komputera. Liczby i słowa powoli przesuwały się mu przed oczami.

"Musisz się na to gapić, co? - pomyślał - Musisz zaspokoić swoją pieprzoną ciekawość. Dobra, więc teraz już wiesz. A skoro wiesz, to co masz zamiar zrobić?"



Wysliznął się z fotela stojącego przed wojskowym terminalem. Pokój, w który właśnie przebywał należał do części biblioteki normalnie dostępnej tylko dla oficerów. Ale Wilks był specjalnym przypadkiem. Nawet, gdyby nie użył kodu zagrożenia by wejść do systemu, to i tak potrafiłby skorzystać z interesujących go zbiorów. Nie można przebywać w Korpusie przez dziewiętnaście lat i nie nauczyć się paru rzeczy.

Kilku tłuików siedziało przy komputerach. Wilks mijał ich wychodząc z biblioteki. Ciężko było zdobyć stopień nie biorąc udziału w walkach albo przynajmniej w misji pozaziemskiej. Ci faceci tutaj myślą, że przeszukując zbiory, ucząc się, skacząc z tematu na temat zbliżą się do upragnionego awansu. Osobiście sierżant w to wątpił.

Mógłby sprzedać im swoje miejsce, gdyby tylko chcieli z nim handlować. Tak się jednak nie stanie. Odchodził, prawie uciekał i nie udawało mu się. Uciekał już zbyt długo przed swym przeznaczeniem.

"W porządku, chłopie - powiedział do siebie - Czego chcesz? Albo inaczej; co chciałbyś zrobić? Odejść? Będiesz prawdopodobnie przeżuty na hamburgera w parę godzin po spotkaniu z obcymi. Statek odlatuje za osiem godzin, a ty masz być na nim za sześć. Co jeszcze mógłbyś zrobić?"

Kiwnął głową pochłonięty własnymi myślami. Akurat przechodził obok grubego majora. Tamten spojrzał na jego dystynkcje i zdębiał. Zamierzał coś powiedzieć, być może zrugać Wilksa za przebywanie w strefie zastrzeżonej dla oficerów. Lecz komandos odwrócił głowę i major dostrzegł wypalone kwasem blizny na twarzy sierżanta.

Grubas pobladł, sięgnął ręką do własnego policzka. Wilks wiedział co tamten pomyślał: "Jest tu jakiś intruz i oficer powinien sprawdzić dlaczego tu się znalazł. Z drugiej strony tenże intruz ma twarz jak potwór z holograficznego filmu i może lepiej się go nie czepiać. Oczywiście nie pałęta się tutaj przez przypadek. Ktoś musiał go przysłać."

"Dobrze myślisz, tłuściochu" - twarz Wilksa wykrzywił uśmiech.

Pieprzyć to. Znał faceta z Programowania, który był mu winien przysługę. Właściwa chwila by upomnieć się o spłatę starego długu. Wilks wyszedł, żeby znaleźć swego starego dłużnika.

Kompleks budynków medycznego centrum połyskiwał jak brzydki stwór z plastonu, stalfomu i szkła. Wilks wysiadł z taksówki i powoli ruszył ku wejściu. Znał oddział, numer pokoju i układ korytarzy oraz zabezpieczenia. Wszystko dzięki programiście z MI-7. Nie będzie chyba problemu. Każdy system zabezpieczeń da się jakoś ominąć. Stopień dawał pewne korzyści, ale i tak faceci, którzy byli na pierwszej linii znali parę trików na własny użytek.

Zamek przy wejściu był starego typu. Prawie antyk. Dlatego wybrał właśnie to wejście, a nie inne, gdzie komputer odczytywał wzór siatkówki w oku. Sierżant wystukał kod, który dostał w prezencie.

Zamek zaszumiał i drzwi otworzyły się. Do diabła, to łatwiejsze niż zabicie muchy. Wszedł do środka.

Strażnik - człowiek, nie robot - siedział pochylony nad biurkiem i oglądał pornosy w projektorze wielkości dłoni. Spostrzegł Wilksa, gołe postacie zniknęły z ekranu. Niezadowolony popatrzył na przybysza.

- W czym mogę pomóc?

- Chciałbym zobaczyć się z doktorem Jerrinem.

Strażnik spojrzał w dół. Odszukiwał nazwisko lekarza. Machnął ręką ponad biurkiem.

- Kim pan jest? - zapytał.

- Emile Antoon Khadaji - Wilks podał nazwisko; które zapamiętał z jakiejś starej książki.

Strażnik ponownie zerknął w dół.



- Nie widzę pańskiego nazwiska na liście, panie Khadaji. Komandos nie miał czasu. Nie mógł odnaleźć listy pacjentów, chociaż nazwisko lekarza podał prawidłowe.

- Dopiero co się umówiłem. Ktoś musiał coś zaniedbać. Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Porozumiem się z doktorem - powiedział. - Wspaniale. Proszę sprawdzić.

Pokazał strażnikowi swoją twarz. Facet z taką gębą musi mieć problemy ze sobą, no nie? Ten za biurkiem nie był podejrzliwy. Po prostu wykonywał swe obowiązki. Pewnie nie miał tu zbyt wiele pracy skoro miał czas na porno.

Kiedy strażnik sięgnął po słuchawkę, żeby połączyć się z doktorem Jerrinem, Wilks położył rękę na biodrze. Miał tam wielostrzałowy pistolet z ładunkami obezwładniającymi. Kupił tę broń na czarnym rynku. Była nielegalna i potrafiła razić na dwadzieścia metrów.

Komandos rozejrzął się. Nikogo.

Wyciągnął obezwładniacz i wycelował, trzymając w obu rękach. Czuł chłód plastikowej rękojeści. Broń wyrzucała cienki strumyk ładunków, którym trzeba było trafić w cel. Laserowy celownik umieszczony pod niezgrabną lufą pomagał w tym wydatnie. Czerwony punkcik zatańczył na twarzy strażnika i zatrzymał się na jego czole.

- Hej, co jest? - zdążył powiedzieć zaskoczony mężczyzna. Wilks strzelił.

Strażnik opadł na krzesło. Sierżant przesunął bezwładne ciało tak, żeby wyglądało, że tamten śpi. I tak obudzi się za pół godziny z obolałą głową. Nic więcej mu się nie stanie.

Wyciągnął strażnikowi jego kartę identyfikacyjną z kodem paskowym i wsadził ją do kieszeni. Nie będzie na tyle głupi, żeby używać jej w skomputeryzowanych przejściach, ale może oszukać nią ludzi. Zanim strażnik oprzytomnieje wszystko powinno się skończyć. W taki czy inny sposób. Na razie Wilks wprowadził do systemu zabezpieczeń wirusa, którego dostał od programisty. Jeżeli działa tak jak mu powiedziano, powinien zniszczyć główny system tego budynku. Nikt nie będzie mógł wezwać pomocy z zewnątrz przez dłuższy czas. Chyba, że otworzą okna i będą się przez nie wydzierać. Nie zrobił nic z wewnętrznym systemem bezpieczeństwa, ale wyobrażał sobie, że potrafi poradzić sobie z nim. Komandosi Kolonialni, jakim był, potrafią znaleźć lekarstwo na każdego gline. Włożył pistolet do pochwy i uśmiechnął się.

Pora na randkę.

Drzwi do pokoju Billie otworzyły się cicho. Trzymana na łóżku przez bezlitosne pole, nie mogła zdobyć się na więcej niż lekkie skręcenie głowy.

- Wilks!

- To ja. Pakuj swoje manatki, dzieciaku. Jedziemy na wycieczkę - podszedł do łóżka i wyłączył pole.

- Jak ty...? dlaczego...?

- Porozmawiamy później - przerwał. - Teraz musimy się pośpieszyć. Kiedy szedłem do ciebie narobiłem sobie paru wrogów. Myślę, że nie pozwolą nam teraz podyskutować.

Billie wyskoczyła z łóżka. Chwyciła szlafrok i włożyła go. - Jestem gotowa.

- Nie chcesz się uczesać albo zrobić makijaż czy coś w tym stylu? - wyszczerzył do niej zęby.

- Przepląnęłabym przez basen z tłuczonym szkłem, byle się stąd wydostać. Chodźmy.

Odwrócił się i wychylił głowę na korytarz. - W porządku. Droga wolna.

Wyszła za nim z pokoju.

Szło im całkiem dobrze dopóki nie dotarli do windy. Drzwi szybu otworzyły się i dwóch sanitariuszy wraz z dwójką strażników wyskoczyło do hallu. Strażnicy byli uzbrojeni, a sanitariusze potrzęsali obezwładniaczami.



Wilks nie zawahał się ani na moment. Wyrwał pistolet spod marynarki i wystrzelił. Billie widziała jak czerwony punkcik przeskakiwał z głowy na głowę. Trzech padło natychmiast, a ich broń stuknęła o podłogę. Ostatni z sanitariuszy, Billie go nie .znała, uniknął losu kolegów i stał teraz naprzeciw nich jak dziwna rzeźba. Obezwładniacz sterczał jak miecz z jego. dłoni.

Wilks schował broń.

- Stań za mną, dziecko - powiedział. Sanitariusz ruszył na niego.

Komandos zrobił krok w lewo, odbił ramię napastnika i uderzył pod żebra. Sanitariusz sapnął, zachwiał się, ale ponownie podniósł broń. Stopa Wilksa wylądowała na jego kolanie. Billie usłyszała trzask kości. Pod mężczyzną załamały się nogi, a komandos kopnął upadającego piętą w szczękę. Sanitariusz runął na ścianę.

- Gdzie są schody? - Tędy. .

Billie poprowadziła sierżanta na koniec korytarza. Obejrzała się jeszcze na leżących nieruchomo sanitariuszy i strażników. Ten facet pokonał ich błyskawicznie i nawet się przy tym nie spocił.

- Dlaczego nie strzeliłeś do ostatniego? - spytała, gdy dotarli do klatki schodowej.

- Magazynek pistoletu był pusty. Nie było czasu na zmianę - odpowiedział.

Zeszli w dół o dwa piętra - jej pokój był na czwartym Wilks skręcił w korytarz.

- To jeszcze nie parter - zaczęła Billie.

- Wiem. Na pewno już obstawili wszystkie wyjścia. Musimy wydostać się inną drogą.

Poszła za nim. poruszali się spokojnie. Nie biegli. Jakiś technik popatrzył na nich, gdy go mijali. Wilks uśmiechnął się i skinął mu głową.

- Jak leci?

Technik kiwnął w odpowiedzi głową. Nagle tablica kontrolna błysnęła, odwracając od nich uwagę.

- Idziemy - ponaglił Wilks - To może być alarm.

Billie biegła. W końcu korytarza było wyjście bezpieczeństwa, ale trzeba było znać kod, żeby je otworzyć.

- To zamek szyfrowy - powiedziała.

- Nie ma czasu na bawienie się cyferkami. Ale mam tu, dzięki uprzejmości Korpusu Komandosów Kolonialnych taki maleńki klucz uniwersalny.

Billie zobaczyła że Wilks wciska do zamka coś co wyglądało jak żel do włosów. Pociągnął ją w tył.

Za ich plecami zaczął krzyżeć technik:

- Hej, wy tam! Odejść od okna! Dzwonię po Ochronę!

Żel błysnął jaskrawym niebieskim światłem i zaczął skwierczeć jak olej na gorącej patelni. Twardy plastik zamka pokrył się najpierw bąblami, a potem spłynął jak woda.

- Nie patrz. Może wypalić ci oczy.

Billie odwróciła się i ujrzała technika zbliżającego się do nich.

- Wilks!

- To nie problem - wyciągnął pistolet spod kurtki i wycelował w nadchodzącego mężczyznę.

Technik zatrzymał się. Podniósł ręce w obronnym geście. - Hej, uspokój się! Zaczekaj!

- Spadaj stąd - rzucił sierżant. Tamten odwrócił się i uciekł. Wilks uśmiechnął się.

- Zdziwiałące, co potraci zrobić z człowieka nawet nie naładowana broń.

Zamek rozlał się kałużą na podłodze. Komandos kopnął okno. Otworzyło się z trzaskiem. Wychylił się i spojrzał w dół.



- Za wysoko na skok. Połamalibyśmy nogi.

Billie zobaczyła jak wyciąga parę chwytów ze sterczącymi na boki dziwnymi dodatkami i coś z czarnego plastiku wielkości męskiej dłoni.

Wilks przyłożył urządzenie do ramy okna i nacisnął przycisk. Zaszumiało. Cienkie białe żądło wysunęło się i wkręciło w metal. Nacisnął inny guzik. Pojawiła się pętla.

- Raz, dwa, trzy, cztery - powiedział - W porządku. Wszystko gra. Włóż mi na plecy.

Billie zrobiła jak kazał.

Wszedł na parapet, odwrócił się twarzą do korytarza i zaczął schodzić po ścianie. Linka wysuwała się miarowo. Wyglądała strasznie słabo, jednak spełniała swoje zadanie.

- Trzymaj się - przypomniał.

Przylgnęła do niego, oplatając mocno rękami i nogami.

- Pajęczce urządzenie - objaśnił - Nie obawiaj się. Ta linka wytrzyma ciężar dziesięciu ludzi.

Po nie więcej niż kilku sekundach stanęli na ziemi. Billie ześliznęła się z pleców Wilksa i zapytała

- Dokąd teraz? - Czy to ważne?

Potrząsnęła głową. Nie. Nie miało to żadnego znaczenia. Wszystko było lepsze niż operacja na mózgu.

Ruszyli w pośpiechu dalej.

10.

- Mówi wasz prorok Salvaje. Przynoszę wam słowo Prawdy od Prawdziwego Mesjasza. Słuchajcie mnie poszukiwacze.

Znam wasze potrzeby. Znam wasze niespełnienia. Mam na nie odpowiedź.

Prawdziwy Mesjasz może zaprosić was na Święte Przyjęcie. Przyjmując w siebie synów lub córki Mesjasza znajdziecie swoje zbawienie. Wiedźcie, że przemawia przeze mnie Prawda! Fałszywi prorocy i fałszywi bogowie przywiedli nasz świat do progu zagłady! Fałszywi bogowie proszą by modlić się do nich, ale pozostają zimni i nieczuli na wasze błagania. Prawdziwy Mesjasz połączy się z wami! Będziecie Go czuli, będziecie Go dotykali! Staniecie się jednością z Prawdziwym Mesjaszem! Nie zaniedbajcie okazji, bracia i siostry! Zrzućcie łańcuchy, uwolnijcie się ze starych przesądów i przygotujcie miejsce na Wielką Nowinę!

Prawdziwy Mesjasz nadchodzi, bracia i siostry. Już. Połączenie stanie się możliwe i tylko ci, którzy otworzą się na nie przeżyją nadchodzące zniszczenia, a człowiek wyrośnie ponad siebie! Przygotowujcie się, przygotowujcie na Przyjście Mesjasza! Słuchajcie mojego wołania! Słuchajcie i bądźcie czujni!

- To wszystko - powiedział Pindar - Już nas nie ma w eterze.

Salvaje wzruszył ramionami.

- Zainstaluj nowy przekąźnik. Moje posłanie musi być kontynuowane. - To twoje pieniądze - mruknął technik.

- Pieniądze nic nie znaczą, głupcze. Rodzice zostawili mi miliony, wierni przysłali mi następne. Niebawem będą bezwartościowe, tak jak wszystko na tej plugawej planecie. Nadchodzi Prawdziwy Mesjasz.

"Tak, pewnie - pomyślał Pindar - Może powinienem wziąć od Salvaja trochę *tych* bezwartościowych kredytek i spędzić parę dni w Domu Uciech Madam Lu. Dopóki Mesjasz nie nadejdzie można się zabawić."



- Co tylko rozkażesz - powiedział głośno. W myślach dalej kontynuował swój monolog:
"Co to za szurnięty facet, głupi jak karaluch. Dopóki, jednak płaci, do diabła z nim. Może tańczyć nago po maśle fistaszkowym. Jeszcze dwóch takich czubków i mogę iść na emeryturę. Prawdziwy Mesjasz. Coś takiego."

11.

Zielony i Czerwony wyszli z teatru. Podjechała limuzyna. Kierowca dotknął guzika i tylne drzwi otworzyły się bezszelestnie. Obaj mężczyźni wsiedli, a automaty dopasowały fotele do ich ciał.

- Do wieży, polecił kierowcy Czerwony.

Limuzyna uniosła się nieznacznie i odpłynęła na powietrznej poduszce.

- Oczym myślisz? - spytał Zielony.

- Czy ludzie naprawdę mogli słuchać tego hałasu z przyjemnością.

Zielony roześmiał się.

- Tak mówią historyczne książki. Nazywali to koncertami rockowymi. I faktycznie walili na nie tłumnie, zamiast siedzieć wygodnie we własnych domach i oglądać to na holowideo.

- Co za sens?

- Z powodu pełni wrażeń - obraz, dźwięk, zapach, emocje. Poza tym poczucie wspólnoty.

Czerwony pokręcił głową.

Ciekawe jak to się stało, że nie zginęła przy tym cywilizacja. Ryzykować życiem pędząc nieregulowaną autostradą, żeby posłuchać takiego gówna? Ciekawe też, że nie ogłuchli.

- Ech, czasy się zmieniają. Nie nosimy już skór zwierząt i nie walimy się maczugami po głowach.

- Właśnie, mówiąc o maczugach... jak idzie inwigilacja? - Tak jak oczekiwaliśmy.

- A sprawa tego... jak mu tam? Massey'a? Żadnych problemów?

- Żadnych. To już załatwione.

- Co się dokładnie wydarzyło? Nie jestem na bieżąco. Zielony sięgnął do barku limuzyny i wybrał, kod. Po chwili pojawiły się dwa pękate naczynka wypełnione błękitną cieczą. Zielony wziął jedną, drugą podał Czerwonemu.

- Niezłe jak na maszynę. - Mówiłeś o...?

- A, tak. jeden z ludzi posłał Masseyowi niezakodowaną informację. Posłał ją do domu. Komputer tego nie wyłapał. Prawdziwy pech. Nie byłoby nieszczęścia, po prostu niedo-
godność, gdyby syn Massey'a nie przechwycił całego materiału.

- Głupiec - Czerwony pociągnął niebieskiego płynu.

- Zdecydowanie tak. Chłopiec pokazał to matce. Żadne z nich nie zrozumiało w pełni o co chodzi, ale dowiedzieli się wystarczająco dużo, żeby zagrozić misji. Massey był pod prysznicem, kiedy nadszedł ten materiał. Kiedy wyszedł, jego żona zaczęła paplać o tym co właśnie widzieli: ona i syn. Zielony wlał do ust więcej napoju.

- Nasz człowiek naprawdę nie miał wyboru. Bezpieczeństwo zostało zagrożone.

Chłopiec uśmiechnął się do ojca. Massey odwzajemnił uśmiech. Wyciągnął ręce i delikatnie ujął w dłonie głowę syna. Ruch, który nastąpił był tak szybki, że chłopczyk nawet nie zdążył się zdumieć. Mocne skręcenie, zgrzyt kości, natychmiastowa bezwładność małego ciała.

Oczy jego żony rozszerzyły się w krańcowym przerażeniu. Zanim jednak zrozumiała co się stało, Massey podszedł do niej. Pojedynczy wytrenowany ruch. Żadnego bólu. Musiał



tozrobić, ale nie chciał by cierpieci. Polubił ich oboje. To co zrobił było dla nich najlepsze. Zaszli sobie na lekką śmierć.

- Boże. To przerażające - powiedział Czerwony.

- Zgoda. Tak musiało się stać. Ale byli rodziną od sześciu lat. Mimo, że był to tylko kamuflaż, on nie mógł pozwolić, żeby mokrą robotę zrobił ktoś inny. Więc sam się tym zajął. Firma zadbała by grupa śledcza z miejscowej policji zachowała się rozsądnie i zaakceptowała opowiadanie Massey'a, że znalazł ich martwych po powrocie z pracy. Miejscowy władze uważają, że był to napad rabunkowy, który się nie udał, albo włamanie kogoś wystarczająco sprytnego; kogoś, kto potrafił wejść mimo systemu bezpieczeństwa.

- A co z technikiem, który przesłał wiadomość. Nic się z tym nie robi?

Zielony wysączył do końca swój napój i wziął następny. Popatrzył na Czerwonego i uniósł brew.

- Nie. Dla mnie starczy.

- Massey zajął się również nim - wyjaśnił Zielony - Ciało wrzucił do pojemnika w fabryce nawozów naturalnych. Do tej pory facet dokarmia już pewnie kwiatki i warzywa w paru krajach na całym świecie.

- Teraz już chyba możemy na niego naszczać, co.

- No, cóż. To nie taka prosta sprawa. Przynajmniej nie możemy zrobić tego osobiście. Massey zabił ich czysto. Nie torturował. Nic z tych rzeczy, jeżeli tylko powiedziano mi prawdę. I jest dla niego następna robota.

- Na Buddę, to niesamowite. Sukinsyn jest odpowiedzialny za śmierć swojej żony i dziecka. Chcę go pomęczyć trochę zanim wykończę.

-Ale ty nie jesteś socjopatą. Z Masseyem jest tak, że praca dla niego jest najważniejsza. Wykonuje ją i nie dba o to, co musi zrobić, żeby ją skończyć. Czerwony wzdygnął się.

- Mamy coś na tego faceta?

- Oczywiście. Chyba nie myślisz, że pozwolimy komuś jego pokroju hasać na wolności bez kontroli? Ma wszczepioną w mózdzek kapsułkę C9 oraz przekaźnik. Gdyby kiedykolwiek stał się niewygodny, ktoś z Bezpieczeństwa wyśle zakodowany sygnał i... bum! Głowa Massey'a zamieni się w garnek wypełniony krwawą sałatką.

- Doskonale - Czerwony nie ukrywał zadowolenia - Tacy jak on są potrzebni, ale możesz spać lepiej, wiedząc, że możesz go w każdej chwili wysłać do wieczności.

- Nie obawiaj się - powiedział Zielony - W końcu to nasza praca. Kontrolujemy wszystko.

Massey wyglądał na zasmuconego, kiedy opuszczał cmentarz po pogrzebie żony i syna. Musiał do końca grać swoją rolę. Tak naprawdę nie czuł żadnych szczególnych uczuć. Jedna kobieta i jedno dziecko mniej nie miało żadnego znaczenia. Skoro przyzwyczał się być z nimi, przyzwyczał się również do ich braku. Tak to już jest.

Za jego plecami szedł facet, który stale go śledził. Starannie uważał, żeby wmieszać się pomiędzy przechodniów i stać się niewidocznym. Był dobry, ale Massey rozpoznał w nim szpicla już wiele miesięcy temu. Nie gubił go, bo lepiej mieć na ogonie znanego diabła, niż kogoś, kogo się nie zna.

Zaprzagnął się uśmiechnąć, lecz zmusił się do zachowania poważnej twarzy. Firma myślała, że jest bardzo sprytna, umieszczając mikroskopijny ładunek wybuchowy w jego organizmie. Massey miał więcej pieniędzy niż potrzebował, a z wystarczającą ilością kredytek nie było zbyt trudno znaleźć dobrego lekarza. C9 było łatwe do usunięcia. Równie łatwo było umieścić kapsułkę wielkości główki od szpilki w pistolecie pneumatycznym. Kiedy był na wakacjach w Rezerwacie Amazonki, śledzono go tam oczywiście. Rezerwat stanowiło dwadzieścia kilometrów kwadratowych tropikalnej dżungli utrzymywane w odosobnieniu przez specjalne pole. Świat zwierząt był tam niezwykle bogaty. Obfitował



również w niezliczone gatunki owadów, z których wiele potrafiło wbijać żądła. Człowiek śledzący go zgubił swą siatkę ochronną, przynajmniej tak mu się wydawało, i kiedy komary zaczęły go kąsać, jeden zrobił to szczególnie mocno. Facet klepnął się po ciele, ale oczywiście nie trafił natrętnego owada. Nie mógł tego zrobić z prostej przyczyny: to ukąszenie nie było dziełem insekta.

Teraz śmiertelne kapsułka C9 znajdowała się w mózgu tamtego. Dzień, w którym wysłę sygnał mający zabić Maseya, będzie pełen niespodzianek. Lokator, którego mu wszczepili, zmienił miejsce zamieszkania i tamci z pewnością o tym nie wiedzą.

Lekarz, który robił operację jest teraz częścią mostu na Marsie, jeżeli tylko informacje Maseya były ściśle. Sprawy zostały tak zagmatwane, że nie było możliwości ich rozwiązania.

Tak długo jak pozwolą mu wykonywać swoją robotę, nie chce mieć z Firmą żadnych problemów. Ale na wypadek, gdyby wpadli na jakiś głupi pomysł, lepiej być przygotowanym. Pomyłki się zdarzają, chociaż on ich nie popełnia. Jednak zawsze lepiej się ich spodziewać.

Tym razem praca zapowiadała się na dużą i wartą wielu kredytek. Pieniądze były dla niego wyznacznikiem stopnia trudności zadania i oceny własnej wartości. Jak dotąd był najlepszy i nikt nawet nie zbliżył się do jego klasy. Firma myśli, że jest sprytna, ale wszyscy oni nie dorastają mu do pięt. Jest najlepszy. I zamierza pozostać na szczycie jeszcze bardzo długo.

Chociaż Wilks był tylko sierżantem i teoretycznie powinien słuchać poleceń każdego liniowego oficera, to w tej akcji tylko Stephens mógł wydawać mu rozkazy. Chcieli, żeby był na statku, więc musieli użyć nieco wazeliny, żeby się na to zgodził. Wilks wyobrażał sobie, że swojej władzy może używać.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było przejęcie kontroli nad komputerem przy pomocy programu uzyskanego od wdzięcznego programisty. Mógł także bez przeszkód poruszać się po całym statku. Wprowadzenie Billie na pokład okazało się więc łatwiejsze niż wyrwanie jej z centrum medycznego. Kiedy Wilks załadowywał na statek dwie kapsuły do hibernsu, Billie znajdowała się w jednej z nich. Nikt go nie pytał o nic. Przeszedł przez luk zamieniając tylko kilka słów ze stojącym tam szeregowcem.

- Hej Sierżancie - odezwał się żołnierz - Cienko to wygląda. Pięć minut do kostusi, co?
- Żyj szybko, umieraj młodo... - zaczął sierżant.

- ...i zostaw po sobie przystojne szczątki - zaśmiał się żołnierz.

Wilks pokręcił głową. Wielu cywilów sądziło, że Komandosi Kolonialni mają stalowe spojrzenie, budzą strach, są tak niebezpieczni jak pudło os z Acturii i ostrzy jak pokój pełen igieł. Resztki uczuć, jeżeli je w ogóle posiadali, miały zniknąć podczas morderczego treningu. Mieli umieć żuć gwoździe i łykać pinezki. Prawda zaś była taka, że przeciętny żołnierz był dzieciakiem, który ledwo zaczynał golić swoją gładką jak brzoskwinia buźkę i był takim samym naiwniakiem jak każdy nastolatek. Nie trzeba geniusza, żeby zaliczyć egzamin wstępny do armii. Jeżeli tylko potrafisz znaleźć drogę do pokoju testów i wprowadzić do komputera swoje dane, to już zdałeś. Jak długo zostaniesz przy życiu zależy natomiast od tego jak dobrze cię wyszkolą i jak głupi będą twoi dowódcy. Ale mity na temat komandosów są tylko mitami.

Wilks wprowadził kapsuły obok żołnierza, wioząc je na specjalnych wózkach. Nikt nie spodziewał się, że można przemycić człowieka na wojskowy statek opuszczający Ziemię. Z powrotem, być może. Wielu ludzi chciało wracać do domu niezależnie od warunków podróży.

Stephens narobi w spodnie, kiedy to się wyda, ale już będzie za późno. Nie można zawrócić statku gwiazdowego i zrobić dodatkowych pięćdziesięciu lat świetlnych, żeby zostawić pasażera na gapię. A w tej akcji nie przewidywano żadnych międzylądowań. Zajmie ona ponad rok. Przynajmniej na tył0 była przewidziana, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem.



Wilks wzruszył ramionami.

"Stephens to idiota. Biurkowy jeździec bez najmniejszego doświadczenia w polu, a tym bardziej w walce. Musiał coś komuś wsunąć do kieszeni, skoro dostał ten przydział. Ten facet nie miał najmniejszego pojęcia jak niebezpieczną będzie ich misja. Usunięcie z pokładu broni plazmowej było jego pierwszym durnym błędem. Chciał pokazać kto tu dowodzi. W porządku. Musi przeżyć, żeby tego żałować."

Zaciągnął kapsuły do przedziału sypialnego. Dotknął guzika i pokrywa uniosła się powoli w górę.

- No, dzieciaku. Oto co się wydarzyło. Zamierzamy lecieć na planetę potworów. Ty i ja, oboje wiemy czym to pachnie, ale nikt nam nie chce uwierzyć. Prawdopodobnie nie wrócimy z tej wyprawy. Dziewczyna pobladła.

- Jeżeli chcesz, jeszcze mogę cię odstawić z powrotem. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. W końcu Billie pokręciła przecząco głową.

- Żyłam z tym przez większą część mego życia. Mogę spotkać się z nimi we śnie czy na jawie. Nie stanowi to dla mnie różnicy.

Sierżant kiwnął głową.

- Właśnie tak to widzę. W porządku. Zamierzam położyć cię spać tutaj. Do zobaczenia po obudzeniu.

- Cześć.

Zaczął zamykać pokrywę. - Hej, Wilks?

- Tak?

- Dzięki, że przyszedłeś po mnie. Wzruszył ramionami.

- Mamy ze sobą coś wspólnego, dzieciaku. Oboje powinniśmy umrzeć na Rim.

- Wiem - zgodziła się.

- Może kopniemy w dupę chociaż jedną bestię zanim zejdziemy z tego świata.

- Będę miała to na uwadze.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała żadnych snów. - Chciałabym.

Zamknął kapsułę i ustawił w odpowiedniej pozycji. Po kilku sekundach włączyły się obwody zamrażania. Ustawił czas. Śpij dobrze, dzieciaku.

Odwrócił się i wyszedł.

12.

PRZEGLĄD DANYCH - UŻYCIE JEDNORAZOWE

.. :: ..: ..:: ..:..... :::: . ..::: :::::

Personel Autoryzowany, WYMAGANE POTWIERDZENIE

TS-1. Wewnętrzne Memorandum Narodowego Laboratorium Biologicznego 385769.1/A, pop.II

Opis Operacji

Raport Rozwoju Sytuacji:

Rządowa rakietka Benedict Wystartowała zgodnie z planem w dniu 5 kwietnia 2092 o godzinie 9.00 z kosmodromu wojskowego w Toowoomba. Normalna załoga plus Oddziały 1-4, Plutonu Lis, Kompanii Abel, Pierwszej Dywizji Extee, Drugiego Korpusu Komandosów Kolonialnych. Dowodzi Pułkownik H. S. Stephens. (Patrz dodatek personalny A.)



Statek laboratorium wystartował 5.04.92, 0900.5. Całkowicie zautomatyzowany, załoga udoskonalone androidy serii EXP pod dowództwem Asystenta Bezpieczeństwa P Massey'a.

(Joel - Wiesz ogólnie o tym przedsięwzięciu, ale muszę ci przekazać parę szczegółów, które mogłeś przegapić jak byłeś na wakacjach. Obca forma życia, którą chcą schwytać chłopcy z rządu, jest bardzo groźna i oczywiście chcieliby wykorzystać ją jako swoisty rodzaj broni. Nie trzeba ci mówić, że skompromitowałyby to nasz własny program. Zgodnie z ostatnią decyzją Sądu Najwyższego co do patentowania form życia, stworzonych czy odkrytych, możemy stracić z dziesięć lat na pieprzonej legalizacji systemu próbując rozwikłać ten kłębek. Zdecydowaliśmy się więc śledzić ich statek aż do rodzinnej planety tych stworzeń (jej lokalizacja jest okryta tak ścisłą tajemnicą, że nie potrafiliśmy nic wskórać, ani przy pomocy szantażu, ani przekupstwa) i uzyskać tak wiele informacji na ich temat jak to tylko możliwe.

Oczywiście nie możemy pozwolić, żeby rządowy zdobyli własny egzemplarz. Ten facet, Massey, ma rozkazy i jest najlepszy. Zrobi wszystko, żeby ich powstrzymać.

Pewnie słyszałeś, że Dział Badań położył łapę na facecie uratowanym z tego transportowego ekspresu, na szczęście był to jeden z naszych statków. Jeden z tych wielkich obrzydliwych embrionów był owinięty wokół szyi tego nieszczęśnika. Statek był wychłodzony, wszystkie systemy padły, ale w niewiadomy sposób ten stwór utrzymał faceta przy życiu. Był w takim stanie jakby przebywał w kapsule do hipersnu. Do diabła, to jedno jest warte fortunę, gdybyśmy tylko odkryli jak to zrobił.

Wracając do tematu, obydwaj; członek załogi i potwór są ciągle żywi i zostali umieszczeni w laboratorium w Houston, gdzie prowadzą analizy. Jesteśmy ciągle daleko w przodzie przed tymi z rządu i przygotowani do badań w pełnym wymiarze. Zaczynaj myśleć co zrobisz ze swoją premią, Joel. Zamierzamy się na tym wzbogacić. To główny cel. Jest w tym raporcie jeszcze parę rzeczy od chłopców z działu psychiatrycznego. Do zobaczenia w czwartek na Obiedzie - Ben.)

WYJĄTKI ZE ZBIORU - MEDYCYNA - Przypadek #23325 - Maria Gonzales.

Kobieta, 24, niezamężna, typ kaukasko-hiszpański, liczba ciąż 0, leczona z powodu koszmarów sennych. Badanie fizykalne b.z., żadnych znanych alergii, przebyte choroby; okazjonalne złe samopoczucie, w wieku 9 złamana lewa ręka. Badania laboratoryjne włącznie z SMA-60 CBC, analizą moczu, CAT nie wykazały odstępstw od normy. Pacjentka ma od dziesięciu lat wszczepione BC.

DOKTOR RANIER: Mario, opowiedz mi o snach. GONZALES: Dobrze; dobrze. Jechałam metrem w LosAngeles z moją matką...

RANIER: Twoja matka zmarła wiele lat temu? GONZALES: Si, na raka. (milczenie) Byłyśmy w pociągu na linii Wilshire, tej do centrum i wagon był całkiem pusty. Tylko my. (przerwa-śmiech) Wiesz doktorze, to całkiem śmieszne. Nigdy w życiu nie widziałam pustego wagonu metra. RANIER: Mów dalej.

GONZALES: Nagle rozległ się głośny hałas, jakby coś uderzyło w dach wagonu. A potem taki drapiący dźwięk. RANIER: Drapiący?

GONZALES: (poruszona) Tak, jakby coś oskrobało o dach. No, wie pan, doktorze? Jakby ktoś drapał paznokciami o metal. (przerwa) [Uwaga lekarza: Pacjentka wykazuje rosnące zdenerwowanie, diaforezę, drżenie ciała.]

Kiedy pociąg się zatrzymał stwierdziłam, że coś usiłuje dostać się do środka. Coś niedobrego. Więc powiedziałam do matki: Mamusiu, chodź, musimy stąd wyjść! Ale ona, 1Vjama, siedziała i uśmiechała się do mnie, rozumiesz doktorze? (przerwa) .

Wtem, niespodziewanie dach dosłownie rozdarł się i ten stwór, jego szpony, pojawiły się w środku. Nic takiego wcześniej nie widziałam. To były bestie, como se dice? Monstra, z



zębiskami i wielkimi głowami w kształcie banana. Złapałam Mamę by ją wyciągnąć z wagonu, a ona zamieniła się w jednego z potworów. Jej twarz nagle jakby rozciągnęła się...! To zbyt okropne! Odczuwałam to tak... tak realnie.

Przypadek #232337 - Thamas Culp.

DOKTOR MORGAN: Co wydarzyło się po Zaduszkach? CULP: No, tak. Pokój wydawał się jakiś powyginany, poskręcany. (przerwa) Potem jakby coś takiego, no, wyszło z odbiornika, ale znajdowało się poza granicami normalnego hologramu. Jakby pięść przeszła przez powłokę z fleksioplastu. Potem to coś - rodzaj potwora - chwyciło mnie. Nie mogłem się poruszyć. cholera, żaden mój pieprzony mięsień nie zadrgał! Stwór otworzył paszczę, zęby miał długie jak mój palec, a w środku miał jakby drugą paszczę, mniejszą, i ona też się otworzyła i, och... Schwyciła mnie, a ja nie mogłem zrobić najmniejszego ruchu!

Przypadek #232558 - T.M. Duncan.

DUNCAN: Więc, stałem obok stewardessy. Nagle zauważyłem, że wyglądała jakoś znajomo, jak ktoś kogo znałem. DOKTOR FRANKEL: Znajomo? Rozpoznał ją pan? DUNCAN: Tak, w jednej sekundzie. Wyglądała jak moja

matka. Pomyślałem sobie, że powinienem przecież podejść do swej matki, gdy nagle jej pierś rozerwała się na krwawe strzępy i coś wyglądającego jak wąż albo wielki węgorz z zębami, pojawiło się na zewnątrz. Krew tryskała na wszystkie strony, a to coś pofrunęło, o kurwa, poleciało mi prosto w twarz! (przerwa) Wtedy się obudziłem. Człowieku, nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy, że się obudziłem. Nie spałem potem przez dwa dni.

Przypadek #232745 - C. Lockwood.

LOCKWOOD: To coś było wilgotne, oślizgłe od krwi, straszne. Coś jak gigantyczny padalec z zębami. To chciało wgrzyźć się do środka mojego ciała! Siedzący w swym biurze Orona polecił komputerowi zatrzymać przegląd danych i odwrócił się do swego asystenta.

- Interesujące. Mówisz, że wszystkie te przypadki pochodzą z terenu o promieniu około pięćdziesięciu kilometrów? - Tak, proszę pana. Komputer medyczny zgromadził jeszcze około tuzina podobnych doniesień.

- Kim jest przeciętny pacjent?

- Dużo punktów w Skali Cryera i co najmniej dwukrotna norma według tabeli empatii Emersona.

- Aha. I wszystkie opisy są identyczne? - Niemal identyczne.

- Etiologia?

- Nieznana. Najlepsza z hipotez komputera medycznego mówi o pewnego rodzaju przekazach telepatycznych lub projekcji empatii. Może to jest tak, że te stwory komunikują się pomiędzy sobą telepatycznie, lub może usiłują w ten sposób porozumieć się z nami.

- Hmm - mruknął Orona i uniośł brwi - Z naszych danych nie wynika, jak dotąd, że obcy są szczególnie inteligentni. A przyjrzelśmy się im dość dokładnie. Jednak mamy do czynienia z falą spontanicznego... kontaktu niewiadomego rodzaju. Czemu właśnie teraz? I dlaczego na Ziemi? Nie ma tutaj żadnych obcych. .

Ekran komputera nad łóżkiem wypełniały dane o chorym. Pacjent, Likowski, James T., leżał na łóżku uwięziony polem wytworzonym przez najnowocześniejsze urządzenie o nazwie Hyperdyne Systems Model 244-2 Diagnoster. Jego EEG, ECG, napięcie mięśni karku, podstawowy poziom metabolików, stopień mitozy, pełny przepływ krwi... przesuwały się nieprzerwanymi falami przez monitor. Ciśnienie krwi, oddech, tętno były odczytywane i zapisywane. Urządzenie sprawdzało temperaturę i korygowało ją tak, że pacjent nie był ani zbyt chłodny, ani zbyt gorący. Odżywiany był bez pośrednio do żyły mieszanką o optymalnym składzie. Podłączono mu kateter Foleya i dren do odbytniczy w celu jak najlepszego oczyszczania organizmu z toksycznych produktów przemiany materii. Kompania nie dbała o koszty w przypadku tego jednego osobnika. Sterylny pokój znajdował się pod



ustawiczną kontrolą Pełnej Techniki Izolacyjnej, a wszyscy, którzy tu się pojawiali nosili osmotyczne ubrania chirurgiczne zaopatrzone we własny system do oddychania. Południowa ściana wykonana została ze szkła przepuszczającego światło tylko w jedną stronę. Obserwator mógł przyglądać się pacjentowi bezpośrednio. Główną grupę badawczą stanowiło siedmiu lekarzy. Pozostałe osoby przydzielone do tego jednego pacjenta to sześciu techników medycznych, stale czuwających przy monitorach oraz osiemnastu strażników. Dodatkowo w całym kompleksie medycznym utrzymywano przez cały czas stan ostrego dyżuru. Likowski, James T. nigdzie nie wychodził i nikt, bez sprawdzenia tożsamości, nie mógł go nawet zobaczyć.

W pokoju obserwacyjnym stała dwójka mężczyzn i przyglądała się pacjentowi. Jeden z nich był wysoki, jasnowłosy, choć prawie łysy i miał błyskotliwy umysł. Był to Tobias Dryner, M.D., T.A.S., Ph.D. szef grupy. Drugim był Louis Reine, również M.D. i T.A.S. lecz nie zrobił jak dotychczas doktoratu w żadnej z nauk przyrodniczych. Był niższy, o ciemnym bujnym owłosieniu. Nie miał zbyt lotnego umysłu. Przeciwnie, można było o nim powiedzieć, że jest prawie głupi. Jednak był człowiekiem kompanii i wiceprezesem Działu Biomedycznego. Wiele od niego zależało. Dryner był odpowiedzialny za pacjenta, Reine za cały projekt.

- Jak się czuje? - zapytał Reine.

Dryner machnął ręką w stronę pulpitu kontrolnego. - Sam posłuchaj - powiedział.

Dobiegł ich głos pacjenta:

- ... ktoś mi wreszcie, do diabła, powie co mi jest? Co się stało? Chcę porozmawiać z moją żoną. Do ciężkiej cholery, dlaczego tutaj jestem? Czuję się dobrze! Trochę boli mnie brzuch i to wszystko. Nie potrzebuję tych wszystkich pieprzonych rupieci!

Dryner poruszył dłonią i głos ścichł. Podeszedł do Magnetycznego Skanera Osiowego, który stał w głębi pokoju. Ekran MSO wypełniał obraz człowieka w czterokrotnym pomniejszeniu. Lekarz dotknął kilku klawiszy i pojawiły się wyraźnie odwzorowane wewnętrzne organy pacjenta. Obraz zaczął powoli się obracać. Dryner dotknął kilku następnych przycisków. Pod żebrami Likowskiego, wewnątrz żołądka świecił zielonym światłem płód obcego.

- Daj mi pełny obraz obiektu - polecił. Obcy urósł czterokrotnie.

- Interesujące - stwierdził Reine patrząc na obracający się płód - Nic dziwnego, że faceta boli brzuch.

- Obiekt pobiera niewielką ilość krwi z małej arterii. O, tutaj - wskazał palcem Dryner - Właściwie wcale go nie okalecza. Współczynnik wzrostu jest fenomenalny. Gdyby był dzieckiem, ciąża trwałaby kilka dni, a nie miesięcy. Nie może zdobywać wystarczającej ilości pożywienia od swego gospodarza. Albo wchłania jakieś zapasy, albo ma zupełnie niespotykany system przemiany materii.

- Wygląda jak duża fasola z zębami - zauważył Reine Ten skurwysyn jest strasznie brzydki.

Zamyślił się na chwilę.

- Czy pilot wie, że to w nim siedzi?

- Jak dotąd, nie. Czuje tylko pewien... dyskomfort: Poddaliśmy go pewnym stymulacjom centralnego układu nerwowego i nie czuje bólu. Jedynie niewielki ucisk. Nie chcemy ryzykować i nie podajemy żadnych leków przeciwbólowych. Mogłoby to wpłynąć niekorzystnie na pasożyta i w jakiś sposób uszkodzić jego organizm.

- Dobry pomysł.

- Oczywiście istnieją pewne wątpliwości etyczne co do nie informowania pacjenta o jego nieuniknionym losie.

- Twoja opinia?



- Cóż, badamy nową formę życia. Zachowanie się organizmu gospodarza może mieć znaczenie. Sądzymy, że pewne zmiany w wydzielaniu hormonów, gdyby pacjent wiedział, mogłyby stworzyć nienormalne warunki dla obcego. Efekt takich zmian byłby korzystny lub nie. Tego nie wiemy. Z drugiej strony, chłopcy z Działu Chemii sądzą, że zwiększenie poziomu epinefriny mogłoby przyspieszyć wzrost płodu.

- To znaczy, że gdyby facet dowiedział się, że ten stwór zamierza przegryźć sobie drogę na zewnątrz i zabić go, kiedy nadejdzie czas, i zesrał się ze strachu, to ta bestia zaczęłaby rosnąć szybciej?

- To możliwe. Reine westchnął.

- To coś mogłoby być warte miliardy, zdajesz sobie sprawę? A pilot i tak żyje na kredyt. Ma rodzinę?

- Żonę i dwójkę dzieci.

- Otrzymają odszkodowanie? - Oczywiście.

- Więc powiedz mu o wszystkim.

Czerwony zmiął kartkę z wiadomością otrzymaną przed chwilą faxem i cisnął ją łukiem w kierunku niszcarki. Cienki plastik zetknął się z polem urządzenia i wyparował w krótkim błysku żółtego płomienia i przy akompaniamencie cichego puf!

Drzwi otworzyły się i wszedł Zielony. Uśmiechnęli się do siebie.

- Czytałeś fax z Houston? - spytał Zielony. - Przed chwilą.

- Puściłem parę plotek, bardzo niejasnych i bardzo obiecujących. Ludzie Ouana Chu Lina przeszli samych siebie. On sam daje niebotyczne kwoty, jeżeli prawda okaże się chociaż w połowie tak atrakcyjna, jak mu to odmalowałem.

- Jego sprawa - skrzywił się Czerwony - Możemy tak wywindować cenę, że pieniądze Ouana Chu okażą się niewielkim kieszonkowym.

- Dokładnie tak to sobie wyobrażam. Ale nie zaszkodzi trochę zmącić wodę. Niech rekiny się podniecą i zaczną kąsać wszystko wokół siebie. Wtedy chwycą się wszystkiego, co im podsunie.

- Zgadzam się. Właśnie robię poważne zakupy do domu w Maui. Może kupię sobie statek i wybiorę się następnego lata w podróż dookoła naszej staruszki Ziemi? Co o tym myślisz?

- Czemu nie? - zaśmiał się Zielony - Możesz to zrobić. Ja myślę, że kupię sobie nowy model niewolnicy miłości - Hyperdyne I29-4s.

- Androida do uciech? Brzmi nieźle. Żona ci pozwoli?

- Czemu nie, do diabła. A może jej też kupię takiego niewolnika. W ten sposób będzie tak zajęta, że nawet nie zauważy, kiedy mnie nie będzie.

Obaj mężczyźni roześmiali się głośno. Jeżeli sprawy potoczą się gładko, będzie to tak wspaniałe jak wygranie głównej nagrody na loterii. Co najmniej.

13.

Salvaje leżał na łóżku dziwki i przyglądał się jak naga kobieta zawiesza swe majtki na sznurku rozciągniętym przez pokój. Pomieszczenie znajdowało się na najwyższym piętrze budynku dla biedoty i gorący podmuch z otwartego okna przynosił wszelkie zapachy miejsca, gdzie zbyt wielu ludzi żyje w zbyt małej przestrzeni. Gotowane warzywa, pot i zniszczone toalety nie poprawiały tego specyficznego odoru.

Naga kurwa była w ciąży, co najmniej w siódmym miesiącu.

Jej opiekun odszedł i wtedy zdecydowała się donosić ciążę. Istniał przecież rynek na zdrowe dzieci. Szczególnie z Północy przyjeżdżało wiele osób, które chciały mieć noworodka, a nie chciały bawić się w ciążę. Mogła łatwo dostać za malucha swoje



sześciomiesięczne zarobki. Poza tym wiedziała, że są mężczyźni, którzy szczególnie podniecali się przy ciężarnej kobiecie.

Salvaje patrzył na nią jak orzeł spoglądający na mysz. Dziwka skończyła z wieszaniem bielizny i odwróciła się ku niemu. On także był nagi.

- Dios, czy przyglądanie mi się to wszystko czego ode mnie chcesz? Nie chcesz, no wiesz? Pozwól mi zrobić coś dla ciebie - zwinęła dłoń i wykonała kilka ruchów jak mężczyzna, który się onanizuje. Potem dotknęła palcem warg, a drugą dłoń położyła na gęsto owłosionym łonie.

- Nie - zdecydował Salvaje - Chcę patrzeć na ciebie. I chcę, żebyś mi powiedziała co czujesz nosząc w sobie nowe życie. Dziwka wzruszyła ramionami. - Ty płacisz.

- Właśnie. Chodź tutaj.

Podeszła do łóżka i usiadła na brzegu. Położył rękę na jej brzuchu trochę poniżej obrzmiałych piersi.

- Znasz cud noszenia w sobie życia - powiedział - To musi być cudowne. Zaśmiała się.

- O, tak. Pewnie, że cudowne. Plecy mnie bołą jak cholera, stopy ledwo wytrzymują, sikam ze dwanaście, piętnaście razy. Dzień i noc. Dzieciak kopie mnie tak silnie, że czasami prawie spadają mi majtki. Cudownie!

- Powiedz mi coś więcej.

Czuł się wzruszony. To prawda, że nosiła w łonie bękartą po którymś z wielu klientów - wątpliwe czy wiedziała po którym, a bez wątpienia ją to nie obchodziło - lecz pomimo tego była bliżej tego fenomenu natury niż on. Zazdrościł jej. Dopóki nie zjawi się Mesjasz nie będzie znał tego uczucia.

Dziewczyna nagle wyszczerzyła zęby w uśmiechu na widok gwałtownej erekcji Salvaja.

- Ach - zawołała nie rozumiejąc co właśnie przeżywa jej klient - Chcesz dowiedzieć się jak to jest. W porządku, opowiem ci. Zrobię to najlepiej jak potrafię.

Nieco później, gdy Salvaje dotarł do drzwi swojej kryjówki, technik Pindar wynurzył się z potoków deszczu.

- Gdzieś ty był, czekam tu na ciebie prawie całą pieprzoną godzinę!

- Zapłacę ci za twój czas, nie obawiaj się.

- Właśnie mój czas jest czymś, o co martwię się najbardziej. I jeszcze to, gdzie mam go spędzać, jak mi go trochę zostanie? Stałeś się kimś sławnym, wiesz? Chłopcy z Rządu powołali specjalną grupę do odszukania twojej niezwyklej osoby. Coś się dzieje. Coś więcej niż szukanie pirata telekomunikacyjnego. W co ty grasz, Salvaje?

Prorok bez słowa otworzył drzwi i dwaj mężczyźni szybko weszli do środka.

- Boją się mnie - odezwał się Salvaje dopiero po zamknięciu drzwi - Boją się, z powodu mojego przesłania.

- Gówno prawda - zaperzył się technik - Są setki takich jak ty. Codziennie włamują się do sieci. Bredzą o wszystkim; od czystości wód do drogi do Boga przez seks grupowy. TKK nie zadaje sobie najmniejszego trudu, żeby ich złapać, ale z niewytłumaczalnych powodów rozpoczęła pełne śledztwo przeciw tobie. Cholernie chcą cię dostać. Byłem wypytywany.

- I powiedziałeś im...?

- Nic im nie powiedziałem. Masz mnie za głupca? Potrafią zniszczyć człowieka bez namysłu. Znika bez śladu i nikt nie dowie się jak i gdzie. Ale chciałbym wiedzieć w co właściwie wdepnąłem. Dlaczego jesteś dla nich taki ważny?

- Mówiłem ci. Moje prorocstwo... - Słuchaj...

- To ty słuchaj. Jesteście niczym, nędznymi robakami! Mesjasz nadchodzi! Jestem narzędziem w rękach prawdziwego boga i nie powstrzymacie mnie. Jeżeli, techniku, chcesz



mieć powód do strachu, to bój się mnie!. Wszędzie mam swe uszy i oczy. Gdybyś mnie zdradził, nie będzie wystarczająco głębokiej jamy, która ukryje cię przede mną! Rozumiesz?

Pindar pokręcił głową i chciał się odwrócić.

Salvaje chwycił go za ramiona, okręcił gwałtownie i pchnął tak potężnie, że technik prawie przefrunął przez pokój i ciężko uderzył w ścianę.

- Ty skurwysynu!

- Jeżeli zrobisz cokolwiek, by uniemożliwić mi nadawanie, pošlę cię na śmierć straszniejszą, niż cokolwiek, co może sobie wyobrazić człowiek! Rozumiesz?

Oczy Pindara rozszerzyły się w nagłym przestraszeniu.

- Dobrze, już dobrze! Po prostu to staje się niebezpieczne. To wszystko, co chciałem powiedzieć. To będzie kosztować...

- Nie dbam o pieniądze! Czas goni. Nadawanie musi trwać. Stworzyłem organizację. Jest nas setki, tysiące. Ale kto więcej dołączy, nie wiedząc kim jestem? Dlatego musimy ciągle nadawać!

Technik patrzył na Salvaja. A ten nie czuł do niego najmniejszego szacunku, tylko pogardę. Jedyne uczucie, jakim można obdarzyć małego człowieka, który boi się rzeczy, których nie rozumie. Mesjasz nie będzie miał pożytku z takich jak on.

Gdzieś, w którymś momencie hiperlotu statku K-014 wysłanego przez NLB, Massey mówił do swojej złożonej z androidów załogi. Były to eksperymentalne modele o krótkim czasie życia i były niezwykle kosztowne. Mogły być zaprogramowane do misji jeszcze przed opuszczeniem Ziemi, ale Massey nie był kimś, kto da się nabrać. Uważał, że ryzyko znacznie się zmniejszy, kiedy wszystko zrobi sam. Nie można wydusić odpowiedzi z kogoś, kto jej nie zna, a czasem od tego zależy życie. Tylko od jednego pytania.

Stał przed holograficzną ścianą. Przed nim płynął rządowy transportowiec Benedict.

- W porządku – powiedział – To nasz cel. Ma pięć głównych wejść, trzy włązy bezpieczeństwa, dziewięć luków naprawczych, wliczając w to główną przystań cumowniczą. Naszym pierwszym wejściem będzie właz numer jeden – wskazał w odpowiednie miejsce migotliwego obrazu – Drugim wejściem, na wypadek blokady, stanie się właz numer dwa. O, tutaj.

Androidy patrzyły nie odzywając się.

- Będziecie uzbrojeni tylko w broń przeciw miękkiemu celom. Chociaż są tam dobrze wyszkoleni komandosi, mamy po swojej stronie element zaskoczenia. Nie spodziewają się nas. Poza tym mamy w swym arsenale jeszcze inną amunicję.

Załoga i pozostali przy życiu komandosi muszą być pozostawieni przy życiu aż do celu podróży. Podłączcie się do komputera taktycznego i ustalcie swoje indywidualne zadania. Pełne zespolenie danych jutro, godzina 4.00. To wszystko.

Załoga złożona z androidów usiadła. Ciągle nie padło z ich strony ani jedno słowo. Byli tutaj, Massey wiedział o tym, by wykonać zadanie. Cała akcja zdawała się być ryzykowną na pograniczu niemożliwości, ale bez wątplenia istniała niewielka szansa na powodzenie. Opracował plan w najdrobniejszych szczegółach. Uwzględnił właściwie wszystko. On sam był najlepszy i spodziewał się odnieść sukces. To było najważniejsze. Nie pieniądze, które mu zapłacono, nie fortuna, którą może zarobić kompania, nie śmierć androidów czy kogokolwiek. Najważniejsze, jak zawsze, było wyzwanie.

Było to, najprawdopodobniej, najbardziej wyrafinowane zadanie z dotychczas wykonywanych i chciałby żeby poszło tak gładko jak nasmarowana część maszyny porusza się po wypolerowanym kryształ. Massey miał tylko jeden cel, ten sam co zawsze: zwyciężyć. Nic więcej się nie liczyło. W jego mniemaniu lepiej było umrzeć niż przegrać.

Uśmiechnął się szeroko do siebie. Jeszcze nie był gotowy na śmierć. Więc nie może umrzeć.



Na pokładzie statku transportowego Benedict komandosi właśnie zbudzili się z hipersnu. Minęło nieco czasu zanim Stephens odkrył tajemnicę Wilksa. Sierżant był ciekaw czy dowódca w ogóle zauważyłby to, gdyby nie policzył osób przebywających na statku.

Ludzie w oddziałach znali się między sobą, więc Billie nie zbliżała się do nich. Stephens był jednak fotelowym dowódcą- miał listę swoich podwładnych, ale nie potrafił przypisać twarzy do nazwiska.

Wilks spostrzegł jak pułkownik zmarszczył brwi spoglądając na cyfry, które pojawiły się na ekranie monitora.

- Sierzancie Wilks – Odezwał się.
- Słucham.
- W moim spisie jest o jedną osobę za dużo.

Sierżant pomyślał o kłamstwie, ale przecież wcześniej czy później wszystko się wyda. Nie ma sensu dłużej tego ukrywać.

- Tak jest. Wziąłem na pokład jedną dodatkową osobę.
- Stephens wyglądał jakby ciągle się jeszcze nie przebudził z hipersnu.

- Co takiego ?
- Cywilny ekspert od potworów.

- Co ? Oszalałeś człowieku. To jest ściśle tajna operacja wojskowa, sierzancie! Postawię cię przed sądem wojennym! Wsadzą cię do takiego głębokiego lochu, że sufit będzie o rok świetlny od podłogi!

Wilks fizycznie czuł jak komandosi skręcają się od wewnętrznego śmiechu. Nie spojrział jednak w ich kierunku. Powiedział tylko:

- Tak jest.

Stephens popatrzył na żołnierzy i sierżant domyślił się, że tamten usiłuje zidentyfikować pasażera na gapę. Pułkownik próbował, lecz nie potrafił.

- Powiem im – ryknął - że jesteś nieodpowiedzialny. Możesz zaprzepaścić całą misję, człowieku! Statki rządowe mają zasięg na granicy potrzebnej do osiągnięcia celu! Dodatkowa osoba może spowodować , że braknie nam parseka!

- Zrównoważyłem to. Wywaliłem pięćdziesiąt kilo tego gówna z malin.

Za plecami Wilksa Bueller szepnął do Easleya:

- Zła nowina. Lubilem to malinowe gówno...
- Zamknij jadaczkę – szepnął w odpowiedzi Easley.
- Zamierzam wsadzić cię do karceru i zmienić szyfry.

Pułkownik ciągle rozglądał się w poszukiwaniu intruza. Ponieważ wszyscy byli w swoich ubraniach od hipersnu, nic nie groziło Billie. Jej szpitalny szlafrok był dobrze ukryty. W tak głupiej sytuacji Wilks po raz kolejny utwierdził się w swej opinii o pułkowniku. Nie była to pochlebna opinia.

Czas na działanie.

- Pułkowniku, może pan to wszystko zrobić, ale może sztab generalny chciałby wiedzieć dlaczego dowódca statku nie odkrył pasażera na gapę przed startem, wykonując ostatnia inspekcję wnętrza, co należy do obowiązków dowódcy.

Sierżant wiedział, że jest to pierwsza prawdziwa akcja pułkownika i nie ma on pojęcia o dowodzeniu. Nadszedł czas na ostatni ruch.

- Chciałbym porozmawiać w cztery oczy.

Stephens wyglądał na dezorientowanego i przestraszonego. Bez wątplenia myślał o swojej sytuacji po powrocie. Wilks uważał, że nie ma co o tym myśleć, ale pułkownik zamierzał jednak wrócić na Ziemię.

Stephens odwrócił się i ruszył w kierunku ściany. Wilks poszedł za nim. Za nimi stał jak na paradzie rząd komandosów. Przyglądali się w milczeniu całej scenie i usiłowali usłyszeć rozmowę dwójki dowódców.



Gdy ci znaleźli się wystarczająco daleko, Stephens odwrócił się. Nie ukrywał wściekłości.

- Lepiej, żeby była to dobra wiadomość, Wilks.

- Gdyby mógł pan wziąć odpowiedzialność za wzięcie na pokład cywila, nie byłoby żadnego problemu. Kod CMA jest zagrzebany gdzieś w pańskim logu, prawda.

Stephens zerknął na sierżanta. Gdyby oczy były laserami Wilks zostałby tylko brązową plamką na podłodze. Nikt nie mógł sprawdzić logu dowódcy. Komendy dostępu do tych zbiorów były poza możliwościami każdego komputerowego włamywacza, ale sierżant był pewny, że pułkownik zainstalował kod CMA.

„Może to uratuje moją dupę” – pomyślał.

Była to zwykła, wśród nerwowych oficerów, metoda na poczucie bezpieczeństwa. Zbiór mógł siedzieć niewykorzystany aż do momentu, kiedy coś szło nie tak jak trzeba. Było to dziecinnie łatwe. Każde wejście do logu było automatycznie datowane. Kod CMA był zaś czymś w rodzaju nieszkodliwego zbioru wejściowego, zwykle frazą, która dotyczyła danych, ale skonstruowaną w taki sposób, że była możliwa do zmiany. W sytuacji, gdy nastąpiło coś nieprzewidzianego, oficer mógł użyć kodu do stworzenia sobie alibi poprzez wprowadzenie nowych danych, a później odwołanie się do CMA. Stwarzało to wrażenie, że nagle sytuacja została przewidziana. Fraza dowolnej długości, umiejętnie skonstruowana, może powiedzieć niemal wszystko, czego będzie wymagał komputer i wywoła wrażenie, że oficer, on lub ona, z góry wiedział o zdarzeniu. Przypuśćmy, że twój kucharz kradnie zapasy i sprzedaje je na czarnym rynku. Zmniejsza to zasięg działania o powiedzmy kilkaset kilometrów. Żle dla dowódcy. Ale jeśli zapiszesz coś takiego: „Podejrzenie o kradzieży zapasów przez kucharza, pozwolić działać dla zebrania dowodów”, wtedy masz pewność, że jesteś kryty. To stara sztuczka, która nie oszuka nikogo, kto był na służbie choćby dziesięć minut. Jednak niektórzy kiepscy oficerowie ciągle jej używają. Wilks był pewien, że Stephens też tak robi.

- Dlaczego miałbym ci pomóc?

- Ponieważ, pułkowniku, pomoże to również panu. Puszczę plotkę, że... nasza dyskusja stanowiła część misternego planu, który pan opracował. Z sobie wiadomych powodów nie ujawnił pan szczegółów tej tajnej misji wojskowej. Więcej nie będą chcieli wiedzieć, a po powrocie na Ziemię będzie pan miał wytłumaczenie, a ja pójdę posłusznie, gdzie mi pan każe.

Stephens zastanowił się. Nie podobało mu się to, ale dbał o swą przyszłość i to była najważniejsza rzecz w całej misji.

- W porządku – odezwał się w końcu – ujawnij go i pozwól mi go zobaczyć.

- Zobaczyć ją – powiedział Wilks.

- Skąd ja wytrzasnąłeś?

- Porwałem ja ze szpitala dla wariatów, panie pułkowniku.

14.

Wilks siedział obok Billie. Wspólnie jedli jajka i twarde suchary z Pokładowego Pakietu Żywnościowego. Billie jadła kiedyś gorsze rzeczy, ale to było dawno temu.

- W porządku, dzieciaku?

Skinęła głową.

- Pewnie. Parę siniaków i ból mięśni. Poza tym w porządku.

wilks zjadł kawałek zbyt złotej jajecznicy. Billie rozejrzała się po mesie. Pierwszy oddział rozsiadł się trójkami i dwójkami przy stolikach obok. Było ich ośmioro i Billie szybko nauczyła się ich nazwisk i twarzy w ciągu kilku godzin od przebudzenia. Pięciu mężczyzn i trzy kobiety. Nosily nazwiska Blake, Jones i Mbutu. Mężczyźni nazywali się Easley, Ramirez, Smith, Chin i Bueller. Ten ostatni był wysokim, potężnym blondynem. Na pokładzie były jeszcze trzy oddziały Komandosów Kolonialnych; trzydzieści dwoje żołnierzy



plus szcztąkowa załoga statku. Wliczając ja samą, Wilksa i dowódcę Stephensa stanowiło to grupę czterdziestu czterech ludzi zmierzających ku planecie obcych

Na Rim było pięć razy więcej ludzi i tylko jedna grupa potworów. A tylko ona i Wilks pozostali przy życiu. Niezbyt zachęcający rachunek.

Nie potrafiła powiedzieć na jak długo się zamyśliła. Wilks klepnął ją nagle w plecy.

- Idę wziąć prysznic – powiedział – Dasz sobie radę?

- Jasne.

Kiedy sierżant wyszedł, Billie sama ze swymi myślami i zimnym jedzeniem. Pomieszczenie nie było duże i wyraźnie można było usłyszeć rozmowy innych.

- Ludzie, ten Stephens ma muchy w nosie – stwierdził Easley.

- A ja myślę, że nasz sierżant jest niewiele lepszy – zauważył Ramirez – Tylko o parę minut, jeśli rozumiecie o co mi chodzi.

Blake wyciągnęła karty.

- Mały pokerek? No, Chin? Easley? Bueller?

- Nie licz na mnie – powiedział Easley – Idę na obchód. Trzymajcie dla mnie wygrane miejsce. Będę za godzinę.

Wstał i ruszył do drzwi. Wziął hełm z wmontowaną słuchawką i mikrofonem i włożył na głowę. Miniaturową słuchawkę wcisnął w lewe ucho.

- Uważajcie na Buellera. Bierze karty od spodu.

- Zabieraj dupę mały kutasiku – warknął Bueller.

- Jest wystarczająco duży, żeby go pokochała twoja mamuśka – Easley zaśmiał się i wyszedł.

Billie spuściła głowę. Ci młodzi nie wiedzieli co ich czeka; nie zdawali sobie z tego sprawy i bez znaczenia było to co powiedział im Wilks. Czym innym było słuchanie opowieści o potworach a czym innym spotkanie ich twarzą w twarz.

Nie chciała tego, lecz wiedział, że musi to nastąpić. Zadziwiającym zjawiskiem są ludzkie wspomnienia. Poczula się ponownie małą dziewczynką. Skrzywdzonym dzieckiem.

Easley przemierzał korytarz wolnym krokiem. Sztuczna grawitacja wywoływała wrażenie, że patroluje jakiś budynek na Ziemi. Minął pierwsze stanowisko kontrolne. Błysnął światłem w stronę zakamarków nad głową, a potem powiedział do mikrofonu, który przekazywał głos wprost do komputera:

- Tu Easley, T.J. podczas rutynowego obchodu, godzina 12.30 – przekazał następnie swój numer, współrzędne statku i spostrzeżenia – Nie zauważyłem żadnych uszkodzeń, zwierząt oraz śladów obecności insektów

„Tak, żadnego pośpiechu, żadnych kłopotów, brak błędów – pomyślał – Pieszy obchód to wyjątkowe nudy. Po co właściwie produkują roboty? Przecież są szybsze, lepiej widzą i nie obchodzi ich nawet najatrakcyjniejsza partyjka pokera. To co robię jest odwalaniem roboty. Ten Stephens to czubek. Następnym razem ten głupek rozkaże nam czyścić buty do lustrzanego połysku i wprowadzi koszarowe cukanie.”

Ruszył dalej. Od czasu do czasu oświetlał ciemniejsze kąty korytarza. Za każdym razem widział to, czego się spodziewał, czyli nie widział nic.

Kiedy dotarł do części rufowej, usłyszał dziwny dźwięk. Zatrzymał się. Wydawało mu się, że odgłos dochodzi z czwartego magazynu.

Zawahał się. Obchód dotyczył tylko korytarzy i nie było w nim zaplanowane wchodzenie do zamkniętych pomieszczeń. Cokolwiek by to nie było, nie był to właściwie jego interes.

Dźwięk dobiegł go ponownie. Jak by ktoś prowadził cichą rozmowę.

„Może to rodzaj echa – pomyślał – To się zdarza. System klimatyzacyjny potrafi przenieść głos z jednej części statku do drugiej. Twarde metale i plastiki używane do budowy wojskowych statków wyczyniają najdziwniejsze rzeczy pod wpływem wibracji.”



Easley pamiętał, że kiedyś głosy śpiewających pod prysznicem chłopaków z T-2 dotarły do niego przez pół statku.

„Tak, to jest to” – doszedł do wniosku.

Poza tym jego obowiązkiem było sprawdzanie korytarzy. Taki był rozkaz. Zaczął iść dalej.

Znowu ten dziwny dźwięk.

„Co do diabła – Easley stanął zaskoczony – Może jednak sprawdzić?”

Podszedł do drzwi magazynu i dotknął zamka.

- Benedict do K-014, dane telemetryczne załadowane...

Bez wątpienia ktoś mówił za tymi drzwiami. Easley wszedł do magazynu i okrążył stos skrzynek.

„Dobra, przyjrzyjmy się temu. To nie echo. Ten facio jest tutaj.”

Odwrócony plecami, stał przed nim jakiś człowiek. Nie można było dojrzeć jego plakietki identyfikacyjnej.

- Hej – zaczął – co tu...?

Tyle zdążył powiedzieć. Postać odwróciła się błyskawicznie i Easley poczuł przejmujący ból gardła. Jakby ktoś ugodził go sztyletem.

- Uhhh! – usiłował wciągnąć powietrze.

Chwyił się za szyję. Ręce natrafiły na cos wilgotnego i gorącego sterczącego mu z gardła. Było grube jak jego kciuk i przebiło mu suże na wylot. Próbował krzyknąć, lecz nie potrafił wydobyć głosu. Zdołał wydać tylko gardłowy, zduszony charkot. Dźwięk przeszedł szybko w rzężenie, kiedy krew zaczęła zalewać mu uszkodzoną tchawicę.

- Mmmm! Aaugh!

Rozpoznał człowieka, który go zranił, lecz nie mógł wypowiedzieć jego imienia. Nie mógł... nie potrafił... oddychać!

Coś uderzyło go w splot słoneczny i wyparło z niego resztki powietrza. Zrobił krok do przodu. Pociągnął za sterczący z szyi przedmiot. Oślizła od krwi krótka strzała zaczęła wysuwać się powoli.

Nagle coś uderzyło go w głowę i wszystko wokół poszarzało.

Technik siedzący w sterówce Benedecta zaklął nagle. Pilot zajęty poprawkami do współrzędnych gwiazdowych zerknął zaskoczony w jego kierunku.

- Co jest?

- Wewnętrzne przejście w magazynie rufowym jest otwarte.

Pilot popatrzył na własną konsolę.

- Tak, rzeczywiście.

- Czy jest to zgodne z czyims rozkazem? Nikt mi nic nie przekazał.

- Nic takiego nie było w planie. Nie ma nic w pamięci komputera. Połącz się z tym pomieszczeniem i dowiedz się, co tam się dzieje, do cholery.

- Kontrola systemu – powiedział technik do swego mikrofonu – Kto otworzył wewnętrzne drzwi?

Poczekał chwilę. Nikt nie odpowiadał.

- Powtarzam. Tu Kontrola systemu. Ktokolwiek znajduje się w magazynie A-2 zgłosi się natychmiast!

Cisza.

- Co z kamerą? – spytał pilot

Ręce technika tańczyły po klawiaturze.

- Nie ma sygnału z tamtej kamery.

- Do diabła! Zawiadom tego półgłówka dowódcę i dowiedz się co się dzieje!

- Pułkowniku Stephens, tu Kontrola systemu, czy mnie pan słyszy?



Pilot ponownie spojrzął na swoją konsolę.

- Gdzie on się podziewa?
- Może bierze prysznic i odłożył swój komunikator – zastanowił się technik – Halo?
- Co jest?
- Właz się zamyka.
- No tak, durni komandosi nie powinni zajmować się techniką...
- O, rany.

Pilot szybko dostrzegł co spowodowało jęk przerażenia technika. Zewnętrzny właz się otwierał.

- Nie wiem co tu się dzieje, ale zamierzam to przerwać – stwierdził pilot – Nie zamierzam mieć dziury w powłoce statku podczas korekty trajektorii. Przejmuję kontrolę i zamykam ten właz.

- Potwierdzone.

Pilot wcisnął kilka klawiszy.

- No, nie – jęknął znowu technik.

Obydwa monitory uparcie pokazywały otwarty właz.

- Ktoś chce się znaleźć po szyję w gównie – stwierdził pilot.
- W dalszym ciągu kontrolujemy korytarze. Popatrzmy – technik włączył oświetlenie.

Obraz postaci w skafandrze pojawił się w świetle lamp.

- Kto to jest do diabła? Co on tam robi?

Easley ocknął się.

„Co...?”

„Moje gardło.”

Sięgnął do szyi i dotknął skafandra. Znajdował się w próżni, w stanie nieważkości. Krew z rany pokryła rosą wizjer. Próbował przemówić, wołać o pomoc.

- Ungh! Gaugghh!

Nie potrafił wydać z siebie ani jednego słowa.

Skręcił głowę, żeby cokolwiek zobaczyć.

Tam w oddali był statek. I oddalał się!

Sięgnął do pasa. Szukał pistoletu odrzutowego, który pchnął by go ku wybawieniu. Przy pasie nie było żadnego narzędzia.

Panika zacisnęła na nim swe zimne paluchy. Kaszłał i charczał przez zranione gardło. Zmierzał ku śmierci!

„Nie, nie. Poczekajcie. Nie możecie odlatywać bez sprawdzenia czujników. A te przecież mnie widzą.”

Światła były zapalone i na statku widzieli, że Easley płynie przez kosmiczną pustkę. Mogą wysłać kogoś, żeby go ściągnął w ciągu kilku minut.

„Wszystko będzie dobrze – pomyślał – Za chwilę się zjawia...”

Coś dryfowało przed jego wizjerem. Z początku nie mógł przez zachlapany plastik dojrzeć co to jest. Wreszcie zobaczył. Mały cylinder, wielkości rulonu monet ćwierćkredytowych, przepływał powoli obok niego. Easley obrócił się i światła statku oświetliły bok przedmiotu. Zdołał odczytać kilka cyfr...

Chłód przeniknął Easleya do szpiku kości.

Cylinder był granatem AP, a wyświetlane cyferki były coraz mniejsze.

Pięć... Cztery... trzy...

- Nieee! – udało mu się w końcu wypowiedzieć jakieś słowo.

Nie będzie pomocy. Nadchodzi...

Ekran y zajaśniały błyskiem i postać w skafandrze rozerwała się bezgłośnie na kawałeczki. Wszelkie płyny z organizmu niemal natychmiast skryształizowały się i zmieniły w



lodową chmurę. Strzępy skafandra i ciała rozprysły się na wszystkie strony. Niektóre uderzyły w powłokę statku. Nie zostawiły nawet najmniejszego śladu.

W sterówce technik zdołał wydusić z siebie:

- O, ludzie...

Pilot nic nie powiedział. Pokręcił tylko głową. Co za śmierć. Ciekaw był czy ten facet wiedział co się stało. Miał nadzieję, że nie.

15.

Likowski, James T. w Houston dowiedział się o wszystkim.

Wewnątrz jego ciała coś siedziało. Wcześniej czy później to coś zamierza z niego wyjść, robiąc swojego rodzaju niespodziankę. Mianowicie, ni mniej ni więcej, tylko wygryzając się na zewnątrz. Kiedy Coś przyjdzie na świat, on umrze. To tyle. Dobrze, że w końcu się dowiedział.

Proste.

Likowski stęzał w szoku, a kiedy trochę się otrząsnął, strach zatrzęsął na nim swe kleszcze. Miał umrzeć.

Doktor Dryner i doktor Reine sprawiali wrażenie zasmuconych, ale nie potrafili nic pomóc.

- Nie możecie tego zabić? Wyciąć jakoś?

- Nie możemy bez zabicia ciebie przy okazji – powiedział Dryner – To bardzo paskudna forma życia.

Był miły i spokojny, jakby dyskutował o pogodzie.

„Łatwo mu mówić. Nie ma w sobie jakiegoś monstrum. Nic mu tam nie rośnie w brzuchu: - pomyślał Likowski, a głośno powiedział tylko:

- O, Boże.

Dwójka lekarzy stała obok łóżka, na którym siedział. Ubrani byli w sterylne ubrania. Za ich plecami stał uzbrojony strażnik okutany w podobny strój. Na prawym biodrze dyndała mu kabura z pistoletem.

- Więc jestem czymś w rodzaju inkubatora – to nie było pytanie.

- Dokładnie. Słuchaj, w przypadku jakiegoś nieszczęścia twoja żona będzie miała zapewnione pełne ubezpieczenie. Zaopiekujemy się twoją rodziną.

- W porządku. Od razu poczułem się lepiej – nieukrywany sarkazm zabrzmiał w jego słowach. Teraz wiedział już wszystko. Nawet był pewien, że czuje jak to porusza się w jego brzuchu.

Jest gotowe, żeby wydostać się na zewnątrz przegryzając mu się przez flaki.

Nie!

- Hej! – wykrzyknął i położył obie ręce na wysokości żołądka. Nagle stanął obok łóżka. Zakręciło mu się w głowie.

Lekarze wydawali się być nieco skonsternowani.

- Likowski, dobrze się czujesz? James?

- Telemetria, co się dzieje?

Pilot spostrzegł, że nie martwią się nim, tylko tym stworem wewnątrz jego ciała. Pieprzyć ich.

- Czuję, coś się stało! – zaczął drżeć jakby stracił kontrolę nad mięśniami.

„Tak, coś się stało – pomyślał – ale nie to o czym myślą.”

Ramię Likowskiego zadało nagle potężny cios w twarz Reinea. Lekarz runął do tyłu.

- Cholera! – zaklął.

„No, dalej, dalej. Teraz powinien podejść strażnik!”

- Pomóż nam! – rozkazał Reine,



Strażnik, krępy mężczyzna, nosił swą broń zabezpieczoną przed wyrwaniem z kabury. Urządzenie było staromodne, w stylu Delrina i można było połamać sobie kciuki zanim broń była gotowa do użycia. Zna ten sprzęt z czasów gdy pracował w straży miejskiej. Gdyby było to wojskowe wyposażenie, nie miałby najmniejszych szans, ale nie było. Poza tym strażnik nosił rękawiczki, a odbezpieczenie broni wymagało gołych rąk

Mężczyzna chwycił go za ramiona i Jim pozwolił ułożyć się na łóżku, gdzie można było włączyć pole.

- Już dobrze – powiedział – przeszło mi.

Udał, że jest całkowicie odprężony.

- Dzięki za pomoc – uśmiechnął się do strażnika.

Tamten również się uśmiechnął.

W tym momencie Jim sięgnął ręką w dół, odpiął kaburę i wyciągnął pistolet. Była to broń na miękkie ładunki 4:4 mm z magazynkiem na sto strzałów. Zabezpieczeniem był sam spust. Trzeba go było tylko pociągnąć. Jim podniósł pistolet, skierował w stronę strażnika i wypalił.

Pięć ładunków z hiperprędkością wwiercило się w ciało zdumionego obrotem sprawy mężczyzny. Pociski, takie jak te, eksplodowały w kontakcie z tak miękkim celem jak świeże grzyby. W przypadku ludzkiego ciała traciły swą energię wewnątrz tkanek; zanim go opuściły. Otwory wejściowe były małe – pocisk mógł przebić pancerz III klasy – lecz kiedy kula eksplodowała, wyrwała krater wielkości pięści dziecka.

Strażnik upadł. Nie miał prawa stać.

Dryner i Reine odwrócili się by uciec, lecz Jim wsadził im po dwa pociski między łopatki. Upadli.

Zawyła syrena. Potem następna.

Likowski skierował broń ku szklanej ścianie. Władował w nią kilkanaście strzałów. Plastik potrzaskał. Uderzył w niego i wpadł z rozpędu do sąsiedniego pokoju. Byli już tam inni strażnicy. Właśnie sięgali po broń.

Jim strzelił kilka razy. Mężczyźni zaczęli krzyczeć. Kilku upadło. Miał chwilę czasu by zabrać zapasowy magazynek z pasa jednego z martwych strażników. Wsadził go za gumkę szpitalnych szortów. Zaczął biec.

Następni strażnicy pojawili się w hallu. Zastrzelił ich.

Przy jednym z nich znalazł kartę magnetyczną. Wsunął ją w czytnik przy drzwiach. Przyłgął do ściany, kiedy zaczęły się otwierać. Weszła dwójka mężczyzn z bronią gotową do strzału. Jim władował w nich swe ostatnie dwadzieścia ładunków z pierwszego magazynku. Upadli jakby nagle zniknęły im nogi.

Wyrzucił pusty magazynek i wcisnął następny. Pobiegł dalej.

Dotarł do wyjścia. W samych drzwiach zastrzelił troje ludzi usiłujących go zatrzymać. Nawet nie zwrócił na nich uwagi.

Na zewnątrz było gorąco i parno. Powietrze było gęste jak olej. To również było bez znaczenia. Był wolny.

Biegł ulicą. Ktoś krzyknął. Odwrócił się, wystrzelił kilka razy, ale chybił. Miękkie ładunki rozlały się na ścianie. Wyglądały jak krople ciemnej farby, która spadła ze znacznej wysokości.

Napędzany śmigłem samochód otarł się o niego. Jim podbiegł do pojazdu i wycelował broń w siedzącą za kierownicą kobietę.

- Wsiadaj!- ryknął.

Kobieta posłuchała. Jej oczy wyrażały bezgraniczny strach. Nie było sensu strzelać do niej. Była cywilem. Wskoczył do środka i przesunął dźwignię na pełny ciąg. Samochód sypnął kurzem i odjechał.

Pocisk rozerwał się na boku pojazdu. Następny rozdarł powłokę i chybił tylko o pół metra. powietrze wyło w dziurach po pociskach.



Samochód przyspieszył. Jim nawet nie zauważył, że siedzenia były pokryte piękną, brązową skórą, a całe wnętrze przyjemnie pachniało. Deskę rozdzielczą wykonano z prawdziwego drewna, wypolerowanego do połysku.

Teraz go już nie złapią.

Przy bramie centrum medycznego stała strażniczka i machała jak szalona, by się zatrzymał. Nawet nie wyciągnęła broni. Przejechał po niej.

Czołowa płyta samochodu jęknęła od uderzenia w bramę. Pojazd zwolnił, ale nie zatrzymał się. Brama stanęła otworem.

W oddali widać było wjazd na autostradę. Prowadziła przez miasto do odległych przedmieść. Tam mieszkał z Mary, zanim to wszystko się wydarzyło. Gdzie on teraz jest?

Policyjny ścigacz pojawił się za nim gdy tylko osiągnął pas szybkiego ruchu. Zamigotał światłami. Inne pojazdy zjechały na bok by zrobić mu miejsce.

Jim włączył najwyższy bieg. Gwizd powietrza wylatującego przez dziury po kulach nasilił się. Pojazd był szybką, drogą maszyną, zbudowaną bardziej z myślą o szybkości niż o wyglądzie i szybko przekroczył dozwoloną prędkość.

Ścigacz zbudowano do łapania takich samochodów jak Jima. I dlatego Likowski nie mógł się od niego oderwać.

Policyjny pojazd mógł być opancerzony. Miękkie ładunki go nie zatrzymają.

Włączyli megafony:

- Zatrzymać się natychmiast! Policja drogowa z Houston!

Jim roześmiał się. Co zamierzali zrobić? Wlepić mu mandat? Zabrać prawo jazdy.

Popatrzył na dwóch gliniarzy. W jednej sekundzie wyprzedzili go i próbowali zagrozić drogę.

Nie miał nic do stracenia.

Skręcił ostro w prawo. Samochód obrócił się i uderzył w ścigacz. Tamten był większy, ale uderzenie było wystarczająco potężne by odrzucić policyjny pojazd w kierunku bariery zabezpieczającej brzeg drogi.

Kierowca ścigacza usiłował się ratować, ale zrobił to zbyt późno. Silnik wył, lecz pojazd uderzył w stalową belkę. Impet odrzucił ścigacz z powrotem w kierunku skradzionego samochodu Jima. oba pojazdy okręciły się wokół własnych osi. Likowski nacisnął dźwignię i ponownie wydusił pełną moc ze swego pojazdu.

Poślizg. Ledwo z niego wyszedł, głównie dzięki klasie maszyny. Samochód zachwiał się, potem jego żyronapęd utrzymywał już równowagę.

Gliniarze mieli mniej szczęścia. Ścigacz zaczepił tyłem o barierę. Jego potężne śmigła prysnęły jak ze szkła. Utrata napędu zakreśliła pojazdem, który sprawiał wrażenie monety rzuconej na stół przez gracza. Ponownie uderzył w barierę. Tym razem przeleciał przez nią i zwałił się dwadzieścia metrów w dół. Spadł na dach baru szybkiej obsługi.

Jim pojechał dalej.

Dotarł do domu, gdzie mieszkała Mary. Zabił gapiów i wszedł do budynku. Zastrzelił strażnika, który wstał by go zatrzymać przed wejściem do windy.

Otworzył drzwi do ich mieszkania. Oczy Mary były nienaturalnie rozszerzone ze zdziwienia.

- Jim! Sły... powiedzieli... dali mi znać, że... że nie żyjesz.

- Jeszcze żyję.

Wyciągnęła ramiona i objęła go.

Na dole ktoś krzyknął:

- Tutaj jest!

Oczywiście, przecież wiedzieli, gdzie mieszka.

- Żegnaj Mary. Chciałem ci to powiedzieć.



Wysunął się z jej objęć i ostrzelał hall. Pociski rozpryskiwały się o ściany, gdy wodził lufą na wszystkie strony, rykoszetowały pojękując prawie jak katowane zwierzę.

- Aaaa! – krzyknął ktoś trafiony kulą.
- Muszę iść, Mary. Kocham cię.

Wszystko wydawało mu się jakieś nierealne. Tam stała Mary, ręce trzymała przyciśnięte do twarzy, a on odwrócił się i pobiegł

Dotarł do dachu. Ktoś mógł trzymać tam helikopter.

Za plecami słyszał tupot. Znalazł śmigłowiec z kartą kontrolną w tablicy rozdzielczej. Roztrzaskał zamek, wszedł i wystartował.

Kule uderzyły w powłokę helikoptera, ale był już w powietrzu.

Dokąd miał lecieć? Bez znaczenia. Skierował dziób w stronę słońca i włączył pełną moc. Odlecieć. Nigdy go nie złapią. Był wolny. Wolny. Wolny.

Lecz nagle na siedzeniu obok, usiadło coś wielkiego i obrzydliwego. Coś ciemnego i przerażającego. Zaczął boleć go żołądek...

Likowski, James T. leżał na łóżku skrępowany kleszczami pola. Bolał go brzuch. Łzy ściekały mu z kącików oczu, spływały po policzkach i wlewały się do uszu. Dwóch lekarzy stało w swych sterylnych ubraniach obok. Przez plastikowe osłony twarzy widać było ich uniesione brwi. Za nimi stał strażnik, lecz nie nosił broni. Nie było takiej potrzeby i nikt nie mógł tutaj wejść z pistoletem. Nigdy.

„Wszystko działo się w mojej wyobraźni – pomyślał – Ucieczka była tylko iluzją.”

Ból wewnątrz brzucha narastał. Miał uczucie jakby rozpalony nóż wkręcał mu się wewnątrz.

- Aaach!

Nagle przemówił głos z głośnika:

- Wzrasta tętno, szybko rośnie ciśnienie, napięcie mięśni przekroczyło normę!

Jim popatrzył po swoim ciełe. Jego goła skóra tuż pod mostkiem nagle się wybrzuszyła. Ból stał się nie do zniesienia.

Nadszedł czas!

Dryner wyciągnął rękę i dotknął bąbla na brzuchu pacjenta. Skóra wygładziła się gwałtownie.

- Zdziwiający - powiedział.
- Dawać tu sieć! - krzyknął Reine.

Mężczyzna uwięziony polem łóżka wydał z siebie pierwotny, dziki ryk bólu. Reine zacisnął zęby. O Boże, co za dźwięk!

- Szybko, dawać tę cholerną sieć - odwrócił się do człowieka siedzącego za stołem.
- Czy pole nie zdoła tego zatrzymać? - spytał Dryner.
- Wątpię. Niewystarczająca masa. Gdzie, do diabła jest sieć?
- Nikt nie był przygotowany - przemówił głośnik - To zajmie z minutę...
- To jeszcze nie powinno... - stwierdził Dryner - Nasze oszacowania...

- ...były oczywiście złe - skończył Reine - Jeżeli ktoś nie wejdzie tutaj z siecią w ciągu trzydziestu sekund, wywalę na bruk cały pieprzony personel! - ryknął nagle - I nikt z was nie będzie pracował więcej w swojej dziedzinie!

Po sekundzie odezwał się już spokojniej do Drynera:

- Ten stwór jest bezcenny. Nic nie może mu się stać. Nic!

Pochylił się nad wijącym się z bólu człowiekiem.

Pacjent krzyknął. Jego ciało rozdarło się i bezoka, uzębiona głowa obcego wychynęła na zewnątrz.

- Dobry Boże! - szepnął Dryner, odsuwając się szybko w tył.
- Reine, zafascynowany, pochylił się jeszcze niżej.
- Popatrz na to! Niesamowite...



- Jest sieć! - odezwał się ktoś za ich plecami.

Reine obrócił głowę.

- pieprzony... Uwważaj! - ryknął nagle Dryner.

Reine odwrócił się do pacjenta. Zrobił to zbyt wolno.

Stwór wystrzelił z umierającego człowieka. Niemożliwie szybko, jak gruba, opancerzona i oblepiona krwią strzała. Uderzył w ubranie Reine'a, wgryzł się w osmotyczny materiał i rozdarł go jakby to był cienki papier. Lekarz patrzył przerażony. Nie był zdolny wykonać najmniejszego ruchu.

- Przynieść sieć! - zawył Dryner - Prędko!

Reine oprzytomniał i rozejrzał się za czymś czym mógłby strącić stwora. Lecz ten był już wewnątrz ochronnego ubrania. Lekarz poczuł, że zęby dotarły do jego ciała.

- Aaa! To mnie gryzie! Zabierzcie je!

Dryner złapał za ogon potwora, ale dłonie ześlizgnęły się po gładkiej i pokrytej krwią powierzchni. Stwór zagłębiał się bardziej pod ubranie Reine'a.

- Ratunku! Na pomoc! Ooo! Aaa!

Technik z siecią chwycił lekarza, ale ten w panice odtrącił go i odwrócił się. Chciał uciec od tego, co go zaatakowało. Wewnętrzny właz nie był zamknięty i Reine pobiegł w jego kierunku.

- Louis, nie!

Reine nie słyszał i nic go nie obchodziło. Jediną ważną rzeczą był stwór, który go zjadał, paląc jak roztopiony metal.

- Zatrzymać go - krzyknął Dryner.

Technik wyciągnął ręce, ale nie zdołał złapać uciekającego lekarza. Potem wpadł na Drynera i obaj się przewrócili.

Kiedy wstali, Reine przeszedł już przez wewnętrzny właz i manipulował przy cyfrowym zamku zewnętrznego.

- Zablokować drzwi! - krzyknął Dryner.

Za późno. tamten już sobie poradził. Zewnętrzny właz otworzył się powoli. Lekarz wybiegł do hallu.

Izolacja przestała istnieć.

Dryner pobiegł za swoim szefem, krzyząc do niego by się zatrzymał.

- Zabijcie to, zabijcie! - wrzeszczał Reine.

- Strażnicy unieśli broń.

- Nie! - ryknął Dryner - Nie strzelać!

Najbliżej stojący uzbrojony mężczyzna wyglądał na zdezorientowanego.

- Strzel mu w głowę! - rozkazał Dryner.

Wszyscy strażnicy zdębieli.

- Wykonać!

Nikt się nie poruszył. Reine oddalał się. Mógł uszkodzić obcego!

Dryner wyrwał pistolet najbliższemu ze strażników. Tamten nie usiłował go powstrzymać. Lekarz podniósł broń. Na uniwersytecie Dryner był mistrzem w strzelaniu z pistoletu. Gdyby więcej trenował mógłby zdobyć medal na Olimpiadzie. Nie strzelał od lat, ale stare nawyki pozostały. Reine zdążył odbiec tylko na dziesięć metrów. Dryner umieścił czerwony punkcik na hełmie kolegi, wziął głęboki oddech i powoli ściągnął spust. Na dwanaście metrów nie mógł spudłować. To był łatwy strzał.

Głowa Reine'a rozprysnęła się. Upadł.

Dryner opuścił broń.



- Przykro mi, Louis - powiedział - ale to ty powiedziałaś, że obcy jest bezcennym stworzeniem. Nie mogliśmy dopuścić do jego zranienia.

Strażnicy i technicy wpatrywali się w niego.

- Teraz - odezwał się do nich - przynieście sieć.

Ciągle trzymał broń. Wszyscy zaczęli poruszać się bardzo szybko.

W rezultacie okazało się, że sieć nie będzie potrzebna.

Stwór wyraźnie był zadowolony z nowego miejsca pobytu. W porządku. To ułatwiło im zadanie.

16.

Technik Pindar leżał na stole przytrzymywany polem siłowym. Mógł jedynie odwracać głowę. To było wszystko. Ponieważ był technikiem wiedział jak takie pole działa; wiedział, że człowiek bez odpowiednich przyrządów nie potrafi go pokonać. Nawet specjalny android zbudowany do krótkotrwałego znacznego wysiłku miałby kłopoty z polem siłowym. Może by uciekł spod jego władzy, może nie. Był to czysto akademicki problem. On sam nie mógł tego zrobić.

Dwóch mężczyzn w perłowo-szarych mundurach stało obok stołu i przyglądało się Pindarowi. Sądząc po ubiorze pracowali w ZAW - Ziemskiej Agencji Wywiadowczej. Nie było to pocieszające. Oni nigdy nie mieszały się w drobne sprawy. Wkraczali wtedy, gdy coś zagrażało bezpieczeństwu całej planety. Technik wpadł w kłopoty, aprieto mucho, i dokładnie wiedział dlaczego. Salvaje. Po ostatnim spotkaniu z tym człowiekiem, Pindar na własną rękę przeprowadził małe dochodzenie. Natknął się na coś, o czym nie powinien wiedzieć, coś co pragnąłby wyrzucić na zawsze z pamięci. A teraz ZAW trzyma go w garści. Wiedział, że tak się stanie, że nie ma drogi odwrotu.

Jeden z agentów, miło wyglądający człowiek, który mógłby być czyjś dziadkiem, uśmiechnął się do niego.

- Synu - powiedział - Chcielibyśmy usłyszeć odpowiedzi na kilka pytań, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Drugi z mężczyzn, młody człowiek z jajowatą głową i skórą koloru czekolady dodał:

- Zdajesz sobie sprawę, że pytania możemy zadać ci w taki sposób jaki uznamy za właściwy?

Pindar obliznął zeschnięte wargi.

- Si, tak, rozumiem.

"To jest to. Początek końca. Adios, Pindar. Jakbyś na to nie spojrział, jesteś przegrany".

- Wspaniale - powiedział Dziadek i położył małe plastikowe pudełko na stoliku obok. Otworzył je. Wyjął pneumatyczną strzykawkę i fiolkę z czerwonym płynem.

- Nie, nie ma... nie trzeba - odezwał się Pindar. Śpieszył się, żeby powiedzieć jak najwięcej.

- Odpowiem na wasze pytania ! Powiem wszystko!

Jajogłowy uśmiechnął się szeroko pokazując wspaniałe uzębienie. Było zbyt doskonale jak na prawdziwe.

- Wiemy o tym, Selon Pindar. Ale to nas upewni, że w odpowiedziach zawarta będzie cała prawda.

Dziadek pochylił się nad technikiem, przycisnął strzykawkę do głównej arterii na szyi Pindara. Dotknął wyzwalacza.

Rozległo się ciche pop! i technik poczuł lodowate zimno spływające mu do gardła. Dios!

Jajogłowy patrzył na zegarek.

- Trzy, cztery, pięć. Już.



Technik poczuł jak zimno w jego głowie zamienia się w przyjemne, szumiące ciepło. To było świetne. Naprawdę doskonale. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak cudownie. Jego wcześniejsze obawy wyparowały jak rosa w gorących promieniach słońca. Gdyby chciał mógłby zeskoczyć ze stołu i fruwać jak ptak! Nie chciał tego robić. Po prostu przyjemnie było tak leżeć i rozmawiać z tymi miłymi facetami :

Dziadkiem i Jajogłowym. Łatwo było zauważyć, że są jego przyjaciółmi i dbają o niego. Dla nich zrobiłby wszystko i to natychmiast.

- Dobrze się czujesz? - spytał Dziadek.
- Och!
- Wspaniale! Czy możemy zadać ci kilka pytań?
- Czemu nie, Dziadku. Wal.

Orona odchylił się w fotelu. Agent ZAW siedzący naprzeciw nie nosił perłowo-szarego munduru. Przepisy mówiły, że jest to obowiązkowe jedynie podczas wykonywania obowiązków służbowych.

- Mogę to pokazać? - spytał.
- Myślę, że nie masz racji - odpowiedział Orona, ale skinął głową.
- Nie płacą nam za przynoszenie niedobrych wiadomości, Doktorze. Przykro mi.

Agent nacisnął przycisk w projektorze holograficznym na biurku Orony. Powietrze zadrgało i ukazał się obraz: zbliżenie człowieka leżącego w więzach pola siłowego. Mężczyzna uśmiechał się głupkowato, jakby pod wpływem narkotyku.

- Powiedz nam to jeszcze raz - rozległ się jego głos - To co mówiłeś wcześniej.
- Jasne - zgodził się mężczyzna - Kiedy Salvaje tak mnie nastraszył przy naszym ostatnim spotkaniu, zdecydowałem, że muszę dowiedzieć się więcej w co się wplątałem.

- Więc sprawdziłem parę rzeczy i odkryłem, że wynajmował innych techników, żeby mu pomagali. Jednego z nich trochę znałem. To był Gerard - kontraktowy pracownik Narodowego Laboratorium Biologicznego w Limie. Poleciałem tam i niby przypadkiem się z nim spotkałem. Wypiliśmy trochę. Dowiedziałem się, że Salvaje, zanim rozpoczął swoją krucjatę, pracował w tym laboratorium. Był kimś w rodzaju administratora niższej rangi. Nie potrzebował pieniędzy, bo pochodził z bogatej rodziny. Znaczyło to, że interesuje go coś, co mają w Limie. Któregoś dnia się zwolnił, ale w dalszym ciągu utrzymywał kontakty z niektórymi technikami. Gerard nie potrafił powiedzieć dlaczego Salvaje odszedł. Robił tylko dla niego coś w rodzaju małego systemu komputerowego. Hardwerowe sprawy. Tamten dobrze płacił i to było najważniejsze.

Gerard nic więcej nie wiedział, ale to mi wystarczyło. Dowiedziałem się, że ma własny system komputerowy. Jak kiedyś poszedł odwiedzić tę ciężarną dziwkę, włamałem się do tego systemu.

Człowiek na stole roześmiał się.

- Jego zabezpieczenia nie były tak doskonałe jak myślał. Udało mi się je pokonać. Dostałem się do pamięci i skopiowałem wszystkie zbiory. Wziąłem je do domu, a ten frajer nigdy się nie dowie, że to zrobiłem. - Dowiedziałem się skąd przybędzie Mesjasz. Miał to ukryte w jakimś matematycznym programie.

Agent ruszył ręką i obraz zamarł. Brzęczał cicho w powietrzu.

- Zobaczmy to, o czym mówił Pindar. Znaleźliśmy jego komputer.

Ponownie dotknął kilku klawiszy. Człowiek i stół zniknęły i pojawił się niewyraźny obraz Laboratorium. Stanowił tylko tło, gdyż na pierwszym planie świecił napis:

Personel Autoryzowany, WYMAGANE POTWIERDZENIE TS-1, Wnętrze Narodowego Laboratorium Biologicznego AV 42255-1.

Pindar mówił dalej.



- To była kiepska kopia ściśle tajnego raportu, tylko do użytku wewnętrznego. Salvaje musiał to ukraść, albo ktoś to ukradł dla niego. Ktokolwiek to zrobił, stracił część obrazu i całą ścieżkę dźwiękową. Dlatego nie ma głosu.

Obraz zadrgał, potem ukazało się wnętrze sterylnego pokoju. Na łóżku leżał mężczyzna trzymany przez pole siłowe. W miejscu splotu słonecznego ziała dziura, z której wylaniała się węgorzowata głowa wielkości ludzkiej pięści uzbrojona w ostre jak igły zęby. Trzej ludzie w specjalnych ubiorach stali obok. Podobna do węgorza poczwara wystrzeliła z wnętrzości mężczyzny na łóżku jak strzała i wylądowała na jednej ze sterylnie ubranych postaci. Błyskawicznie wyrwała dziurę w jej kombinezonie.

- Pierwsza część nagrania pokazuje scenę narodzin jednego z tych stworzeń oraz atak na kolejną ofiarę.

Obraz się zmienił. teraz kamera powiększyła obraz potwora znikającego pod ubraniem zaatakowanej postaci. Potem pojawił się obraz przerażonej twarzy mężczyzny. Widać było, że krzyczy. Nie było jednak dźwięku. Obraz zadrgał, zniknął na kilka sekund, pojawił się ponownie.

Orona wpatrywał się zafascynowany.

Mężczyzna zaczął uciekać. Zniknął z pola widzenia kamery.

Dwóch ludzi przewróciło się usiłując złapać uciekającego.

Znow zmienił się obraz. Uzbrojeni strażnicy stali w korytarzu. Gwałtownie otworzyły się drzwi i wbiegła postać ubrana w sterylne ubranie. Uderzała bez przerwy w wyrwaną w kombinezonie dziurę. Widać było, że człowiek ten jest ogarnięty paniką.

Obraz z innej kamery. Biegnący mężczyzna.

- Nie mogli pozwolić mu uciec.

Głowa uciekającego eksplodowała nagle.

Obraz znieruchomiał. Na podłodze leżało ciało.

- Teraz - powiedział agent - przełączymy na...

Ogromna sala. Opancerzone ściany. Wygląd komory przeznaczonej na kontrolowaną reakcję termojądrową. Spod zwojów kabli przeziara nagie ludzkie ciało. Człowiek jest bez wątpienia martwy; niemal pozbawiono go głowy.

Pojawia się obraz monitorów telemetrycznych, lecz wykresy i liczby nie odpowiadają danym ludzkiego organizmu.

- Z początku tego nie zauważyłem - doszedł ich głos Pindara - Ale szybko zorientowałem się, że zostawili potwora wewnątrz ciała tego zastrzelonego faceta. Nawiasem mówiąc był lekarzem. Widziałem to na ekranie. Był szefem wydziału zanim został mleczkiem dla niemowlaka.

Wsadzili to w takie miejsce, że monstrum nie mogło uciec i wszystko obserwowali.

Obraz martwego ciała znieruchomiał.

- Cały materiał był montowany - wyjaśnił agent. - Najwyraźniej ten Salvaje nie mógł zdobyć innych nagrań, więc zmontował tylko najważniejsze momenty. Wygląda na to, że ma potężną organizację. Jeszcze nad tym pracujemy.

Znow dotknął kilku przycisków.

Obraz pokazywał teraz coś zupełnie innego.

- Tutaj jest coś co wygląda na niezbyt wyrośniętego obcego.

Orona spojrzał. Stwór wyglądał bardzo podobnie do jego własnej rekonstrukcji.

Ale zaraz - niezbyt wyrośnięty ?

- To jest mesjasz Salvaja - powiedział Pindar - Myślę, że to nie obraz stworzony przez komputer, ale rzeczywistość.

Obraz zniknął.



- Ani Salvaje - odezwał się agent - ani technik nie mogli przejść poza ten punkt nagrania. Ale jest dalsza część. Nasi ludzie mają supernowoczesne urządzenie do odtwarzania zniszczonych nagrań. Zdołaliśmy uratować następny kawałek.

Obraz pojawił się znowu.

Tym razem potwór był większy i miał nieco inny wygląd. Potężna płyta na czole przypominała trochę mrówczą głowę. Na wysokości piersi pojawiło się kilka dodatkowych par kończyn. Stwór był ogromny - w brzeg hologramu wmontowano skalę. Ściany pomieszczenia pokryte zostały jakby pętlami błyszczącej czarnej substancji, a podłoga została zaścieniona jajami wielkości puszkę po piwie.

- Boże! - jęknął Orona - To jest królowa!

- Która nie musi być zapładniana - dodał agent.

Orona pokręcił głową.

- To potwierdza moją teorię, że królowa może rozwinąć się z robotnicy jeżeli wymaga tego podtrzymanie ciągłości gatunku. Pewien rodzaj zmian hormonalnych jak sądzę.

Potwór pokazał zęby. Patrzył wprost w kamerę. Obraz nagle zadrgał i zniknął.

Orona czekał na ciąg dalszy.

- To wszystko, co zostało ukradzione - poinformował agent.

Słodkie dziecię zostawiło orzeszek - odezwał się Orona - Muszę zdobyć tego stwora i jego jaja. Wykonam kilka telefonów i przejmemy laboratorium w interesie Bezpieczeństwa Ziemi.

- Już jest za późno - agent pokręcił głową.

Orona zamrugał.

- Co? Co to znaczy?

- Proszę popatrzeć.

Dłonie agenta wykonały kilka magicznych ruchów po klawiaturze. Nowy obraz rozbłysnął w powietrzu.

To nagranie z kamer systemu bezpieczeństwa z laboratorium w Limie. Proszę spojrzeć na datę.

Orona odczytał czerwone cyferki w rogu obrazu. Wczoraj.

Ostatniej nocy, sądząc po godzinie.

- Niewątpliwie....

- Niewątpliwie Salvaje śledził Pindara. Może miał też informatora w lokalnej policji. Nieważne. Musiał się dowiedzieć, że chcemy go zgrać.

Zanim przesłuchanie technika zakończyło się w peruwiańskim laboratorium zaszły pewne wydarzenia. Obraz ukazał kiosk strażników. Wewnątrz znajdowało się dwóch mężczyzn.

- Hej, popatrz na to! - powiedział jeden z nich.

Obydwoj strażnicy skoczyli na równe nogi. Kamera obserwująca drogę pokazała zbliżający się pojazd. Staromodny trzydziestotonowy transportowiec jechał w kierunku bramy. Na pełnej szybkości.

- Stój ty dupku! - wrzasnął strażnik.

Ciężki pojazd uderzył w bramę. Mimo, że była wykonana ze stalowych prętów o grubości nadgarstka, nie zaprojektowano jej by wytrzymała uderzenie wielotonowej masy pędzącej z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Metal wygiął się, sworznie popękały... ale cała konstrukcja wytrzymała. Transportowiec stanął.

Ze zrujnowanej kabiny wypełzła kobieta. Próbowwała stanąć. Nosila dziwną szatę podobną do szlafroka. Komputer skierował na nią szeroką kamerę. Twarz kobiety pokryta była krwią. Ręce miała puste, lecz do jej stroju przywiązano jakiś przedmiot; jednolity krążek wielkości dużego talerza.



Jeden ze strażników wcisnął guzik alarmu. Zaczęła wyć syrena. Drugi z mężczyzn podniósł rękę i rozkazał kobiecie by się zatrzymała.

Nie zrobiła tego. Kiedy strażnik podniósł broń do strzału, eksplodowała. Obraz stał się całkiem biały.

- Na Buddę - szepnął Orona.
- Zidentyfikowaliśmy bombę jako pięciotonowy ładunek do burzenia budynków - powiedział agent - Wybuch zmiotł kiosk, transportowiec i dwadzieścia metrów ogrodzenia.

Następne obrazy zostały zarejestrowane przez robota patrolowego. Obraz był nieco niewyraźny.

Orona patrzył.

Kiedy skradziony autobus pełen ludzi zbliżył się do robota, ten nadał sygnał ostrzegawczy. Zanim przebrzmiał jego dźwięk, broń robota została załadowana i nadeszło zezwolenie na użycie broni. Ostrzelał pojazd ładunkami 10 mm. Kamera pokazała dziury, jakie pociski wybiły w plastikowej Ścianie autobusu. Ludzie znajdujący się wewnątrz niewątpliwie zginęli, lecz robot usiłował trafić w kierowcę. Ostrzegawcze światelko pokazało robotowi następny cel. Kiedy odwrócił się w jego kierunku został dosłownie spłaszczony przez spadającą z góry taksówkę powietrzną. Jej pilot, który zginął w natychmiastowej eksplozji, która zniszczyła również robota i autobus, uśmiechał się w chwili śmierci.

- Następny kawałek otrzymaliśmy z satelity szpiegowskiego. Fotografował właśnie to terytorium.

Trzy autobusy podjechały do wielkiego budynku w centrum obrazu. Roboty wypaliły w ich kierunku i same dostały się pod ogień otworzony z pojazdów.

Pierwszy z autobusów dotarł do wejścia. Dziesięć, może dwanaście postaci wyskoczyło na zewnątrz i podbiegło do drzwi. Orona nie mógł dostrzec czy byli to mężczyźni czy kobiety, ale nie miało to znaczenia. Wszyscy zostali skoszeni gwałtownym ogniem z wnętrza budynku.

Następny tuzin wylądował się z autobusu. Jeszcze więcej wyskoczyło z następnego, który właśnie nadjechał. Potem napłynęła czwarta fala z ostatniego pojazdu. Prawie wszyscy zginęli. Prawie wszyscy.

Jedna z osób dotarła do drzwi.

Satelita wytłumił blask, który powstał w chwili wybuchu. Dym i pył z walących się ścian rozszedł się wokół.

- W powietrze wyleciały drzwi i strażnicy - odezwał się agent. Powiedział to tonem jakby właśnie informował, co jadł wczoraj na obiad.

Więcej postaci wyszło teraz z autobusów. Obraz zadrgał.

- Satelita znalazł się poza zasięgiem swych kamer. Nie mamy teraz nic o tym, co działo się przez następne kilka minut. Ten kawałek pochodzi z komputera bezpieczeństwa. Proszę patrzeć.

Samotny strażnik, stracił nogę, leży na podłodze. W dłoniach zaciśnięty karabin maszynowy. Wodzi bronią tu i tam. Ciągłe strzela. Jego celem są postacie w dziwnych szatach, kobiety i mężczyźni. Śmieją się i idą pod kule. Dziesięcioro, piętnascioro, może cała dwudziestka pada zanim opustoszał magazynek strażnika.

Kamera dokładnie pokazała kobietę, która pochyliła się nad rannym i wbiła mu cienkie ostrze sztyletu w oko. Uśmiechała się przy tym jakby była to najzabawniejsza rzecz, jaką robiła w życiu.

Pojawiło się więcej postaci.

- Stop-klatka - powiedział agent.

Ruchomy obraz zmienił się w malowidło. Czyste, wyraźne i nieruchome.

- Wspaniała optyka - stwierdził agent. Wskazał na hologram.

- Proszę spojrzeć na tego, drugi po prawej. Orona przyjrzał się.



- Salvaje.

- Ten człowiek nie wyglądał jak fanatyk. Ale właściwie jak wygląda fanatyk? Czy na przykład toczy pianę z ust?

- Dalszy ciąg.

Coraz więcej dziwnie ubranych osób pojawiło się we wnętrzu budynku. Musiało ich być około trzydziestu pięciu, czterdziestu. Tyłu przeżyło atak.

- Trzydzieści siedem osób przeszło przed kamerą - jakby czytając w myślach Orony, poinformował agent.

Obraz pokazywał teraz drzwi. Napis na nich głosił: NIEBEZPIECZEŃSTWO, EKSPERYMENT' BIOLOGICZNY, OBCYM WSTIĘP WZBRONIONY.

Dwójka martwych strażników leżała na podłodze. Jeden z nich miał wbity w oko cienki sztylet. Obok leżało pięcioro napastników.

- Zostało ich trzydzieści pięć kobiet i mężczyzn.

Nowy obraz. Wewnątrz komory. Orona rozpoznał ściany. Mgiełka pokrywała podłogę i częściowo zasłaniała jaja. Część z napastników zdjęła swe stroje i stanęła naga. Każdy z nich miał na ciele kolorowy tatuaż wyobrażający poczwarkę obcych, która wila się od szyi do łona.

- Cholera! - sapnął Orona.

- Znaleźliśmy autora tatuaży. Był jednym z nich. Popatrzmy teraz. Zaczyna się najciekawszy fragment.

Pojawiła się królowa. Patrzyła na ludzi, kręcąc głową, jakby zdziwiona.

Salvaje zbliżył się do niej. Powiedział coś, lecz tylko ostatnie słowa zostały zarejestrowane.

- ...chcemy być złączeni z tobą, Mesjaszu!

- Przepraszam za dźwięk - odezwał się agent - I tak mamy szczęście. Znaleźliśmy niebieską skrzynkę prawie sześć kilometrów od tego miejsca.

Orona popatrzył na agenta. - Co takiego?

- Wyjaśnię. Teraz patrzmy.

Niektóre z jaj zaczęły się otwierać. Już połowa ludzi stała naga. Oczy mieli zamknięte, ramiona wyciągnięte na boki. Czekali. Inni pozostali z tyłu. Byli widoczni na innym ujęciu.

- Mamy tu kilka różnych ujęć.

Pierwsze otworzyło się jajo naprzeciw Salvaja. Stał z otwartymi ramionami, jak inni, ale oczy miał otwarte. Pochylił się nad jajem. Pojawiły się palczaste kończyny. Schwyciły brzeg pękniętego jaja i wywindowały krabopodobne ciało poczwarki obcego, które wystrzeliło w kierunku proroka, owinęło muskularny ogon wokół jego szyi i zaczęło wciskać się do otwartych ze zdumienia ust.

Można było dostrzec na twarzy Salvaja, że strach schwycił go w nieubłagane kleszcze. Zrozumiał w nagłym olśnieniu, że rzeczywistość jest inna niż to sobie wymyślił. Próbował krzyczeć.

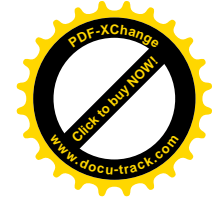
Dźwięk został zduszony przez potwora wciskającego mu się do przelyku.

Naukowiec siedzący w Oronie był zaintrygowany, ale ludzka część jego jestestwa wzdrzygnęła się z odrazy.

Następne jaja zaczęły się otwierać i kolejne poczwarki wylądowały na twarzach czekających ludzi. Królowa obserwowała całą scenę pozostając w bezruchu.

Potem, kiedy wszystkie nagie postacie zostały zapoczwarzone, a większość jaj pozbawiona swych mieszkańców, pozostali ludzie weszli do środka i zabrali swoich współwyznawców. Wystrzegali się jednego; nie chcieli być zaatakowani przez któreś z pozostałych jaj.

Królowej się to nie podobało, ale była unieruchomiona przez swój ogromny odwłok i nie mogła poruszać się wystarczająco szybko, żeby schwytać śpieszących się ludzi.



- W normalnych warunkach robotnice zatrzymałyby ich powiedział Orona.
- Co?
- Nieważne.

Drzwi zamknęły się. Królowa wyglądała na wściekłą. Kiedy napastnicy wycofywali się ku drzwiom, jeden z nich spostrzegł kamerę. Podniósł karabin i wypalił. Trzy razy chybił, lecz czwarty strzał roztrzaskał obiektyw.

- Co się stało?
- Agent wzruszył ramionami.

W tym czasie system bezpieczeństwa został całkowicie unieszkodliwiony. Nie mamy już więcej materiału filmowego.

- Unieszkodliwiony?
- Jeden z ludzi szefa bezpieczeństwa wysłał pewien kod do systemu. Kod samozniszczenia.
- Co?
- Dziewięćdziesiąt sekund później system bezpieczeństwa zniszczył sam siebie. Razem z całym kompleksem laboratoriów. Wszystko rozleciało się na kawałeczki.
- O, nie! A co z obcym? Z jajami?
- Rozmiecione po okolicy w kawałeczkach wielkości paznokcia, Doktorze.
- Nie!

Orona został zdruzgotany tą wiadomością.

"Co za strata! Wysłał statek przez pół galaktyki, żeby zdobyć przedstawiciela tego gatunku, a gdyby pośpieszył się o kilka godzin miałby jednego pod ręką. Na Ziemi! To wyjaśnia sny ludzi! Cholera! Cholera! Chwileczkę. Dziewięćdziesiąt sekund. To może oznaczać, że..."

- Co z tymi fanatykami? Czy któremuś udało się uciec? Co najmniej tuzin ma w sobie obcych! Agent westchnął.
- Nie wiemy. Nasi ludzie przeszukali całą okolicę, ale nie było po nich śladu. Eksplozja była rzędu pół megatony. Nie ma sposobu na sprawdzenie jak wielu ludzi przy tym zginęło i czy komuś udało się uciec.

Przez moment Orona łudził się nadzieją. To może być szansa.

- Mamy nadzieję, nie udało się to żadnemu - skończył agent.
- Co? Oszalałeś? Te formy życia są bezcenne! - Zastanów się, Doktorze.

Orona był błyskotliwym człowiekiem. Zawsze był w czołówce w swojej klasie. Uderzyło go to, co powiedział agent. To prawda, obcy byli bezcenni, ale pozostając pod kontrolą. Laboratorium Biologiczne wiedziało o tym. Dlatego wszystko zostało wysadzone w powietrze, kiedy system zabezpieczeń przestał działać. Gdyby jakiś obcy uniknął zagłady i pozostał na wolności, oznaczałoby to katastrofę. Nawet pojedyncze jajo było potencjalnie niebezpieczne. Biorąc pod uwagę to., jak szybko ten gatunek dojrzewa, biorąc również pod uwagę, że w razie potrzeby każdy osobnik może stać się królową.

Orona pokiwał głową. Teraz widział to wyraźnie.

Tuzin królowych, pozostających w ukryciu, składających jaja. To mógł być problem. To mógł być poważny problem.

Billie stała przed jednym z "punktów widokowych" i patrzyła na strumień światła wyglądający jak cienka rurka lampy neonowej na ciemnym tle. Nie spędziła dotąd zbyt wiele czasu w przestrzeni kosmicznej, przynajmniej nie od czasów dzieciństwa. Ten rodzaj podróży był dla niej czymś zupełnie nowym. Usiłowała przypomnieć sobie rodziców, lecz ciągle miała przed oczami ich krwawy koniec i nic więcej. Odkąd Wilks przyszedł do niej po raz pierwszy,



wspomnienia, które lekarze usiłowali wyrwać z jej pamięci, wypłynęły na powierzchnię jak bąbel powietrza w wodzie. Wszystko stało się oczywiste: sny były odbiciem prawdziwych wydarzeń...

- Wiesz, że to złudzenie, prawda? - dobiegł ją głos zza pleców.

Billie odwróciła się i zobaczyła jednego z komandosów, Buellera, stojącego tuż za nią.

- Ulepszone napęd grawitacyjny pozwala nam spędzać mniej czasu w hiperśnie, a wielowymiarowe macierze "motylego" pola zamieniają punkty w linie. Robią coś z niektórymi cząstkami ezoterycznymi, chrononami albo z impiotycznymi zuonami czy czymś takim.

- Ciekawa jestem co widział Easley w ostatnich sekundach życia? - spytała.

Było to retoryczne pytanie, lecz Bueller pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie mogę pojąć, dlaczego wyszedł na zewnątrz i wziął ze sobą granat.

- Pułkownik powiedział, że to jakiś rodzaj depresji. Może Easley chciał uciec w ten sposób przed potworami. Komandos ponownie pokręcił głową.

- Myślę, że nie. Przyjaźniliśmy się. Mówienie, że popełnił samobójstwo nie ma najmniejszego sensu. Poza tym miał do dyspozycji łatwiejsze sposoby.

Billie skinęła głową. Rozerwanie się na strzępy w pustce kosmosu nie wydawało jej się właściwym sposobem na przekroczenie granicy pomiędzy życiem a śmiercią.

- Nie ufam Stephensowi - odezwał się Bueller - Nie ma żadnego doświadczenia jako dowódca i myślę, że będzie chciał zatuszować całą sprawę. Gdyby nam się powiodła akcja - nieważne co to oznacza - to i tak będą ofiary. Jeżeli przegramy nic nie będzie miało znaczenia.

- Nie chciałabym cię rozczarowywać, ale jeżeli nasza misja się nie powiedzie zostaniemy zjedzeni przez bestie z wielkimi zębami, albo zamienieni w papkę dla niemowlaków z małymi ząbkami. Wszyscy skończymy na zimnej ziemi jako kupa łajna dla zwycięskich potworów.

- Co za malowniczy obraz - powiedział Bueller.

- Mówię ci jak to naprawdę wygląda. Widziałam jak one działają.

- Jakbym słyszał Wilksa.

Zauważyła, że nie wyglądał na zadowolonego.

- Chodźmy - odezwała się łagodnie - Kupię ci filiżankę tego, co tu nazywają kawą.

- W porządku. Chodźmy.

W messie Ramirez czekał na podgrzanie swej porcji. Uśmiechnął się do Billie i Buellera.

Usiedli przy plastikowym stoliku. W dłoniach trzymali papierowe kubki z ciemnym płynem.

- Wilks musi naprawdę wiele myśleć o tobie skoro zabrał cię tutaj. Wiesz, że Stephens odegra się na nim po powrocie?

To, co mówią to tylko mydlenie oczu. Billie powoli sączyła kawę.

- Tak, ja i Wilks rozumiemy się doskonale.

- Jasne - rzucił przechodzący obok Ramirez - Sierżant jest ekspertem od śpiewania kołysanek, co?

- Zamknij się, Ramirez - warknął Bueller.

- Hej, może jestem młodym kotem, ale już nie takim żółtodziobem...

Bueller wstał chwycił kolegę za szyję. Kciuk i palec wskazujący utworzyły kleszcze w kształcie litery V Rzucił młodym komandosem o ścianę.

- Powiedziałem, żebyś zamknął swoją pieprzoną jadaczkę!

Głos Ramireza był stłumiony. - Ech, człowieku, puść mnie!

Billie widziała jak naprężyły się ścięgna ręki Buellera. Praktycznie trzymał w powietrzu potężnie zbudowanego komandosa i przyciskał do ściany jak robaka, którego trzeba rozgnieść. Zdawał się być wręcz za silny na człowieka o tych rozmiarach.

Po chwili komandos zwolnił uścisk. Ramirez potarł szyję.



- Koleś, oszalałeś? - powiedział i wyszedł ze stołówki zostawiając swoje gorące danie.
- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała Billie.

Młody mężczyzna wyglądał na mocno zakłopotanego. - Za dużo gada, a na dodatek rozpowiada wszystko.

- Naprawdę o to chodzi? - Tak.

Pozostawiła to bez komentarza. W całej scenie chodziło o coś jeszcze, ale nie była pewna, o co. Nie była pewna czy chciałaby wiedzieć, co to było.

Massey siedział w swej kabinie i koncentrował się na oddychaniu. Nigdy nie nauczył się medytować tak, jak czynią to mistrzowie, ale często korzystał z pewnych technik by się zrelaksować. Oczywiście ćwiczył swe ciało, trenował różne techniki walki, nieustannie doskonalił swe umiejętności w posługiwaniu się różnymi rodzajami broni, ale go to nie bawiło. Utrzymywał się w szczytowej formie i nic więcej. To była część tego zawodu, niezbędna część. Był wytrenowany jak zwierzę przygotowane do wystawy. Stosował właściwą dietę, odpowiednią ilość snu. Wszystko było wyliczone; ani mniej, ani więcej. Był równy każdemu dobremu atlecie, a na ich czasem lepszy refleks czy większą siłę miał swoje sposoby. Gdyby chciał zabić człowieka, to przecież lepiej zastrzelić go od tyłu z dużej odległości, niż stawać do walki twarzą w twarz jak jakiś głupi bohater holofilmu. To było głupie. Zawsze lepiej załatwiać swe sprawy na swój sposób.

Zbliża się kolejny sprawdzian. Musi być do niego przygotowany. Więc siedzi i choć nie medytuje, jego umysł przepelniają kolejne plany operacji. W takiej akcji jak ta nie ma wicemistrzów. Zajęcie drugiego miejsca w tej grze oznacza śmierć.

- Masz jakieś imię? - spytała Billie, kiedy weszli do magazynu. Wokół stały regały z karabinami, kanistrami gazu, granatami i różnym wojskowym wyposażeniem.

- Tak, Mitchell - odpowiedział Bueller.

- Mitchell - powtórzyła jakby smakując brzmienie słowa - Mitch?

- Jeżeli tak ci się podoba.

Billie popatrzyła uważniej na półki z bronią. Komandos położył dłoń na jej ramieniu i wskazał na najbliższy model. - Nie dotykaj mnie - powiedziała gwałtownie.

Cofnął dłoń.

- Och, przepraszam. Nie myślałem nic złego.

- W porządku. W szpitalu, kiedy ktoś kładł mi rękę na ramieniu, oznaczało to, że zaczynają się kłopoty. Zaraz potem pojawiała się strzykawka napelniona jakimś świństwem, które robiło ze mnie głupka.

Bueller aż sapnął. - Tak, rozumiem.

- Potrafisz to zrozumieć? Czy wiesz, co to znaczy przeżyć większość życia w ośrodku pełnym szaleńców?

- Nie - przyznał - ale spędziłem trochę czasu w szpitalach. Niezbyt zabawne miejsca.

Zmienił nagle temat.

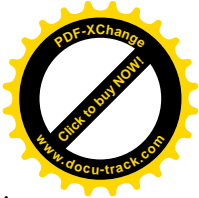
- Zobacz, to jest podstawowa broń, której będziemy używać w czasie tej misji.

Zdjął z półki treningowy egzemplarz.

- Oto cztery-kropka-osiem-kilo-automatyczny-elektroniczny-samopowtarzalny-dziesięćmilimetrowy-karabin M41-E - powiedział to jakby recytował litanie - Ma zasięg pięćset metrów, magazynek na setkę ładunków antyludzkich, setkę przeciwpancernych, albo na siedemdziesiąt pięć pocisków smugowych. Tu jest pneumatyczna wyrzutnia trzydziestomilimetrowych granatów. Ma zasięg stu metrów. Oficjalnie.

Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Nieoficjalnie, nie możesz trafić w nic mniejszego niż wagon metra, na parę setek metrów, bo celowniki są gówniane. A granaty jak polecą na pięćdziesiąt metrów to znaczy, że jacyś bogowie bardzo cię lubią.



Jednak na niewielką odległość jest to dobra broń i nie chciałbym się znaleźć po drugiej stronie lufy. Chyba, że nosiłbym co najmniej pancierz VII klasy z pajęczego jedwabiu. Inaczej zamieniłbym się w krwawą miazgę.

- Obejrzyj sobie. Nie wystrzeli - podał jej broń.

Billie stłumiła uśmiech. Numer modelu zmienił się, ale całość nie różniła się zbyt od tej, którą widziała w snach. Nie, nie w snach. We wspomnieniach. Ta część wracała do niej kilkanaście razy w roku. Zawierała instrukcje, jakie dawał jej Wilks. Były tak trwałe jakby wypalono je w jej mózgu rozpalonym metalem.

Wzięła karabin, sprawdziła czy magazynek jest pusty, potem wcisnęła go na miejsce. Przekręciła dwukrotnie bezpiecznik by upewnić się, że komora naboju jest pusta. Następnie to samo zrobiła z wyrzutnikiem granatów. Przycisnęła broń do ramienia, wycelowała w odległą ścianę i nacisnęła spust. Elektroniczny wyzwalacz powinien wydać głośny dźwięk i tak właśnie się stało. Opuściła karabin i nagle rzuciła go w kierunku Buellera. Minęło już dwanaście lat od chwili, gdy po raz ostatni dotknęła broni, ale czuła się jakby to było wczoraj. Wszystko było takie samo z wyjątkiem jednego: karabin był mniejszy i lżejszy. Komandos był zaskoczony, lecz zdołał chwycić broń zanim upadła na podłogę.

- Spust jest trochę za twardy i nieco odkształcony - stwierdziła Billie - Wasz rusznikarz powinien przejrzeć wszystko przy okazji.

- Jestem pod wrażeniem - zaśmiał się Bueller - gdzie się tego nauczyłaś?

- Żyłam wśród twardych ludzi, gdy byłam dzieckiem przerwała na chwilę, potem wyrzuciła z siebie jednym tchem - potwory przybyły by zapolować. Zabiły moich rodziców i wszystkich, których znałam.

- Na Buddę. Przykro mi.

- A co z tobą? - wzruszyła ramionami - Masz rodzinę? - Nie. Komando jest moją rodziną.

Billie zastanowiła się przez chwilę. Tak. Mieli ze sobą coś wspólnego. Brak najbliższych.

- Słuchaj, a sierżant Wilks - zaczął Bueller - jeżeli jest coś między wami...

Przerwała mu gwałtownie.

- Kiedy obcy zdobyli naszą kolonię, Wilks przybył na pomoc wraz ze swym oddziałem. Oni ja byliśmy jedynymi, którzy zostali przy życiu. Uratował mnie. Miałam dziesięć lat. Wtedy widziałam go po raz ostatni aż do teraz.

- Przepraszam. Nie myśl, że jestem wścibski...

- Jesteś. Ale to nie ma znaczenia. Eksperci, którzy mnie badali byli bardziej niedyskretni.

Przyzwyczałam się. Wpatrywał się w podłogę jakby nagle onieśmielony.

- Chciałabym cię o coś zapytać.

- Śmiało.

- Dlaczego tak potraktowałeś w messie Ramireza?

Westchnął głośno.

- Po tym co powiedział o tobie i sierżancie. Nie chciałbym, żeby to było prawdą.

- Dlaczego nie?

Potrząsnął głową i ponownie zaczął wpatrywać się w swoje stopy.

Nagle ją olśniło.

"Na Buddę i Jezusa, Billie. Znowu zachowujesz się jak po prochach. Przecież ten chłopak cię lubi! Nie tak jak sanitariusze, którzy obmacywali cię kładąc do łóżka, albo rozbierali się przy tobie, kiedy pole nie pozwalało na najmniejszy ruch. On lubi ciebie! Zostaniemy pewnie wszyscy zabici, a tu stoi komandos zakochany w tobie!"

Nagle ujrzała go w nowym świetle. Był w jej wieku, był tylko komandosem i to wysłanym na śmierć. Był samotny. Wiedziała co to za uczucie nie mieć nikogo.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. - Hej, Mitch.

Podniósł wzrok. Oczy miał jasne i wypełnione nadzieją. - Tak?

- Czemu nie miałbyś mi pokazać reszty statku?



Uśmiechnął się szeroko jak dziecko, gdy dostanie nową zabawkę.

- Jasne. Z przyjemnością.

Billie poczuła, że ona także bardzo go lubi.

18.

Agent nie potwierdził przypuszczeń Orony.

- Nie. Nic nowego o ewentualnych przypadkach przeżycia po eksplozji w Limie. Były jakieś pogłoski na temat wyznawców tego kultu i o ranczu w Nowym Chile. Sprawdziliśmy. Tak jak wszędzie. Nic - wstrząsnął ramionami jakby chciał podkreślić swój stosunek do całej sprawy.

Orona skinął w zamyśleniu głową. W tym przypadku brak wiadomości był złą wiadomością.

Massey sprawdził po raz piętnasty czas. Wkrótce. Niebawem. Ostatni komunikat donosił, że znajdują się niecały rok świetlny od celu. Są już, więc praktycznie na miejscu. Zbliża się czas działania.

Wilks dał Billie trochę pracy; sprawdzanie systemów, list ładunku i inne drobne czynności. Kiedy znalazł się w pomieszczeniu komputera, wezwał ją do siebie.

Nie spodziewał się, że ktoś przyjdzie wraz z nią. Ktoś taki, jak Bueller, który na dodatek trzymał dłoń na ramieniu dziewczyny.

- Bueller - odezwał się sierżant - Masz tu coś do załatwienia?

Komandos zabrał rękę z ramienia Billie. Dziewczyna się odwróciła.

- Wilks. Mitch tylko...

- Tak - przerwał jej ostro - widzę co Mitch "tylko" robi. Idź się przejść, Bueller.

- Wilks, do cholery! - Billie podniosła głos - Myślisz, że kim ty jesteś?

- Ja? Jestem facetem, który wyrwał cię z chemicznych oparów na chwilę przed operacją na twoim mózgu.

Dziewczyna zarumieniła się. Wiedziała jak wiele mu zawdzięcza i powstrzymała się od komentarza, jaki cisnął się jej na usta.

- Nie powiedziałem ci, żebyś poszedł na spacer?

Bueller aż się zatrząsł. Omal nie rzucił się na sierżanta. Wilks czuł jak z młodego komandosa bucha płomień gorącej wściekłości. Miał nadzieję, że poczucie karności żołnierza jest silniejsze niż jego gniew. Gdyby było inaczej Wilks nie potrafiłby go pokonać. Tamten był młodszy, silniejszy, szybszy i lepiej wyszkolony. Mógłby go wprowadzić zastrzelić, ale nie był pewny czy zrobiłby to wystarczająco szybko.

Jednak Bueller odwrócił się i nic nie mówiąc wyszedł. Billie natychmiast naskoczyła na Wilksa.

- W porządku, Wilks. Jestem ci wdzięczna za wszystko, ale nie masz prawa mówić mi, z kim mogę rozmawiać!

- Widziałem to rozmawianie. Wyglądało na nieco więcej. Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdumienia.

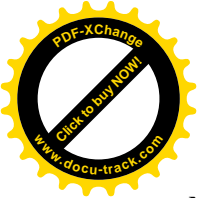
- Jesteś zazdrosny, Wilks?

- Nie zazdrosny, dzieciaku. Chcę po prostu uchronić cię przed nieszczęściem.

- Sama potrafisz się uchronić. Dziękuję za dobre chęci! Nie jestem dzieckiem, a ty nie jesteś moim ojcem!

Obróciła się na pięcie i wypadła z kabiny.

Wilks popatrzył za nią i potrząsnął głową. Może był dla niej za surowy. Może ona lubi mieć kogoś, kto zwraca na nią uwagę. Może powinien wyjaśnić jej wszystko.



Nie. Pewnie nikt z nich nie wróci już do domu, a nawet gdyby udało się to Billie, łapiduchy będą na nią czekać. Niech cieszy się każdą chwilą, jaka jej pozostała z życia.

Większość z nich spędzi tutaj. A więc, nie. Nie powie jej. Próbował ją ostrzec i to wszystko co mógł uczynić. To ona powiedziała, że potrafi sama dbać o siebie. W taki czy inny sposób, nie uniknie swego przeznaczenia. Tego był pewien.

Znaleźli schronienie wewnątrz jednego z magazynów, pomiędzy dwoma rzędami sześciennej pudeł, które tworzyły coś w rodzaju korytarza. Było tam ciemno i cicho i nikt nie mógł natknąć się na nich przypadkowo. Przy drzwiach był alarm, który włączyłby się, gdyby ktokolwiek wetknął głowę do magazynu.

Siedzieli twarzą przy twarzy na poduchach, które przynieśli tu ze sobą. Billie wodziła dłonią po twardych mięśniach na ramieniu Mitcha. Czuła gładkość jego skóry. Podobała jej się siła tego chłopaka. Czuła się przy nim bezpiecznie.

- Przepraszam za Wilksa - powiedziała - On się nie liczy.

- Może nie - zastanowił się Bueller - Może to ja nie powinienem być tutaj z tobą. Nie wiem.

- Ja wiem - szepnęła.

Wyciągnęła ręce i ujęła w dłonie jego twarz. Była gładka, a brodę miał wygoloną tak dokładnie, że skóra wydawała się być gładziej niż jej własna. Pochyliła się ku niemu i pocałowała go. Wsunęła język w jego usta.

W nim również zapłonęło pożądanie. Otoczył ją ramionami i mogła poczuć, jaki jest silny. Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Czuła jak zaczyna jej łopotać serce, oddech przechodził w rzęzenie.

Wsunął ręce pod bluzę dziewczyny i zaczął pieścić jej piersi. Tak! Tak! Gwałtownie rozsunęła jego kombinezon. Trzask zamka rozległ się głośnym dźwiękiem w ciszy magazynu. Poczula jego gładką, bezwłosą pierś i potężne mięśnie twardniejące pod jej dotykiem. Zsunęła dłoń niżej i odszukała inny rodzaj twardości. Jęknął. Jego głos był wołaniem o rozkosz.

Usta Mitcha zsunęły się w dół po jej szyi, potem niżej. znalazły drogę ku piersiom, płaskiemu brzuchowi i dalej.

- Tak! O, tak!

Prawie nie mogła oddychać.

Po chwili już nie martwiła się o oddychanie.

Billie i Mitch leżeli w plątaniu swych ramion i nóg. Dziewczyna była spocona, a jej puls zwolnił tylko trochę, lecz nie była zmęczona. Raczej... szczęśliwa spełnieniem.

Byli w jej życiu inni. Nawet w szpitalu nie jesteś obserwowany przez cały czas. Billie była raz z pacjentem, innym razem z sanitariuszem. Było też parę kobiet. Ale nie przeżyła niczego takiego jak to. Nigdy nie czuła się tak wspaniale, tak cudownie jak teraz, kiedy połączyła się z Mitchem.

- Nigdy wcześniej tego nie robiłem - odezwał się Bueller.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się - Żartujesz sobie ze mnie. Byłeś niesamowity.

- Jaki?

- No, dobrze. Nie myśl, że miałam wielu facetów i porównuję cię do nich, ale byłeś cudowny.

Zaśmiał się cicho.

- Fajnie. Chciałem być taki. Dla ciebie. Ja... cóż... ja... kocham cię, Billie.

Billie spijała każde jego słowo, każde dotknięcie, każde spojrzenie. Całe życie na to czekała i już wątpiła, że się zdarzy. Nie wierzyła, że szczęście może spotkać kogoś takiego jak ona. Ale doczekała się.



- Cieszę się, Mitch. Ja też cię kocham.
- Bueller uniósł się lekko, a ona przyjrzała mu się z nowym zainteresowaniem.
- Mój. Mój. Jaki potężny.
- Dotknął palcem ust. Zastanawiał się.
- Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć... - zaczął.
- Lepiej mi pokaż zamiast mówić - powiedziała - Pokaż mi jak działa.
- Dotknęła go lekko ręką.
- A porozmawiać możemy później.
- Dobrze. Przyjmuję twoje rozwiązanie. - Nie, kochanie. Ja wezmę twoje...

Jones miała dyżur. Dziesięć minut po przejęciu przez nią obowiązków zaczęło migać światelko.

- Do licha! - powiedziała do siebie. Nie była doświadczona w tego rodzaju pracy, ale skoro komputer wykonywał za nią większość zadań, musiała go zapytać.

- I co my tu mamy?

Komputer wyświetlił hologram.

- Ejże, koleś. Nie może tu być w pobliżu żadnego statku. - Jakiś problem - dobiegł ją głos zza pleców.

Odwróciła się.

Za nią stał pułkownik Stephens.

- Panie pułkowniku, komputer mówi, że zbliża się jakiś statek. To musi być jakieś zaburzenie w układzie maszyny, prawda?

- Może jakieś echo - powiedział Stephens - Uruchom diagnostykę.

- Tak jest - Jones dotknęła przycisku.

Obraz na monitorze zadrgał i prawie natychmiast pojawił się napis: **DIAGNOZOWANIE ZAKOŃCZONE, CAŁY SYSTEM SPRAWNY**

- Do diabła - wyrwało się Jones - Przepraszam, panie pułkowniku. Ten statek tam jest. Uruchamiam Główny Alarm.

Wyciągnęła rękę w kierunku czerwonego przycisku. - Nie - powiedział Stephens.

- Jeżeli to jest statek, musimy przypuszczać, że może zakłócić naszą akcję...

Zerknęła w bok i zobaczyła, że Stephens wyciągnął pistolet.

- Panie...

Pułkownik strzelił i trafił ją w lewe oko. Krew z rany schlapała mu mundur. Głowa Jones upadła na tablicę kontrolną, a ciało zsunęło się z fotela.

- Przepraszam - powiedział Stephens i schował broń do kabury. Włączył komunikator.

- Tu Stephens - powiedział - Idziemy na spotkanie.

- Przyjąłem - dobiegł go głos Maseya - Jesteśmy w drodze.

Wilks był w sali rekreacyjnej i ćwiczył na miofleksie, kiedy statek się zatrzęsł. Nie wiedział, co to było, ale niewątpliwie coś uderzyło w powłokę. Cholera! Wszystko, co było mniejsze od asteroidy, powinno być zniszczone przez osłonę!

Wyskoczył z maszyny i chwycił ubranie.

Obok drzwi był przycisk Głównego Alarmu. Stłukł osłonę i wcisnął guzik prawie nie zwalniając biegu.

Billie kryła właśnie pod bluzką swe pełne piersi, kiedy drgania zatrzęsły nią wystarczająco mocno by przewróciła się w stos kartonowych pudeł. Wylądowała na pośladkach i nic jej się właściwie nie stało.

Mitch wytrzymał wstrząs dzięki sile swych nóg. Syrena zaczęła wyc.

- To Główny Alarm - powiedział Bueller, zapinając swój kombinezon.

- To ćwiczenia, prawda? - spytała Billie.

- Może, ale nie sądzę. Coś nas uderzyło. - Może to odpadł silnik?



- Nie, już bylibyśmy tylko kosmicznym pyłem. Nie wierzę, że zarządzili próbny alarm tak blisko celu. Stało się coś złego.

Ruszył ku wyjściu i nagle się zatrzymał.

- Słuchaj, Billie. Zostań tutaj, dobrze? Dopóki nie zobaczę, co się stało.

- Poczekaj chwilę...

- Proszę. To jest hermetyczne pomieszczenie. Jeżeli jest jakiś wyciek, tu będziesz bezpieczna. Proszę cię. Wróć tak szybko, jak tylko będę mógł.

Skinęła głową.

- Dobrze. Mitch, bądź ostrożny! - Będę. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Uśmiechnął się szeroko i pobiegł korytarzem.

Ramirez wyszedł właśnie spod prysznicza owinięty w ręcznik, gdy wpadł Bueller.

- Co się dzieje?

- Nie wiem - odpowiedział Mitch - Mamy wziąć pancerze i stawić się w wyznaczonych punktach. Nasze stanowisko jest obok APC. Pewnie zostaniemy załadowani na GA.

- Wiem, wiem - Ramirez chwycił ubranie i próbował je zakładać w biegu. Nie wychodziło mu to zbyt dobrze.

- Jones ma dyżur, tak? - spytał Bueller i popatrzył na zegarek.

- Za mną, panowie.

Mbutu pojawiła się w korytarzu przed nimi i skręciła do zbrojowni. - Widziałas Wilksa? - ryknął za nią Bueller.

- Nikogo nie widziałam. Spałam - odkrzyknęła.

Dotarli do zbrojowni. Chin miał tu dziś dyżur i już otworzył pojemniki. Zaczął wyjmować broń. W środku była już połowa Drugiego Oddziału i większość z Trzeciego. Mitch nie dostrzegł nikogo z Czwartego i z jego własnego - Pierwszego.

- O, kurwa! - zaklął ktoś z Trzeciego. - Co jest?

- Ten złom ma wyjęty obwód zasilania, dupku!

Chin popatrzył na karabin, który dopiero co wręczył żołnierzowi.

- Chol... Ten także! Żołnierze sprawdź broń! Trwało to tylko kilka sekund.

Wszystkie karabiny były niezdatne do użytku. Bez zasilania karabin mógł służyć najwyżej jako maczuga.

- Gówno! - powiedział Chin - Mamy duży kłopot. - Co z granatami? - padło pytanie.

- Kup sobie nowy mózg, przygłupie - odpowiedział Chin - Chcesz sprawdzać każdy granat na statku?

Ktoś jeszcze zamachał karabinem.

- Ten też jest uszkodzony. Ktoś wyraźnie chce, żebyśmy nie strzelali.

- Macie ręce i nogi, żołnierze - powiedział Bueller - Wiemy jak ich używać, komandosi.

Idziemy.

Obudził się do życia intercom.

-Tu pułkownik Stephens. Wszyscy komandosi stawiają się natychmiast w rufowym doku załadunkowym. Powtarzam, rozkazuję by wszyscy komandosi stawili się w rufowym doku załadunkowym. Natychmiast.

Wilks trzymał w ręce swoją niezarejestrowaną cywilną broń, gdy usłyszał odgłos kroków. Pomyślał, że nadchodzą goście. I nie byli to z pewnością goście oczekiwani. Włączył laserowy Celownik. Pierwszych kilku, którzy przejdą przez właz, będzie jego. Wziął głęboki oddech i umieścił czerwoną plamkę na włazie na wysokości oczu. Czekał.

- Rzuć broń - powiedział ktoś za jego plecami - Spróbuj się odwrócić i będziesz martwy. Stephens!

- Panie pułkowniku, jesteśmy atakowani!



- Wiem o tym. Rzuć to!

Cokolwiek tu się działo, Stephens trzymał go na muszce. Nie zdąży się odwrócić. Rzucił broń.

Właz powoli otworzył się i ubrani w szturmowe stroje napastnicy weszli do środka. Od razu podzielili się na dwie grupy. Jedna ruszyła w kierunku dziobu, druga ku rufie. Dwóch z nich skierowało swą broń na Wilksa. Były to automatyczne karabiny strzelające epoksyłowianymi pociskami. Nie miały zbyt dużej siły przebijania, ale były wystarczająco śmiertelne dla nieosłoniętego ludzkiego ciała. Nie potrzebowali używać cięższej broni. Sierżant podniósł rękę.

Ostatni z napastników wchodził na statek. W dłoni trzymał antyczny pistolet Smith 10 mm. Zamachał nim do Wilksa.

- Cześć, komandosie. Nowy w mieście?

- Dokładnie według rozkładu, Massey - odezwał się Stephens.

- Oczywiście. Sam go układałem. Teraz twoja robota skończona.

Sierżant poczuł skurcz żołądka. Stephens był zdrajcą. Nie wiedział, kim jest Massey, albo, kogo reprezentuje - może jakiś kartel producentów broni, czy jakąś korporację - ale to pułkownik ich sprzedał. Odwrócił się do Massey'a.

- To ty zabiłeś Easleya, prawda? Stephens oparł dłoń na kaburze.

- To było konieczne - powiedział.

- Ty skurwysynu.

- Życie jest twarde, Wilks. Mężczyzna musi robić takie rzeczy, żeby przeżyć.

Ten nazwany Masseyem uśmiechnął się.

- Cieszę się, że to słyszę od pana, pułkowniku - wycelował pistolet w Stephensa, - Przesuń się na bok, sierżancie, dobrze?

Pułkownik zamrugnął gwałtownie. Usta miał otwarte. - Co... co robisz?

- Człowiek, który sprzedaje swoich żołnierzy nie zasługuje na zaufanie. Zgodzicie się ze mną, co?

- Po... poczekaj.. poczekaj! Umówiliśmy się! Potrzebujesz mnie!

- Umowa wygasła. I więcej cię nie potrzebuję.

Pistolet wypalił. W korytarzu zabrzmiało głośne whump! Wilksowi zatkało uszy.

W piersi Stephensa pojawiła się wyrwa. Zanim upadł zapełniła się krwią. Wilks wiedział, że wypływa z rozerwanego serca. Pułkownik zamienił się w kupę padliny.

Sierżant popatrzył na Massey'a.

- Nie obawiaj się, sierżancie. Nie zamierzam cię zabijać dopóki nie zrobisz jakiegoś głupstwa. Ty i twoi komandosie będziecie mi potrzebni. Wiesz może coś o... cóż... o wędkarstwie?

Wilks przyglądał mu się jakby tamten zamienił się w gigantycznego jaszczura.

Massey zaśmiał się.

- Kiedy chcesz złapać rybę, musisz mieć dobrą przynętę. Zaśmiał się głośnie, jakby opowiedział właśnie dobry dowcip. Wilks wiedział dokładnie, o co tamtemu chodzi. Bo Wilks dokładnie wiedział, co jedzą obcy.

Billie czekała przez godzinę, a potem ostrożnie podczołgała się do drzwi i włączyła kamerę. Ustawiła po krótkiej chwili monitor i zobaczyła trójkę komandosów prowadzonych przez dwóch dziwnie wyglądających mężczyzn z karabinami.

Wciągnęła z sykiem powietrze. Co się tu dzieje?



Kilka minut przy komputerze dało jej niewiele więcej. Statek był opanowany przez grupę napastników. Kim byli? Dlaczego zaatakowali statek? Jak potrafili go zdobyć? Jak pokonali oddziały uzbrojonych komandosów?

Co z Wilksem i Mitchem?

Nie mogła znaleźć Buellera. Wreszcie kolejny obraz pokazał jej Mitcha trzymanego na muszce przez wysokiego, jasnowłosego mężczyznę.

Bogowie! Co ma teraz robić?

Człowiek, który rozmawiał z Masseyem był jakiś dziwny. Wilks domyślił się po chwili, co było tego powodem - to był android, a jego wykończenie pozostawiało wiele do życzenia. Z pewnością był to jeden z modeli zbudowanych do określonego zadania na określony czas. Sierżant domyślił się też, że ten osobnik nie będzie przestrzegał Pierwszego Przykazania, które nie pozwalało robotom i androidom zabijać ludzi. Jak ci piraci potrafili to zrobić?

- Czy są wszyscy? - spytał Massey.

- Tak jest - padła odpowiedź - Straciliśmy podczas operacji dwie jednostki. Czwórka komandosów zmarła wskutek odniesionych ran, następna dwójka jest poważnie okaleczona. Dwoje komandosów zostało wcześniej zabitych przez Stephensa. Mamy wszystkich pozostałych oraz załogę statku. Jest jednak jedna anomalia.

- W czym problem?

- Odliczanie po obudzeniu z hipersnu wykazuje stan obecny plus jeden.

- Massey skierował wzrok na Wilksa. - No?

- Stephens źle policzył. To był głupi sukinsyn.

- Sprawdzić powtórnie nazwiska i identyfikatory - rozkazał Massey androidowi - Nie możemy sobie pozwolić na zgubienie jednego karabinu.

- Tak jest.

- Masz tupet - odezwał się Wilks - Zaatakować rządowy statek! Co za sens?

- Należy powstrzymać nieuczciwą konkurencję przed kradzieżą pieniędzy mojej kompanii.

- Konkurencję? Jeżeli reprezentujesz prywatną firmę, to powinieneś wiedzieć, że Rząd nie współzawodniczy z sektorem prywatnym.

- Prawda jest inna. Próbują zdobyć jednego z tych cennych obcych i zastosować go jako broń. Nie uważasz, że potem sprzedadzą swe osiągnięcia każdemu, kto im zapłaci? Sierżant pokręcił głową.

- Nawet nie wiesz, czym to pachnie. Te pieprzone potwory zniszczyły już kilka kolonii.

- Wiem więcej niż myślisz, sierżancie. Widzisz, my mamy już jeden egzemplarz. Na Ziemi. Nasza misja polega na powstrzymaniu was zanim nie zdołamy wykorzystać naszej przewagi. To po pierwsze, a po drugie mamy uzyskać jak najwięcej informacji o sposobie życia tych bestii. Co najchętniej jedzą, jakie lubią oświetlenie, środowisko, i tak dalej. Z tego, co wiemy, nie są panem stworzenia w swoim świecie. Mogą równie dobrze być jak myszy w naszym.

- Macie obcego? Na Ziemi?

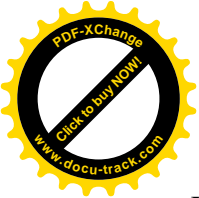
- Jasne. Nie widziałem go na własne oczy, ale zrozumiałem z opisu, że jest bardzo brzydki.

- Na Buddę!

- On ci nie pomoże, sierżancie. Teraz ja jestem twoim bogiem.

Billie przycupnęła na skrzyni i zamyśliła się. Mogłaby ukryć się w tym magazynie i nikt nie odnalazłby jej przez dłuższy czas. Nie figurowała na liście załogi i komandosów. Ktoś mógłby powiedzieć o tym napastnikom, ale może nikt tego nie zrobi.

Poza tym, zostając tutaj nie będzie mogła w niczym pomóc. Mitch mógł zginąć albo zostać ranny: Widziała przecież ciała rozciągnięte w korytarzach, kiedy oglądała na monitorze rozwój wypadków. I wcześniej czy później musi zdobyć wodę i pożywienie.



Jeżeli nie dowiedzieli się o niej, być może uda jej się zrobić coś by pomóc komandosom. System wentylacyjny statku miał przewody wystarczająco szerokie by mogła się nimi poruszać. Miała doświadczenie w ukrywaniu się od czasu, gdy jako dziecko musiała uciekać przed obcymi. Kiedy zachowujesz się cicho i jesteś szybki, możesz przeżyć. Tak robiła wtedy.

Będzie musiała się dowiedzieć, co stało się z Mitchem. Jeżeli go zabili, to nic już się nie liczy. Jeżeli przeżył, odszuka go i jakoś mu pomoże.

Wstała. Nie może spędzić całego życia żyjąc w ciemności i strachu, że ją odnajdą i zabiją jak jakieś dzikie zwierzę. W ostateczności może walczyć.

Massey i Wilks przeglądali się załadunkowi ładownika. Komandosi byli wprowadzani do środka przez strażników, którzy wszyscy okazali się androidami.

- Ty zostajesz tutaj - rzucił Massey.

- Dlaczego?

- Bo mi się tak podoba. Mamy wystarczającą ilość robaków na nasze haczyki.

- Posyłasz moich ludzi na rzeź.

- Tak. A moi ludzie będą ich nadzorować z powietrza najlepiej jak potrafią. Już tam na nich czekają. Krążą nad miejscem lądowania. Żywa przynęta jest o wiele lepsza niż martwa. Tak mi się wydaje.

- Skurwysyn.

- Nieprawda. Moi rodzice byli uczciwymi ludźmi i żyli jeszcze, kiedy miałem dziewięć lat. Potem ich zabiłem. Wilks nie odezwał się. Patrzył jak oddziały wchodziły do wnętrza ładownika.

- Atmosfera tutaj jest na granicy przydatności - poinformował Massey - Trochę tlenu, trochę CO₂ i inne gazy. Jest nieco metanu i amoniaku, co może powodować szczypanie i łzawienie oczu. Dłuższe oddychanie tą mieszaniną może być szkodliwe. Wątpię jednak, że którykolwiek z nich będzie tam tak długo.

Wilks milczał. Siedzieli głęboko w gównie. Jedynym jasnym punktem pozostawało to, że jak dotąd nie odnaleźli Billie. Mogliby to zrobić, gdyby starannie przeszukali zbiory Stephensa. Jej wygląd znajdował się też na nagraniach z wielu kamer. Wcześniej czy później ktoś mógłby zadać komputerowi właściwe pytanie i wtedy szybko by ją dopadli.

Miał nadzieję, że znalazła dobrą kryjówkę i będzie w niej siedziała.

Wewnątrz ładownika, Bueller siedział i czekał na start. Był przygotowany na spotkanie z obcymi, ale nie w taki sposób jak teraz - bez broni i pilnowany przez wrogie helikoptery. Nie mieli żadnych szans w spotkaniu z obcymi, jeżeli chociaż połowa opowiadań Wilksa była prawdą.

Nic nie dało się zrobić. Walka z androidami, którzy ich pilnowali była beznadziejna. Jednak dopóki żyli istniała niewielka szansa, że uda im się przeżyć. Pomyślał o Billie. Miał cichą nadzieję, że się ukryła. Gdyby był tego pewien, mniej obawiałby się o swoje życie. Zadziwiające, że ktoś taki jak on zakochał się. Niezwykłe, a jednak prawdziwe.

Szum silników podnoszących ładownik przerwał jego rozmyślenia.

"Kocham cię Billie - pomyślał - Żegnaj."

Billie czołgała się przez plastikową rurę, która była tylko o kilka centymetrów szersza niż ona. Szło jej ciężko, powoli. Przesuwała się na łokciach, nie miała wyboru. Wilks znajdował się sam w jednym z pomieszczeń magazynowych. Drzwi były zamknięte i strzeżone przez parę androidów Massey'a. Sprawy układały się nie najlepiej.

Massey siedział przed monitorem telemetrycznym i obserwował obraz z wnętrza ładownika. Słuchał też rozmów komandosów przekazywanych przez komunikatory zainstalowane w ich hełmach. System podtrzymywania życia nie był w nich zainstalowany. Budżet Komandosów Kolonialnych musiał zostać ostatnio obcięty. Nie miało to teraz większego znaczenia. Nie będzie się martwił, jeżeli zginą. Potrzebne mu były ze dwa egzemplarze



obcych i wiadomości na temat ich życia w naturalnym środowisku. Wiele już wiedział. Sensory statku zmierzyły grawitację, zbadały skład atmosfery, widmo światła, warunki klimatyczne i wiele innych rzeczy. Cała ta wiedza została zmagazynowana w pamięci komputera Benedicta. Swoją drogą ta planeta nie wyglądała na miejsce, gdzie chciałby spędzić urlop. Grawitacja była nieco większa niż na Ziemi, może jedno g i ćwierć. Grubasy i ludzie z dolegliwościami sercowymi nie czuliby się tu najlepiej, nawet gdyby reszta wyglądała jak Raj. A nie wyglądała. Lokalna gwiazda utrzymywała tropikalne temperatury prawie na całej powierzchni. Tylko na biegunach znajdowały się maleńkie lodowe czapy. Na pozostałym obszarze temperatura wynosiła stale około czterdziestu stopni. Życie roślinne było ubogie, a oceany pełne żrących soli. W sumie wydawało się, że w tym świecie człowiek nie mógłby przeżyć zbyt długo nawet, gdyby nie było tu potworów szukających smacznej kolacji. Trujące powietrze wymuszało używanie filtrów. Całość wyglądała jak wielkie wysypisko śmieci.

- Komendancie, przebiliśmy się przez powłokę chmur Massey'a usłyszał głos jednego z androidów.

- Słyszę was.

Przełączył urządzenia na kamerę zamontowaną na dziobie lądownika. Hologram pokazał kłęby chmur, które szybko uciekły na lewo. Pod ich powłoką widniał szary ład upstrzony tu i tam rachitycznymi drzewami, a raczej czymś, co je udawało. Wiele młodych, niezwiertzałych skał wystawiało ku niebu swe ostre krawędzie o brudnoszarym kolorze.

- Czterdzieści kilometrów w przodzie widać formującą się burzę - powiedział pilot lądownika - Jej wierzchołek znajduje się na wysokości dwudziestu tysięcy metrów. Proszę spojrzeć na wylądowania.

- Okrążcie burzę - rozkazał Massey - Znajdźcie kopiec z obcymi i wylądujcie kilka kilometrów od niego. Nie chcę, żeby nasi komandosi zmęczeni się za bardzo marszem.

- Przyjąłem, Komendancie.

Massey obserwował przesuwane się obrazy. Jak na razie, misja przebiegała dokładnie tak, jak zaplanował. Co do punktu, stawało się to już nudne. Może tam na dole wydarzy się coś takiego, co doda smaku temu mdłemu pasztetowi.

Billie spostrzegła, że rura wentylacyjna ma otwór wychodzący na małą kuchenkę. Wydawało się, że nie ma nikogo w pobliżu, więc ześliznęła się w dół i opadła na kuchenkę mikrofalową, która stała na stole. Szybko znalazła się na podłodze.

Przygotowywanie posiłków na statku polegało na rozpakowaniu gotowych porcji i podgrzaniu ich do odpowiedniej temperatury. Nikt tutaj nie starał się przyrządzać wspaniałych dań na obiad czy kolację. Były jednak specjalne okazje, kiedy pojawiała się na stołach coś bardziej pracochłonnego. Na przykład wizyta na pokładzie jakiegoś ambasadora, czy grupy wyższych oficerów.

Na te okazje kuchenki były przygotowane i można było tu spreparować coś tak niesłychanego, jak kotlet mielony, potrawkę, a może nawet ciasto. Składniki przynajmniej były.

Billie przekopała szafki i znalazła przyrząd będący skrzyżowaniem noża i skrobaczki do jarzyn. Brzezi tego narzędzia były ostre po jednej stronie i ząbkowane po drugiej, a ostrze miało długość jej palca. Nie była to najlepsza broń, ale wystarczająca do zranienia kogoś, kto znajdzie się wystarczająco blisko niej.

Lepszym znaleziskiem okazała się plastikowa rurka, którą można było napełnić płynem i zamrozić by otrzymać twardą pałkę. Nacisnęła wyzwalacz umieszczony w rękojeści i w ciągu dwudziestu sekund płyn wewnątrz zmienił swój stan skupienia. Czowała w dłoni zimno, ale twardość rurki dodawała jej otuchy. "Można użyć tego do walnięcia kogoś w czaszkę" - pomyślała.

Nie była to tak dobra broń jak karabin, ale lepsza niż nic.



Ścisnęła rurkę w dłoni. Teraz jedyne, co musi zrobić to znaleźć się za plecami wszystkich uzbrojonych napastników i kolejno walić ich po głowach. Proste, prawda?

Wyśmiała w duchu samą siebie.

"Musiałaś chyba upaść na głowę, dziecko." Mimo wszystko poczuła się raźniej.

Massey obserwował obraz przesyłany przez kamerę. Komandosi właśnie wychodzili na powierzchnię planety obcych. Nieśli ze sobą całe wojskowe wyposażenie z wyjątkiem broni. Sześciu jego żołnierzy krążyło nad nimi w małych, otwartych helikopterach. Siedzące w nich androidy były uzbrojone i komandosi wiedzieli o tym.

Sensory wychwytywały obrazy, dźwięki, zapachy i smaki i przekazywały je do Massey'a. Ten słuchał także rozmów androidów, którzy porozumiewali się ze sobą przez komunikatory.

- ...szybko idą jak na ludzi oddychających tym powietrzem...

- ...coś nam zagraża?

- Odpowiedź negatywna. Obcy są gatunkiem naziemnym. Massey wyłączył się na chwilę. Jego plan był prosty: doprowadzić komandosów do najbliższego kopca, gdzie obcy ich złapią i wcisną im swe poczwarki. Potem wyśle androidy, żeby ich stamtąd wyciągnęły. Stephens dostał rozkaz by usunąć ze statku broń plazmową, jednak Massey miał jej pod dostatkiem. Mógłby na własną rękę uzbroić małą armię. Cokolwiek mówią o tych bestiach, to żadna z nich nie wytrzyma uderzenia ładunku energii, która potrafi wypalić dziurę w pancerzu z durastali łatwiej niż człowiek może przebić palcem mokry papier. Nie, nie będzie żadnych problemów. Gdy tylko będzie miał jeden lub dwa egzemplarze obcych i wszystkie informacje na ich temat, wraca na Ziemię.

Może potem kompania znajdzie dla niego coś naprawdę trudnego. Roześmiał się głośno. Nadal był najlepszy. Musiał sam znaleźć wyzwanie godne siebie. Może powinien opuścić kompanię i zająć się jakimś małym interesem. Małym, ale ryzykownym. Może zwrócić się przeciw ludziom, którzy go wynajęli i ugryźć dłoń; która go karmiła. Po prostu, żeby pokazać tym dupkom na co go stać. Tak. To był pomysł.

Ale jeszcze nie teraz. Jedno zadanie na raz, to była jego zasada. Nie byłby tak dobry, gdyby popełniał błędy i dzielił skórę na niedźwiedziu. Ponownie zwrócił całą swą uwagę na hologram migoczący przed nim. Jedna misja na raz.

20.

Bueller wraz z Oddziałem nr 1 zbliżył się ostrożnie do kopca obcych. Był, jak inni, nieuzbrojony i wiedział, że idzie ku śmierci. Kopiec, gniazdo? Ul? Czymkolwiek to było wyglądało jak mrowisko wielkości wieżowca. Powierzchnię miało nierówną, jakby zrytą, w kolorze prawie czarnej szarości. Tu i ówdzie widniały jaśniejsze plamki. Kiedy podeszli bliżej, Bueller dostrzegł, że były to kości i czaszki wbudowane w zewnętrzną powłokę.

- Cholera - doszedł go czyjś spokojny głos.

- Jakiś rodzaj wydzieliny zmieszanej z organicznymi szczątkami.

Do owalnego w kształcie wejścia prowadziła utwardzona ścieżka mająca ze sto metrów długości.

- Nie idę tam - stwierdził Ramirez - Pieprzyć to.

Lecz trio latających w powietrzu jak ważki dziwnych helikopterów myślało inaczej. Jakby na potwierdzenie tego obudził się komunikator Buellera:

- Ruszać - rozległ się głos.

Żeby wzmocnić rozkaz, zielony strumień plazmy uderzył w grunt za ich plecami. Mały, dymiący krater pojawił się w kamiennej powierzchni drogi.

- Ciekawe co robią inne oddziały? - odezwał się Chin.

- Kogo to obchodzi? - Ramirez sarknął głośno - Właśnie stajemy się historią.

- Po to tu przybyliśmy - zauważył Bueller.



- Pieprzę to - znów odezwał się Ramirez - Sądziłem, że jesteśmy komandosami, a nie przynętą. - Jestem otwarty na każdy pomysł.

Cała szóstka ciągle szła w kierunku wejścia do kopca. Może kiedy znajdą się w środku uda im się przycupnąć gdzieś w ukryciu i nie wchodzić głębiej. Tak, Bueller. A facet przy monitorze oślepnie i nie zobaczy, że przestaliśmy się poruszać. Co mogą nam zrobić? Mogą nas usmażyć w strumieniu plazmy, ot co. Dobra, w porządku. Mogą też posłać jednego z tych tanich androidów, żeby nas popędził. Pewnie nawet nie musiałby wysiadać ze swego helikoptera. Ramirez ma rację, jesteśmy już historią.

Mała grupka dotarła wreszcie do wejścia. Bueller włączył lampy na ramionach i wziął głęboki oddech. Pierwszy wszedł do kopca.

Niech się dzieje co chce.

Billie czołgała się powoli drogą prowadzącą do zbrojowni. Lodowa rurka i obieracz wcale jej w tym nie pomagały. Nie stanowiły też zagrożenia dla gromady uzbrojonych żołnierzy, którzy opanowali statek. Musiała mieć karabin i dużo szczęścia. Może nawet potrzebowała cudu. Albo lepiej dwóch.

Massey wpatrywał się w hologram. Nagle zwrócił jego uwagę cichy, brzęczący dźwięk. Pochylił się nad ekranem. Trzy helikoptery wisiały nad wejściem do pierwszego kopca. Pozostałe oddziały komandosów ciągle były w drodze do swych celów. Co to może... Doppler pokazał obiekt latający zbliżający się do helikopterów.

"Niemożliwe! Nie ma w tym świecie żadnej cywilizacji. Obcy nie potrafią latać!"

Nagle zrozumiał, co mu się nie podobało w obrazie nadlatującego obiektu. Żadnego śladu ciepła, żadnych wycieków energii. Nie było też sygnałów radiowych, radarowych czy Dopplera. Albo pojazd był tak prymitywny, albo...

Massey zamrugał.

- Grupa Pierwsza - powiedział - Alarm!

Pierwsza fala latających stworzeń runęła na helikoptery. Kamery uchwyciły i nagrały obraz. Stwory wyglądały jak gady. Miały szarą łuskowatą skórę i skrzydła w kształcie litery delta o rozpiętości około dziesięciu metrów. Krótkie ciało wieńczyła wydłużona głowa uzbrojona w ostre zęby. Niewątpliwie były to zęby drapieżców. W pierwszej grupie nadleciało ich tuzin i wszystkie zaatakowały trzy helikoptery androidów.

Massey postarał się by jego żołnierze byli jak najlepsi. Laserowe strzelby wystrzeliły i zielone linie przecięły powietrze. Latające bestie spadały martwe, a strumienie energii odcinały skrzydła, rozpruwały ciała i ucinały im głowy. W pierwszych trzech sekundach spadło w dół dziewięć stworów.

Nadleciała jednak następna fala i było ich już zbyt wiele. Jeden z potworów dostał w pierś i gdy zwałił się w dół był już prawdopodobnie martwy. Spadł na helikopter i wytrącił go z równowagi. W czasie, gdy sterujący nim android usiłował wyprostować lot, następny stwór nadleciał i błyskawicznie okazało się jak strasznym narzędziem są jego wielkie uzębione szczęki. Zacisnęły się na ramieniu pilota i oderwały je. Pojazd zaczął spiralą opadać ku ziemi. Natychmiast cztery inne bestie podążyły za nim uważnie kontrolując jego lot. Pozostałe dwa helikoptery także były w opałach. Skrzydła bestii ogłuszały androidy. Jednocześnie stwory darły zębami i pazurami twarde plastik maszyn, być może uważając je za żywe organizmy.

Ciągle błyskały strumienie plazmy i ciągle martwe potwory spadały z nieba. Pozostałe, te, które uniknęły trafień, atakowały bez przerwy. Jeden z helikopterów sprawiał wrażenie ziarenka prażonej kukurydzy podrzucanego przez kłujące się o okruch głodne wrony. Plastik zewnętrznych osłon upstrzyły dziury i zagłębienia. Androidy walczyły, ale widać było, że są zgubione.



Rozbił się o ziemię pierwszy helikopter. Uderzenie o grunt wyrzuciło z wnętrza dwójkę androidów. Prawie natychmiast spadły na nich z góry latające monstra. Wciągu kilku sekund rozerwały ich na strzępy. Oderwały kończyny od tułowi i wypatroszyły korpusy. Białe płyn z arterii androidów wytrysnął w powietrze.

Potwory rozszarpały swe ofiary, lecz ich nie zjadły. Z całą pewnością nie przepadały za smakiem sztucznych tkanek. Massey patrzył zdumiony jak jeden z helikopterów ląduje, a android z jego załogi wysiada i zaczyna uciekać w stronę kopca. Drugiemu się to nie udało. Dopadły go krwiożercze latające bestie. Nie atakowały jednak biegnącego androida. Musiały dobrze wiedzieć, co potrafią obcy. Tymczasem zbieg zbliżał się do wejścia.

Trzeci z helikopterów stanął w płomieniach, chociaż ciągle unosił się około trzydziestu metrów nad ziemią. Zanim się rozbił, dwóch jego pasażerów zostało prawie całkowicie strawionych przez ogień. Potem jedna z plazmowych strzelb eksplodowała po przekroczeniu temperatury krytycznej. Oślepiający zielony błysk obrócił pojazd w pył włącznie z pięcioma atakującymi helikopter potworami, które znalazły się zbyt blisko.

"Interesujące - pomyślał Massey - Jest tu większa podaż niż się spodziewałem. Może nadarzy się okazja schwytania jednego z tych latających dziwadł. Może jakieś młode." Najpierw jednak musiał wypełnić swe podstawowe zadanie. Połączył się z helikopterami pilnującymi inne oddziały.

- Lecieć natychmiast do rejonu Pierwszego Oddziału.
- A co z naszymi komandosami? - spytał jeden z androidów.
- Nieważne. Wykonać rozkaz. Trzymać się blisko ziemi. Są tu latające stwory, które mogą was zaatakować. Ruszajcie się.

Wyłączył komunikator i odchylił się w tył. Tak. To zaczyna być wreszcie bardziej interesujące niż się spodziewał.

Bueller usłyszał wybuch i zatrzymał się. - Co do diabła...? - zaczął Chin. Weszli dopiero jakieś pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów w głąb kopca i jak na razie wydawało się być tutaj bardzo spokojnie.

- Chodźmy zobaczyć - zaproponował Bueller. - Idę z tobą, kolego - powiedział Ramirez.
- Będę osłaniać tyły - zdecydowała Mbutu. W dłoni trzymała odłam skalny wielkości pięści. Potrząsnęła nią znacząco.

Bueller musiał się roześmiać. Musiała chyba być szalona, myśląc, że cokolwiek zrobi tym kamieniem. Z drugiej strony, najgorsza broń jest lepsza niż żadna. Rozejrzał się za jakimś odłamkiem dla siebie.

To, co zobaczyli, zdumiało ich. Dziwaczne latające bestie krążyły w powietrzu jak wielkie nietoperze. Wszystkie trzy helikoptery były na ziemi i tylko jeden z nich w całości.

Jeden z androidów unosił swoją dupę w kierunku kopca, poruszając się z rekordową szybkością. W jednej ręce niósł plazmową strzelbę.

- Do tyłu - powiedział Bueller - Może będziemy mieli szczęście i wpadnie w nasze ręce.
- Może - odezwał się Smith - Tylko ciekaw jestem jak to się stało, że te potwory, które tu mieszkają jeszcze po nas nie przyszły.
- Nie zaglądamy koniowi w zęby - skarcił go Chin.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że masz być zadowolony, że jeszcze oddychasz. Tylko tyle.

Obserwowali biegnącego androida. Jedna z latających bestii zainteresowała się nim. Nagle zaatakowała jak drapieżny ptak atakuje uciekającą zdobycz. Android padł płasko na ziemię i potwór nie schwycił go. W czasie, gdy bestia robiła koło w powietrzu, uciekinier osiągnął wejście do kopca. Drapieżca jakby zdecydował, że ma gdzie indziej ważniejsze sprawy, zatoczył jeszcze jedno koło i odleciał.

- Przygotować się na przyjęcie gościa - powiedział Bueller.



Android wbiegł do środka. Nie miał najmniejszej szansy. Cała szóstka komandosów rzuciła się na niego. Zniknął pod stosem ich ciał.

Teraz mieli broń. Nie było to wiele, ale zdecydowanie zwiększało ich szanse na ocalenie.

Billie wróciła do zbrojowni, którą zaledwie kilka godzin temu opuściła wraz z Mitchem. Miała teraz aż za dużo broni, ale po przyjrzeniu się kilku sztukom, stwierdziła, że wszystkie nie mają tej samej części. Wstrząsnęło nią to, ale zawiesiła na ramieniu jeden z karabinów i wzięła kilka zapasowych magazynków oraz cały pas granatów. Może uda jej się znaleźć część, której brakowało. A może uda się jej oszukać kogoś, kto pomyśli, że broń jest sprawna, albo przestraszyć groźbą wysadzenia statku przy pomocy granatów. Nie ma nic do stracenia.

Szczególnie, jeżeli coś przytrafiło się Mitchowi.

- Dobra - powiedział Bueller - Blake, ty jesteś najlepszym strzelcem w oddziale. Bierzesz strzelbę.

Skinęła głową, wzięła broń i szybko ją sprawdziła.

- Ma prawie pełny ładunek - oznajmiła - Trzydzieści, może trzydzieści pięć strzałów.

Jak będziesz musiała strzelać, licz strzały. - Ma też boczną broń - stwierdził Smith.

- Lepiej ja ją wezmę - powiedział Bueller.

- Ejże, Bueller, kto zginął i przekazał ci dowodzenie? Odkąd nie ma Easleya, wszyscy jesteśmy równi stopniem.

- Najlepiej strzelam z pistoletu.

- To prawda, Smith - odezwała się Mbutu - ty nie trafiłbyś w czołg z odległości większej niż metr.

- Dobra, w porządku - zgodził się Smith - Wiecie, chciałem tylko sprawdzić, czy się nie uda.

Bueller wziął pistolet, standardową 10 mm broń. Amunicja do niego używana była zbliżona do karabinowej, miała jedynie gorsze parametry bojowe. Pociski nie były przeznaczone do przebijania twardych osłon.

- No, kolego - odezwał się Bueller do schwytanego androida - Pozwól, że sobie porozmawiamy.

- Strata czasu - powiedział android - nie jestem dobrym zakładnikiem. Jestem prymitywny, a mój czas się kończy. W ciągu kilku tygodni będę tylko kupą złomu.

- Mogłyby to być dla ciebie najcudowniejsze tygodnie... powiedziała Mbutu i uniosła kamień.

Android pokręcił głową.

- Nic nie wiem. Massey prowadzi całą zabawę i trzyma wszystko w tajemnicy. Robimy, co każe i nic więcej.

Blake kopnęła androida w biodro.

- Wspaniale - powiedziała - Zabijmy go. Dalej, Mbutu. Rozwał mu głowę swoim kamykiem, bo szkoda tracić pocisk albo ładunek.

- Spokojnie, Blake - wtrącił się Bueller - Ten facio wyszedł z fabryki już zaprogramowany. To nie jego wina. Nie miał wyboru.

Blake popatrzyła uważnie na kolegę.

- Tak. Myślę, że to już gdzieś słyszałam.

- Nie chciałbym przeszkadzać - odezwał się Smith - ale słyszę coś poruszającego się gdzieś w głębi tego mrowiska. A jedna plazmowa strzelba nie zatrzyma gromady tych potworów. Co wy na to, żebyśmy pobawili się na dworze?

Bueller popatrzył w głąb korytarza. Usłyszał szuranie łap obcych i zgrzyt szponów o podłogę.



- Zabierajmy się stąd. Musimy dotrzeć do tego nieuszkodzonego helikoptera. Może tam być więcej broni i sprzętu. - A potem gdzie? - spytał android - Jesteście na obcej planecie bez śmigłowców i lądownika.

- Może tak, koleś. Ale nie będziemy uwięzieni w tym mrowisku. Komandosi, idziemy. Nikt się nie sprzeciwiał.

Billie ostrożnie przemierzała statek, kryjąc się za każdym razem, gdy słyszała, że ktoś się zbliża. Na ramieniu dźwigała karabin, a w dłoniach lodową pałkę i obieracz. Uciekała od głosów i stukotu kroków. Po jakimś czasie stwierdziła, że znalazła się w pomieszczeniach załogi i oficerów. Prześliznęła się wokół drzwi i przycisnęła do ściany. Jak nigdy dotąd zapragnęła stać się niewidzialną. Gdyby ktoś ją dostrzegł znalazłaby się po szyję w gównie. Przed nią była kabina Stephensa. Coś skierowało Billie w tę stronę. Pułkownik nie mógł być w swojej kabine. Kiedy na ekranie oglądała martwe ciała, jedno z nich było zwłokami Stephensa. Zdziwiło ją to, że potrafił oddać życie w obronie statku, ale może źle go wcześniej oceniała.

Kiedy zbliżyła się do drzwi: te niespodziewanie otworzyły się.

"Cholera! Ktoś był w środku."

Rozejrzała się po korytarzu i stwierdziła, że nie ma najmniejszej szansy na ukrycie się. Ktokolwiek wyjdzie za sekundę z pokoju Stephensa zobaczy ją natychmiast. Gdyby był uzbrojony mogłaby oberwać w plecy.

Podniosła lodową pałkę, nacisnęła wyzwalacz i przylgnęła do ściany na prawo od prawie do już do końca otwartych drzwi. Miała nadzieję, że wewnątrz jest tylko jedna osoba. Kiedy mężczyzna wyszedł na korytarz, Billie z całych sił uderzyła go pałką. Płyn wewnątrz nie zdążył się jeszcze zestalić całkowicie, lecz powłoka i tak była wystarczająco twarda. Celowała w głowę, nieco nad lewym uchem. Uderzenie było bardzo silne zwłaszcza, że strach dodawał jej sił. Gruby plastik trzasnął przy zetknięciu z kością, która również prawdopodobnie popękala. Błękitny płyn wytrysnął z wnętrza zniszczonej pałki i oblał twarz mężczyzny.

Ten jednak nie upadł. Zachwiał się, chwycił klamki, jeszcze raz się zatoczył, lecz nie upadł.

Billie zrobiła krok do przodu i uderzyła lewą ręką w brzuch mężczyzny, trochę poniżej mostka. Obieracz wszedł gładko w miękką tkankę aż po rękojeść.

Biały płyn wytrysnął z rany i opryskał ją, gdy wyciągnęła obieracz.

"Krew androidów - pomyślała - To sztuczny człowiek" Android zdołał się odwrócić i uderzyć w jej rękę, która właśnie miała zadać mu kolejny cios. Ostrze trafiło w żebra zamiast w brzuch, rozcięło ubranie i pozostawiło długie płytkie cięcie na sztucznej skórze androida. Rana ciągnęła się od środka klatki piersiowej aż do barku.

Parujący gwałtownie płyn chłodzący z popękanej pałki przesłonił na chwilę widok i android nie zdołał chwycić Billie za włosy. Zanim obtarł oczy, dziewczyna miała czas na jeszcze jedno uderzenie. Jeżeli to go nie powali, nie będzie miała żadnych szans. Nawet poważnie ranny android jest znacznie silniejszy niż przeciętny człowiek.

Billi dźgnęła gwałtownie obieraczem celując w oko. Życie przez tyle lat w szpitalu dało jej pojęcie o anatomii. Oczy stanowiły najłatwiejszą drogę do mózgu.

Ostrze trafiło trochę niżej niż chciała, ześliznęło się po kości i zagłębiło w oko. Z rozciętej soczewki wytrysnął bezbarwny płyn.

Android odskoczył od Billie i uniósł obie ręce do zranionej głowy. Wyrwał obieracz i odrzucił go na bok. Ząbkowane ostrze wypruło mu całe oko. Oczodół wypełnił się białym płynem.

Stał nieruchomo. Billie wydało się, że upływają całe godziny. Nagle upadł. Nie odezwał się ani słowem, nawet nie zacharczał. Po prostu upadł jakby nagle zniknęły jego kości. Był martwy.



Serce Billie waliło jak młotem. Wydało jej się, że za chwilę wyskoczy z piersi. W prawej dłoni trzymała ciągle potrząskaną pałkę. Po chwili upuściła ją na podłogę. Trzask plastiku zabrzmiał w cichym korytarzu jak wystrzał.

W pierwszym odruchu chciała odwrócić się i uciec, lecz nie zrobiła tego. Zainteresowało ją, co android robił w pokoju Stephensa.

Weszła i natychmiast otrzymała odpowiedź na swoje pytanie. Na łóżku pułkownika leżały w równych rzędach brakujące części od karabinów. Kto mógł je tutaj położyć? Z pewnością ktoś, kto wykonał ten sabotaż osobiście. Wyglądało na to, że właśnie dowiedziała się kto to był. Dlaczego jednak to zrobił? Teraz nie było to ważne. Mogła nad tym pomyśleć później. Miała wiele innych spraw na głowie.

Podniosła jedną z części i umieściła we właściwym miejscu swego karabinu. Wcisnęła magazynek i wprowadziła ładunek do komory. Licznik pokazał, że w magazynku pozostało dziewięćdziesiąt dziewięć przeciwludzkich naboji.

Uśmiechnęła się. To była potęga. Zaraz poczuła się znacznie lepiej. Gdyby te trzęsidupki ze szpitala mogły ją teraz zobaczyć, dopiero by się zdziwiły. Dobry Boże! Wariatka z karabinem w ręce!

Musiała ruszać. Lecz teraz, gdyby ktoś wszedł jej w drogę, może go zaprosić do śmiertelnego tanga.

Wilks. Mogłaby znaleźć Wilksa i uwolnić go. On wiedziałby jak wydostać się z tych tarapatów. A razem mogliby odnaleźć Mitcha i razem rzucić w diabły tę niewydarzoną misję. Może nie był to najlepszy we Wszechświecie plan, ale całkiem realny do wykonania.

Przynajmniej miała taką nadzieję.

21.

Massey patrzył jak nadlatuje kolejnych sześć helikopterów. Zbliżały się szybko do kopca, gdzie znajdował się Pierwszy Oddział.

Druga kamera pokazała komandosów strzelających do krążących śmigłowców.

Proszę, proszę. Musieli zdobyć broń z roztrzaskanych poprzednio pojazdów. Z ziemi strzelały co najmniej dwie strzelby plazmowe. Błyszczące zielone włócznie zabijały jego żołnierzy.

Androidy Masseya były naprawdę dobre, lecz były to osobniki ogólnego przeznaczenia. Silne i szybkie, jednak nie szkolone do różnych scenariuszy walki. Patrząc na problem od tej strony, komandosi byli o niebo lepsi. Nawet pomimo znacznie gorszego uzbrojenia. Trzy z sześciu helikopterów już spadły i paliły się. Pozostałe trzy szybko odleciały z zasięgu strzelb i krążyły w pobliżu.

- Komendancie - dobiegł go głos z komunikatora - mamy tutaj problem.

- Nie jestem ślepy - warknął ze złością - Zostańcie tam. Nie traćcie ich z oczu.

Wyciągnął się wygodnie w fotelu i potarł w zamyśleniu policzek. Potem odwrócił się i zawołał androida pilnującego drzwi.

- Przeprowadź tutaj Wilksa. Strażnik wyszedł.

"Hmm. Cóż, więcej zabawy niż się wydawało" - pomyślał. Ciągle jednak było to tylko drobne zakłócenie planu. Miał już wszelkie dostępne informacje o planecie. Wypełnił też główną misję powstrzymania rządu od zdobycia przedstawiciela gatunku obcych. Nie wiedział jeszcze czy powinien ciągnąć tę rozgrywkę dalej, czy rzucić wszystko i wracać do domu. Z jednej strony zrobił właściwie wszystko, czego od niego oczekiwano. Mógł powiedzieć, że jego oddziały zostały zgładzone przez obcych. Tamci pewnie nie zmartwiliby się zbytnio. Kompania miała jednego obcego. Kolejny miał być tylko dodatkiem i zabezpieczeniem. Z drugiej strony, nienawidził nawet drobnych porażek.

"Tak, to interesujący problem. Będę musiał trochę nad tym pomyśleć."



To był ślepy traf, że Billie zobaczyła jednego z napastników prowadzącego Wilksa. Sierżant miał ręce związane z tyłu cienką linką z włókna węglowego. Jego konwojent - czyżby kolejny android? - nie spoglądał za siebie w głąb korytarza, który już raz przeszedł. Jego uwaga skupiona była na więźniu i nie zobaczył Billie, która skryła się pod radiatorami systemu grzewczego.

Kiedy przeszli, wstała i miękko jak kot pobiegła do najbliższego skrzyżowania korytarzy. Wyrzała zza rogu akurat w chwili, gdy skręcili do kabiny sterowniczej. Chciała odnaleźć Wilksa i udało jej się to. Ruszyła głównym korytarzem za wyprzedzającą ją dwójką mężczyzn.

Wilks czuł, że dokądkolwiek idzie, nie robi tego z własnej woli.

"Co do diabła - pomyślał - żyję na kredyt już od więcej niż dziesięciu lat. Powinienem zginąć na planecie Rim. Od tamtych dni tak naprawdę nie żyję. Pieprzyć to. Kiedy występ się kończy, to się kończy."

Miał zamiar zejść z tego świata jak człowiek.

Bueller utrzymywał swój oddział w ciągłym ruchu. Mieli szczęście, że helikoptery nie zostały zaprojektowane do innych celów poza szybkim przenoszeniem ludzi z miejsca na miejsce. Mały pojazd nie mógł dźwigać żadnych urządzeń wykrywających poza zwykłym radarem i Dopplerem. Nie posiadał szperaczy i czujników podcierwieni. Nie był też uzbrojony z wyjątkiem osobistej broni pasażerów. Androidy kierujące śmigłowcem musiały polegać tylko na swoich zmysłach i starać się odszukać wzrokiem maskujące kombinezony komandosów. Było to bardzo trudne w przeciwieństwie do zobaczenia helikoptera. Plazmowe strzelby, które udało się zdobyć Pierwszemu Oddziałowi miały ten sam zasięg, co broń androidów. Więc kiedy którykolwiek ze śmigłowców zniżył się wystarczająco by dosięgnąć komandosa, sam ryzykował, że zostanie trafiony. A jako cel był znacznie większy. Dlatego właśnie punktacja, jak dotąd wynosiła trzy do zera dla oddziału Buellera.

Ci jednak nie mogli zbyt długo przebywać w tej okolicy gdyż wcześniej czy później bestie wyjdą z mrowiska, a to nie byłoby zbyt przyjemne dla komandosów. Nie mogli zostać tutaj uziemieni.

- Uwaga, słuchajcie - powiedział Bueller używając do tego swego kodowanego komunikatom - Musimy uciec od tego towarzystwa, które czeka na obiad. Wszyscy słyszą? Na mój sygnał biegniemy w kierunku magnetycznego południa. Ramirez na szpicy, Blake osłania. Wszyscy trzymają nisko głowy.

Bueller nie sądził, że napastnicy mogą dekodować jego sygnały, ale zapamiętał lekcję, jakiej udzielił im Wilks, kiedy wraz z Easleyem ćwiczyli na Ziemi.

- Na mój sygnał, pierwsze nieważne.

- Ostatnie słowa były szyfrem. Oznaczały zmianę kierunku marszu o 180 stopni. Gdyby tamci mieli dostęp do ich kodowanej częstotliwości, oczekivaliby komandosów na południu. Oddział pójdzie natomiast na północ. Ta zmiana może dać im dodatkowe kilkaset metrów przewagi.

- Naprzód!

Schwytany android słuchał Buellera wydającego rozkazy. Mitch nie pomyślał, dopóki nie ruszyli, że nie zna ich szyfru. Gdy komandos pobiegł, on również to zrobił, ale w przeciwną stronę.

- Hej! - ryknął Bueller.

Za późno. Jeden ze śmigłowców zniżył się gwałtownie. Jego plazmowa broń musiała być nastawiona na ogień automatyczny. Z tej odległości nie była tak groźna, lecz mogła jednak spowodować znaczne obrażenia. Grunt dymił i zaczęły się pojawiać małe kratery wypalone plazmą. Biegający android próbował zatrzymać się, ale już wbiegł w obszar tańczących linii



zielonej śmierci. Jego wewnętrzne płyny zagotowały się i eksplodował jak przebity nożem balon z wodą. Tak, to była szybka śmierć. W ogóle nie cierpiał.

Blake podniosła głowę i popatrzyła na śmigłowiec. Ten okrążył swą ofiarę i zamierzał wznieść się wyżej.

- Za daleko - odezwał się Bueller - Nie marnuj ładunku! Dziewczyna wyszczerzyła zęby. Wycelowała starannie wodząc za celem i nacisnęła przełącznik plazmowy.

Pięćset metrów dla szybko poruszającego się celu było jak centymetr.

"Żadnej szansy na trafienie" - pomyślał Mitch.

Zielony promień trafił w śmigłowiec. Uderzenie strumienia energii skruszyło twardey plastik i w mgnieniu oka zniszczyło wirnik. Przez chwilę pojazd wisiał nieruchomo, jakby nie istniały czas i przestrzeń, potem zwałił się w dół jak ciężka kula. Bez śmigła helikopter tego typu nie był bardziej aerodynamiczny niż okrągła cegła. Komandosi znajdowali się wystarczająco blisko by słyszeć jak powietrze gwizdząc wydostając się przez dziurę wypaloną zielonym ostrzem. W końcu pojazd walnął o ziemię.

- Niezły strzał - powiedział Bueller.

- To jak polowanie na kaczki - odpowiedziała dziewczyna - Musisz dać niewielkie wyprzedzenie i to wszystko. Pobiegli dalej.

Pozostałe dwa śmigłowce krążyły wysoko nad głowami, ciągle trzymając się w bezpiecznej odległości.

- Dokąd biegniemy? - krzyknął Chin. - Do lądownika.

- To nie tędy!

- Wiem. Zrobimy koło. Niech myślą, że jesteśmy zgubieni. Kiedy zrobi się ciemno możemy oszukać te ptasie mózdzki.

- Tak - zgodziła się Mbutu - ale czy zdołamy oszukać tamtych?

Za ich plecami obcy zaczęli wychodzić z kopca.

Massey odprawił androida. Odwrócił się do Wilksa i powiedział:

- Twoi komandosi udowodnili tam na dole ile są warci. Wygląda na to, że położyli swe łapy na paru strzelbach i teraz robią z nich użytek.

- Niezbyt dobrze - wyszczerzył się Wilks - Mam nadzieję, że to nie zakłóca w niczym twego planu.

Massey wyjął swój antyczny pistolet i przyłożył jego lufę do policzka sierżanta. Przesunął kilka razy po skórze.

- Mam taki pomysł: Dlaczego miałbyś nie przemówić do nich i kazać im by się poddali?

Wilks uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Co zamierzasz zrobić, jeżeli tego nie zrobisz? Zabić mnie?

Teraz Massey się roześmiał. Cofnął się nieco do tyłu.

- Miło pracować z zawodowcem. Szczególnie po kontaktach z tymi kundlami, z którymi stykałem się dotąd. Wiesz, że i tak cię zabiję, co?

- Podejrzywałem coś w tym rodzaju.

- Wiesz, że to konieczność. Ale możesz umierać szybko i bezboleśnie, albo długo i...

Massey schował pistolet do pochwy i wyciągnął niewielki nożyk. Nierdzewna stal błysnęła w świetle lamp. Cały nóż miał może siedemnaście, może osiemnaście centymetrów długości z czego połowę przypadło na rękojeść. Było to jednak wystarczające dla eksperta. Wilks nie miał wątpliwości, że Massey umie się posługiwać tym narzędziem.

- Piekielnie mały. Mój penis jest chyba dłuższy. - Już niedługo.

Sierżant naprężył mięśnie. Ręce miał skrepowane, ale mógł użyć nóg. Niewątpliwie Massey umiał walczyć wręcz, lecz przecież lepiej zginąć w walce.

Zabrzączał komunikator.

Massey odszedł do tyła, poza zasięg nóg Wilksa i nacisnął przycisk.



- Komendancie, komandosi zestrzelili następny nasz śmigłowiec. Biegają na północ i oddalają się od lądownika.

- Nie są tacy głupi - mruknął Massey - Zostańcie z nimi i miejcie ich stale w zasięgu wzroku.

Zerknął na Wilksa, potem ponownie popatrzył na tablicę kontrolną. Dotknął następnych przycisków. Czerwone cyferki rozświetliły jeden z rogów ekranu. Zaczęły odliczać czas.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże - powiedział Massey. Wilks ruszył z miejsca. Zrobił kilka szybkich kroków.

Massey zaśmiał się i wyprowadził cios nogą. Było to niemal leniwe, sygnalizowane uderzenie. But trafił sierżanta w żołądek i powalił go na ziemię. Komandos upadł ciężko nie mogąc użyć rąk do amortyzacji. Natychmiast wbił pięty w podłogę usiłując wstać. Nic z tego. Massey zakręcił nożem w dłoni.

- Ta gra nazywa się czekaniem na deszcz - powiedział Najwyższy czas zebrać trofea i wracać do domu. Żegnaj, sierżancie.

Zaczął zbliżać się do bezradnego komandosa.

- Rzuć to! - rozległ się za jego plecami kobiecy głos.

Wieczór zaczął rzucać długie cienie na równinę planety obcych. Słońce miało niebawem zniknąć pod horyzontem. Właśnie o tej porze oddział Buellera zaczął zataczać koło w kierunku lądownika. Już prawie nie można było dostrzec śledzących ich helikopterów, ale i tamci mieli trudności z obserwacją komandosów.

- Co z obcymi? - spytał Bueller. Mbutu pokręciła głową.

- Nie mają zbyt dobrego węchu - powiedziała - Kiedy skręciliśmy w lewo, one dalej poszły prosto. Marni łowcy.

- To dobrze.

- Może - odezwał się Ramirez - ale może w tym kierunku jest coś, na co nie chcą się natknąć. Coś potężniejszego niż one same.

-To właśnie cały Ramirez. Zawsze widzi jaśniejsze strony problemów.

- Pieprzę cię, Blake.

- Chciałbyś. Jeżeli masz w spodniach coś większego niż wykałaczka, to może się zastanowię.

Bueller uśmiechnął się szeroko. Może czeka ich tutaj śmierć, ale skoro jeszcze żartują, to znaczy, że morale jest znacznie lepsze niż wcześniej.

Pośpieszmy się - powiedział głośno - Mamy jeszcze parę miejsc do odwiedzenia i parę rzeczy do zrobienia.

Billie trzymała karabin wycelowany w serce Massey'a i zamierzała strzelić, gdyby zrobił jakiś gwałtowniejszy ruch.

Mężczyzna uśmiechnął się i upuścił nóż. Wyglądał jak jeden z psychopatów, których widywała w szpitalu.

- No, no. Co my tu mamy? Jesteś maskotką załogi? - Stój spokojnie.

-To wyjaśnia dodatkową głowę przy obliczeniach. Nie możesz być jedną z tych brzydkich komandosek. Jesteś na to za ładna. Ktoś cię przeszmugłował na pokład dla zabawy, albo może dla korzyści?

- Billie, zastrzel go - odezwał się Wilks - Zastrzel go natychmiast!

Mężczyzna popatrzył na sierżanta.

- Aha. Twoja przyjaciółeczka, co. Masz dobry gust. Ponownie odwrócił się do dziewczyny. Przesunął się o pół kroku. Ręce rozłożył na boki, jakby chciał pokazać, że jest bezbronny.

- Jeszcze krok i dostaniesz bilet bez powrotu - ostrzegła Billie.



- No, co ty. Mała słodziutka dziewczynka nie zrobi tego, prawda? Nie chcesz mnie przecież zabić. Pomyśl o tym, co to za zbrodnia - zabić ludzką istotę. Możesz mieć potem złe sny, kochanie.

Przesunął się o następne pół kroku.

Billie przełknęła ślinę. Ten człowiek był zabójcą. Widziała ciała rozciągnięte w korytarzach. Zrobił coś złego Mitchowi. Ale zastrzelenie go było czymś innym niż walnięcie w głowę androida.

Zrobiła krok do tyłu.

- Mówię ci nie ruszaj się. Wilks zdołał stanąć na nogach.

- Billie, ten facet jest mordercą! Musisz go wykończyć! Strzelaj !

Spojrzała w jego kierunku. To był błąd.

Gdy tylko odwróciła swą uwagę od Massey'a, ten skoczył. Boże, jaki był szybki! Billie nacisnęła spust karabinu, ale on był już w locie, już zszedł z linii ognia. Z pół tuzina pocisków roztrzaskało konsolę komputera. Okropny hałas, błyski zwartych przewodów...

Próbowała wycelować broń, ale było już za późno. Uderzył ją pod kolana tak, że upadła na plecy.

- Głupia suko! - sapnął i chwycił ją za ramiona - Celować we mnie!

Podniósł ją jednym szarpnięciem z podłogi i rzucił o ścianę.

Billie aż poszarzała na twarzy, gdy uderzyła głową o twardy plastik. Znowu był przy niej. Jedną ręką złapał ją za bluzkę, a drugą uderzył w twarz.

- Nie potrzebuję broni, ty głupia cipo. Mogę rozerwać ci gardło gołymi rękami !

Uderzył ją jeszcze raz. Poczula jak ząb przebił jej wargę. Krew popłynęła jej z ust. Kolejne uderzenie. Przycisnął ją do ściany i uniósł w górę. Wyciągnął pistolet z pochwy. Na jego twarzy pojawił się uśmiech szaleńca.

- Ale nie będę brudził sobie rąk takim zerem jak ty.

Kiedy podniósł broń by ją zabić, dostrzegła jakiś ruch za jego plecami. Nie zdołała ukryć swego spojrzenia.

Massey usiłował się odwrócić, ale Billie chwyciła obiema rękami nadgarstek ręki trzymającej ją za bluzkę. To wystarczyło by Wilks zdołał uderzyć barkiem w jego biodro. Poczula, że bluzka rozdarła się, kiedy upadał.

Upadła na podłogę i pobiegła na czworakach w kierunku karabinu. Pięć metrów, trzy...

Massey ryknął z wściekłości i dziewczyna wykręciła głowę, żeby spojrzeć na niego. Upuścił pistolet, ale już był na nogach i sięgał po niego.

Dwa metry do karabinu, jeden... - Zabiję was oboje!

Wilks leżał rozciągnięty na podłodze i usiłował przesunąć się w stronę zabójcy.

Billie chwyciła karabin. Przeturlała się na plecy. Nie miała czasu, żeby stanąć na nogi...

Pistolet Massey'a wypalił w chwili, kiedy się toczyła po podłodze. Kula uderzyła w miejsce, gdzie przed chwilą się znajdowała. Nie miała czasu na celowanie. Wyciągnęła karabin przed siebie i nacisnęła spust. Przełącznik musiał być ustawiony na pojedyncze strzały. Broń wystrzeliła tylko raz, chociaż Billie spodziewała się ciągłego ognia. Nacisnęła powtórnie spust. Nic. Powinna przeładować karabin. Do diabła!

Lecz ten jeden strzał wystarczył.

10 mm ładunek trafił Massey'a poniżej ramienia ręki, w której trzymał pistolet. Widziała jak cały stęzał. Wypuścił broń z bezwładnej dłoni: Rana wlotowa była rozmiaru paznokcia, lecz kiedy upadł, dojrzała wylot kuli wysoko na jego plecach. Dziura była wielkości jej pięści.

Pistolet leżał dwa metry od czubków palców leżącego na podłodze mężczyzny. Ranny podniósł głowę, dojrzał broń i zaczął czołgać się w jej kierunku.

Billie wstała. Broń trzymała gotową do strzału. Skoczyła w kierunku leżącego na podłodze pistoletu i kopnęła go w drugi koniec kabiny. Wycelowała broń w leżącego.

Odwrócił się na plecy. Krew płynęła mu z rany i tworzyła czerwoną kałużę wokół głowy.



- Głupia, pieprzona suka - stęknął. Sięgnął po coś przypiętego przy pasie.
- Nie ruszaj się!
- Pieprzę cię - wsunął lewą dłoń pod kombinezon na prawym biodrze. Zobaczyła jak nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Billie! - wrzasnął Wilks.

- Nie rób tego! - krzyknęła dziewczyna do Massey'a. Powoli zaczął wysuwać rękę...

Nacisnęła spust.

Wystrzał wydał się ogłuszająco głośny w zamkniętej przestrzeni kabiny. Zapach spalonego materiału wybuchowego drażnił nozdrza. W uszach dzwoniło.

Pocisk trafił Massey'a w usta. Wybił przednie zęby i odstrzelił cały tył jego głowy. Już nic nie będzie mógł zrobić. Nic z tego, co zamierzał.

Pochyliła się i wyciągnęła martwą rękę spod kombinezonu. Palce trupa ścisnęły granat. Zabezpieczenie było już zdjęte, a kciuk spoczywał na przycisku detonatora. Billie ostrożnie wyjęła granat z ręki zabitego i zamknęła zabezpieczającą pokrywkę. Mógł ich wszystkich wysadzić w powietrze, zniszczyć kabinę sterowniczą i wyrwać dziurę, przez którą uciekłoby ze statku całe powietrze.

- Billie, przetnij mi więzy.

Popatrzyła na Wilksa. Zamrugnęła oczami jakby nigdy wcześniej go nie widziała.

- Co?

- Ustawił coś w rodzaju odliczania. Pośpiesz się!

Billie mechanicznie zrobiła co jej kazał. Znalazła nóż i użyła go by oswobodzić sierżanta. Nóż był bardzo ostry.

Gdy tylko to zrobiła, Wilks podbiegł do konsoli. Kula strzaskała ekran. Nie mógł zobaczyć ile czasu zostało. Zaczął naciskać różne przyciski, potem podbiegł do drugiego monitora.

- Co jest? Potrząsnął głową.

- Myślę, że w ładowniku jest bomba. Pierwszy oddział zdołał uciec. Obawiał się, że mogą opanować pojazd i wrócić na statek.

- Co z Mitchem? - Nie wiem.

- Wezwij go! Znajdź go! - Billie...

- Do ciężkiej cholery, Wilks!

- Pozwól mi zobaczyć czy nie uda mi się zatrzymać odliczania. Muszą opuścić planetę. Pilnuj drzwi! Włóczy się tam jeszcze parę androidów!

Popatrzyła na niego.

- Ruszaj się! Jeżeli tu przyjdą, zginiemy wszyscy!

Billie wreszcie zrozumiała. Przesunęła przełącznik na ciągły ogień automatyczny, wyrzała na korytarz. Nie dostrzegła nikogo. Została w drzwiach i obserwowała uważnie otoczenie. - Wilks?

Nie mam czasu! Musi tu być jakieś zabezpieczenie, jakaś instrukcja przerwania, ale nie znam kodu. Próbuję dostać się do systemu kontrolnego ładownika i wyłączyć zasilanie. Może to powstrzyma eksplozję. To wszystko, co mogę zrobić.

- Ile zostało czasu?

- Może minutę - wzruszył ramionami - może godzinę.

Nie potrafię powiedzieć. Nie mogę dostać się do systemu z tej konsoli.

Billie odwróciła się by popatrzeć na korytarz.

"Jeżeli Mitch żyje, powinnam polecieć na dół i go odnaleźć. Jeżeli nie, wszystko nie ma najmniejszego znaczenia.

- Cholera! - powiedział nagle Wilks - Cholera! Cholera!



Szczęśliwie dla oddziału posiadali noktowizory i wizjery na podczerwień. Napastnicy wiedzieli, że komandosi mają poruszać się w ciemnościach mrowisk, więc pozwolili im zabrać ten rodzaj sprzętu.

Mogli, więc teraz poruszać się w ciemnościach.

Może gdzieś tam w górze brzęczały helikoptery, ale teraz komandosi byli lepiej wyposażeni od androidów i praktycznie niewidzialni.

Wśród bezksiężycowej nocy szybko zdążali do lądownika. Prowadziło ich ciepłe promieniowanie, jakie wydzielał ten pojazd. Ramirez szedł na przód, wyprzedzając resztę o kilkaset metrów. Bueller kazał mu wyszukiwać drogę, przeszukiwać teren i zgłaszać wszystko do tyłu. Było wysoce prawdopodobne, że lądownik jest strzeżony. Mitch musiał wymyślić sposób jak pokonać strażników i nie uszkodzić maszyny.

Właśnie patrzył w kierunku miejsca gdzie powinna się znajdować, gdy w jednej chwili ciemna noc zmieniła się w jasny dzień.

- Gówno! - powiedział. Odsunął wizjer na podczerwień. Chciał popatrzeć na światło własnymi oczami.

Świetlista kula w miejscu, gdzie znajdował się lądownik ciągle się rozszerzała. Potem zaczęła powoli ciemnieć. Byli dość daleko od miejsca wybuchu tak, że fala uderzeniowa, jaka do nich dotarła była prawie łagodna. Sprawiała wrażenie gorącego wiatru, nagłego podmuchu od rozpalonej pustyni.

Bueller padł płasko na ziemię, lecz w tym samym momencie stwierdził, że zawiódł go refleks. Gdyby promieniowanie było szkodliwe to i tak zrobił to zbyt późno.

Po sekundzie zaczęły spadać kawałki rozerwanego pojazdu.

Niektóre uderzyły w ziemię całkiem blisko wydając głuchoe odgłosy, jakby ciężkie przedmioty spadały na kamienistą glebę. Jakiś płonący kawałek uniósł się wysoko w górę, inne strzelały jak świąteczne fajerwerki. Gorący deszcz spadł w pył okolicy i świecił blado nawet po upadku.

- O, ludzie! - mruknął Chin.

Bueller powiedział do komunikatom:

- Ramirez? Odezwij się, Ramirez.

Nie było odpowiedzi.

- Adios, Ramirez - powiedziała Mbutu.

Mitch przyglądał się dymiącym szczątkom w oddali. Ramirez musiał zginąć od wybuchu. Cholera!

Żałował kolegi, ale inna myśl zmroziła go do szpiku kości: bez lądownika wszyscy byli straceni. Koniec misji. Koniec oddziału.

Cholera.

- Możesz skontaktować się z komandosami? - spytała Billie Wilksa.

Na konsoli komunikatora błyskały światełka. odbieranych rozmów, ale wszystkie pochodziły od androidów wroga, którzy pozostali na planecie po wybuchu lądownika. Sierżant przesunął ręką po klawiaturze i głośniki zamilkły. Dotknął jakiegoś przycisku.

- Pluton Lis, tu sierżant Wilks. Słyszycie mnie?

Przez chwilę, która dla Billie wydała się nieskończenie długą, nikt się nie zgłaszał.

"O, Boże, Mitch!" - pomyślała.

- Tu Bueller z Pierwszego Oddziału. - Mitch!

Wilks machnął na nią ręką. Zamilkła. - Bueller, jaka sytuacja?

- Mam Blake, Smitha, China i Mbutu. Straciliśmy Ramireza, kiedy lądownik zamienił się w supernową. Jak tam u was?



- Billie odstrzeliła głowę niegrzeczemu chłopcu. Już go nie ma wśród nas. Jacyś jego żołnierze pewnie przebywają jeszcze na statku, ale jesteśmy uzbrojeni i mamy centrum dowodzenia. Sądzę, że niebawem oczyścimy statek.

- Ciekawe, że jego androidy nie przestrzegają Pierwszego Prawa.

- Tak, wiem o tym. Słuchaj. Wysyłam inny lądownik po twój oddział. Misja skończona, Bueller. Żli chłopcy mają na Ziemi jednego obcego. Kiedy rząd się o tym dowie, położy łapę na całym interesie. Nie potrzebujemy już ani jednego egzemplarza.

- Zrozumiałem, sierżancie. Znajdziemy bezpieczne miejsce i poczekamy na lądow...

Nagle inny głos zagłuszył Buellera.

- Na pomoc, ktokolwiek nas słyszy niech nam pomoże! Tu Walters, Drugi Oficer. Androidy zapędziły nas w pobliże jednego z tych pieprzonych mrowisk i właśnie te potwory zaczynają wylazić! Pomóżcie nam!

- Do cholery! - krzyknął Wilks i dotknął przycisku na tablicy kontrolnej - Walters, tu Wilks! Gdzie jesteście? Włącz automatyczny nadajnik naprowadzający!

- Jezusie! Już są tutaj! Nie, nie! Zostawcie mnie! Aaah!

- Nadajnik, Walters włącz nadajnik! Billie wpatrywała się w Wilksa.

- Jest sygnał- powiedział sierżant - Zdażył nacisnąć. Billie pokręciła głową.

- Obcy zaciągną ich do wnętrza kopca. Zawieszają ich w kokonach w komorze z jajami.

- Tak - skinął Wilks - Nawet pomimo sygnału z nadajnika nie zdążymy ich uwolnić zanim nie zostaną zaimplantowani poczwarkami.

Wypuścił głośno powietrze i mówił dalej:

- Zamierzam wytrącić planetę z jej orbity przy pomocy ładunków jądrowych. To będzie szybka śmierć. Mamy wystarczającą ilość sprzętu. Gdy Stephens zabronił zabierać broń plazmową, załadowałem w tajemnicy części bomb jądrowych. Mogę zapalić tam na dole tysiąc wulkanów za jednym przyciśnięciem guzika. Przez chwilę będzie tam jak we wnętrzu gwiazdy. Wysterylizuję tę przeklętą planetę.

- Sierżancie Wilks - rozległ się głos Mitcha - Słyszeliśmy wołanie o pomoc. To tylko dwanaście kilometrów od nas. Idziemy tam.

- Nie zezwalam, panie szeregowy. Misja skończona, powtarzam: skończona. Znajdźcie miejsce na lądowisko i czekajcie na nas. To rozkaz.

- Sierżancie, pan wie, że nie możemy zostawić tych ludzi bez pomocy.

Wilks zacisnął szczęki.

- Zgłosimy się, kiedy ich stamtąd wyrwiemy. Billie nie rozumiała, co się dzieje.

- Mitch! Tu Billie! Nie zdołasz uratować załogi. W ich sytuacji już są martwi! Czekaj na lądownik!

- Ja, eee... nie mogę ci tego wyjaśnić, Billie, ale nie możemy pozwolić im umrzeć.

- Do diabła, Mitch! Co to jest, honor komandosa? Tamtych już nie ma! Może będą jeszcze jakiś czas oddychać, ale umrą bo będą nosić w sobie te pieprzone poczwarki! Nie możemy dla nich nic zrobić, nawet jeżeli ich wydostaniesz! Nie warto ryzykować!

- Przykro mi, Billie. Kocham cię.

- Mitch!

- Daruj sobie - odezwał się Wilks - Nie powstrzymasz ich.

- Dlaczego.

Nie usłyszała odpowiedzi.

- Wiadomo coś o innych oddziałach? - spytał Chin.

- Nie - odpowiedział krótko Bueller - Spodziewam się, że znajdziemy ich w kopcu, jeżeli tylko pracuje którykolwiek z nadajników naprowadzających.

- Nie lubię tego - pokręcił głową Smith.

- Nawet mi o tym nie mów - warknął Mitch.

Ruszyli w ciemność nocy.



Na statku pozostała czwórka androidów Massey'a. Wilks i Billie odnaleźli ich i zabili.

- Nie rozumiem - powiedziała Billie - Myślałam, że androidy nie mogą krzywdzić ludzi.

- Jesteś blisko prawdy - padła odpowiedź - Zmodyfikowano Pierwsze Prawo Robotów Asimowa. Nie tylko nie mogą zabić człowieka, ale również nie mogą pozwolić na jego śmierć bez próby uratowania go. W przeciwnym razie nie byłoby androidów chirurgów. Nie mogliby trochę pokaleczyć człowieka by uratować go od choroby lub śmierci. Nie można tego powiedzieć o grupie Massey'a.

Wilks zaprogramował zarówno wojskowy lądowik jak i jeszcze jeden ze statku Massey'a. Statek kompanii będzie czekał na orbicie stacjonarnej na wypadek gdyby był potrzebny. Mógł być zdalnie sterowany z powierzchni planety. Massey wysyłał swoje helikoptery w czymś co nazywane było "kulą śniegową". Otoczka topiła się przy opadaniu, a śmigłowce lądowały bezpiecznie.

- Zamierzam iść z tobą - oznajmiła Billie.

- Niezbyt dobry pomysł. Wolałbym mieć cię na statku. - Nie obchodzi mnie co byś wolał.

Idę.

Wilks popatrzył na nią i pokręcił głową. Próbował ją ostrzec, próbował powstrzymać ją przed związaniem się z Buellerem. Nic do niej nie docierało. Wcześniej czy później srogo za to zapłaci. To ją zrani boleśnie, ale może jest to jedyny sposób. Bueller i inni są straceni tak samo jak ci z załogi, którzy zostali porwani przez potwory na potrawkę dla swoich dzieci. Żaden inny oddział nie odpowiedział na ich wołania. Cała misja była od początku przeklęta.

- Dobra. Możesz iść.

Cóż innego mógł jej powiedzieć.

Oddział miał wyraźnie szczęście. Tuż przed świtem natknęli się na jeden ze śmigłowców. Małemu pojazdowi musiało wyczerpać się paliwo i wylądował nad strumieniem by naładować zbiorniki energii. Energia płynącej wody była zbyt mała by szybko zregenerować baterie, ale pasażerowie wehikułu nie mieli wyboru.

Używając czujników podczerwieni Blake wypatrzyła dwójkę androidów. Stali około dwustu metrów przed nią. jeden strztał na każdego.

- Dostanę medal albo coś w tym rodzaju?

- Oczywiście, Blake. Kiedy wrócimy na ziemię załatwię ci Order Człowieczeństwa.

- Mam już jeden, Bueller. Myślałam o Platynowym Sercu. Co najmniej.

- To też dostaniesz, do diabła.

Uśmiechnęli się do siebie, ale ich napięte twarze mówiły co innego. Ich szanse ujęcia z życiem były tak małe jak śnieg na supernowej.

Czuli się jednak o wiele lepiej niż na początku. W śmigłowcu znaleźli dwie strzelby plazmowe wraz z ładunkami, karabin 10 mm i dwa pistolety. Teraz już wszyscy byli uzbrojeni w broń plazmową. Tylko Bueller dźwigał karabin i pas z granatami.

- Co z zasilaniem helikoptera? - spytał Mitch.

- Prawie trup - odpowiedział Smith - Zajmie z szesnaście godzin zanim naładuje się wystarczająco by unieść się w powietrze. A nawet wtedy nie udźwignie nawet dwójki pasażerów.

Bueller wzruszył ramionami.

- Niech się ładuje. Może się przyda, gdy będziemy wracać.

- Gdy? - spytał ironicznie Smith - Nie jesteś zbyt optymistą?

- Idziemy stąd.

Poranek rozświetlił już niebo na wschodzie pierwszymi czerwonymi blaskami dnia.

- Czerwienią niebo się jarzy, ostrzeżenie dla żeglarzy znów odezwał się Smith.

- Jesteśmy komandosami - obciął go Bueller - Niech się Marynarka zajmuje tym głównym.



Pomaszerowali w kierunku kopca.

Gdy ładownik wypłynął w przestrzeń z brzucha Benedicta, Billie westchnęła. Poza statkiem nie było grawitacji. Wraz z Wilksem stali się nagle nieważcy. I to dziwne uczucie w żołądku, które przyprawiało ją o mdłości. Przełknęła kulę tkwiącą w gardle i starała się głęboko oddychać przez nos. Tam w dole był Mitch. Przeżył. Jeżeli zdołają dotrzeć do nich zanim wejdą do kopca, może uda się jej powstrzymać go. Gdyby jednak się spóźnili, weźmie karabin i pójdzie za nim.

- Jak długo jeszcze? - spytała.

- Jak dobrze pójdzie, to jeszcze godzinę.

- A jak źle?

- Weszliśmy w atmosferę pod złym kątem - powiedział Jeżeli pójdzie coś nie tak, usmażymy się w tej puszcze.

- Co stanie się z planetą, gdy zginiemy?

- Jeżeli nie połączę się ze statkiem w ciągu sześciu godzin, komputer zrzuci atomówki.

Ktokolwiek pozostanie na dole, nie będzie miał żadnych szans

Billie spojrzała Wilksovi w oczy.

- Wiesz co robią obcy, gdy zostaje ich mało - spytał - Nie mam zamiaru dawać im takiej szansy. Leżałyby na całej planecie i czekały na jakiegoś biednego frajera, żeby go wykończyć jak niemowlęcą papkę.

Skinęła głową. Miał rację. Jeżeli mieli zginąć, niech razem z nimi zginie ten przeklęty świat. Tylko w ten sposób mogą być tego pewni.

- Jest wejście - powiedziała Mbutu - Co robimy?

- Idę na czele - powiedział Bueller - wy za mną dwójkami. Mbutu, ty i Chin na przedzie, a Blake ze Smithem opiekują się naszymi dupami. Mamy sygnał z nadajnika i idziemy na niego. Prosto na niego.

- Łatwe jak spadanie w polu grawitacyjnym - powiedział Smith.

- Masz pokrętne poczucie humoru - odezwała się Blake Komuś musiała drgnąć ręka, kiedy instalował ci główną płytę mózgu.

- Pieprzę cię.

- Jak wrócimy na statek, będę cała twoja, kochasiu.

- Cwana jesteś, Blake - powiedziała Mbutu - Będzie chciał szybko umrzeć.

- Idziemy, komandosi. Ludzie czekają na naszą pomoc. Pierwsza fala obcych pojawiła się, kiedy weszli już około dwustu metrów w głąb kopca. Tuzin potworów poruszał się niewiarygodnie szybko. Obnażone zęby, wyciągnięte przed siebie szpony.

- Celować, nisko - rozkazał Bueller - Utnijcie im nogi! Sam posłał trzy pociski, zataczając łuk mały łuk od lewa do prawa.

Zielone smugi pomknęły obok niego i zaczęły oddzielać nogi od ciał. Kilka stworów upadło i leżało na ziemi. Inne splątały się z nimi.

Mitch wyjął pistolet. Zewnętrzne opancerzenie potworów potrafiło oprzeć się miękkim pociskom, ale bestie otwierały szeroko paszcze, szczerząc kły. Wypalił w te zębiaste otchłanie. Kule swobodnie przebijały miękką tkankę i dostawały się do środka czaszek. Uszkodzenia wewnątrz były wystarczająco poważne by monstrum padło bez życia.

W ciągu pięciu sekund dwanaście atakujących obcych leżało spalonych lub rozszarpanych. Z miejsc, gdzie krew dotknęła podłoża mrowiska unosił się gryzący dym. To coś nazywane krwią było prawdziwym mocnym kwasem.

- Nie wchodzić w te kałuże - ostrzegł Bueller. - Nie zżera zbytnio podłoża - zauważyła Blake.

- To ma sens - odezwał się Chin - Nie potrzeba im dziur w ścianach za każdym razem jak ktoś skaleczy się w palec.

- Ciągłe jesteśmy pięćset metrów od celu - przerwał Mitch - Idziemy.



Łądownikiem zaczęło rzucać. Atmosfera była pełna chmur i widzialność spadła praktycznie do zera. Wilks miał nadzieję, że komputer wie co robi. Temperatura powłoki wystarczyłaby do stopienia srebra i jeszcze rosła. Zaprojektowano ją do wysokich temperatur, ale gdyby łądownik opadał z niewiadomych przyczyn pod zbyt dużym kątem, zaczęłyby się problemy. Gdyby spłonęła zewnętrzna warstwa, mogłoby okazać się to fatalne dla pasażerów. Wystarczyłoby kilka sekund, żeby ich upiec. Przynajmniej długo by nie cierpieli.

- Cz... cz... czy... n-n-a... n-a-am się... u-u-daa?

Wilks popatrzył na Billie. Jego własny głos był także zniekształcony przez wibrację, gdy odpowiedział:

- M-m-o-oże.

Kolejna fala potworów zbliżyła się do oddziału. Wydawały z siebie syczące głosy. Wypalił karabin Buellera i przeciwpancerne pociski przebijały ciała obcych albo rykoszetowały w przypadku trafienia pod niewłaściwym kątem. W tym ostatnim przypadku krzeszały iskry jakby uderzały o stalowy pancerz.

Chin był tuż za Mitchem, a jego plazmowa strzelba pracowała niemal bez przerwy oświetlając ściany upiornym zielonym światłem.

Jeden z obcych padł z przeciętymi na wysokości kolan nogami. Przewrócił się na Buellera i odtracił na ścianę. Głowę Mitcha chronił solidny hełm, lecz barki odczuły uderzenie. Impet obrócił go, więc mógł zobaczyć co stało się z Chinem. Widział wszystko jak na zwolnionej projekcji holograficznej.

...Beznogi potwór podciągnął się swymi szponiastymi dłońmi i prześliznął pod linią ognia komandosa. Chin usiłował obniżyć strzał, lecz zrobił to zbyt późno. Obcy otworzył potężne szczęki i kłapał nimi, zaciskając je na udzie żołnierza...

...Chin krzyknął. Walnął kolbą plazmowej strzelby w czaszkę potwora...

...Blake wrzasnęła: - Nie ruszaj się!

Zrobiła krok do przodu by zastrzelić bestię trzymającą w zębach jej kolegę...

...Obcy stracił nogi, lecz został mu jeszcze ogon. Trafił nim w brzuch China. Ostre zakończenie przebiło miękkie ciało i wyszło pomiędzy żebrami na plecach komandosa. Żebra przebiły skórę...

... Blake wystrzeliła, trafiając potwora poniżej stawu szczęk. Obcym zatrzęsło i zęby zgryzły całkiem nogę China. Przez sekundę stał na jednej nodze utrzymywany tylko przez ogon bestii. Potem upadł...

Smith ruszył by pomóc koledze. W tym samym momencie inny obcy przesunął się obok Buellera zasłaniając mu na chwilę widok. Zdołał unieść broń, chociaż wszystko działo się tak szybko, że jeszcze ciągle leżał po uderzeniu o ścianę...

Mitch strzelił. Jeden z pocisków trafił obcego w bok głowy tak, że potwór odwrócił się w jego stronę. Dalsze dwie kule chybiły. Jedna z nich uderzyła w China i zniosła całkowicie czubek głowy...

...Smith był blisko obcego. Kiedy tamten odwrócił się by go chwycić, żołnierz strzelił. Stał za blisko. Strumień plazmy rozerwał pancerz bestii, lecz częściowo się rozprysnął. Plazma trafiła Smitha w twarz. Spaliła skórę i ugotowała oczy. Komandos przewrócił się w tył, a obcy upadł na niego. Kwas rozlał się na Smitha, przepalił jego pancerz i ciało; Dym uniósł się nad oślepiającym błyskiem...

...Bueller ponownie upadł na podłogę, usłyszał szum następnych strumieni plazmy, zobaczył zielone światło, wstał...

Druga grupa potworów została pokonana. Może ze dwadzieścia leżało martwych, ale odeszli również Chin i Smith. Została ich tylko trójka.

Bueller spojrział na Blake i Mbutu. Skinęły głowami. Bez słowa ruszyli dalej w głąb kopca.



Twarde uderzenie zatrzęsło ładownikiem. Billie poczuła, że zaraz zwymiotuje. Nigdy nie czuła się dobrze w stanie nieważkości. Jej żołądek zawsze zachowywał się dziwnie. Miała uczucie jakby spadała z dużej wysokości. W tym momencie małe skrzydła ładownika ponownie złapały atmosferę, ciężenie powróciło. Przełknęła ślinę, a żołądek wrócił na swoje miejsce.

- Nie za dobrze - odezwał się Wilks - Mamy teraz daleką drogę do przebycia. Może spotkaliśmy za dużo chmur.

Billi nic nie powiedziała. Czy przybędą za późno? Czy Mitch będzie jeszcze żył? Billie, jak nikt inny, zdawała sobie sprawę naprzeciw jakiemu niebezpieczeństwu idzie jej ukochany. Jakiegokolwiek były motywacje obcych, pozostawały nieubłaganymi maszynami do zabijania. Nie dbały o własną śmierć, nigdy nie okazywały strachu. Jediną ważną dla nich sprawą było przeżycie gatunku. Pojedynczy osobnik się nie liczył. Odwrotnie jak u ludzi. Zupełnie inaczej.

- Jak długo jeszcze?

- Trzydzieści minut, plus minus. Musimy zdążyć, żeby starczyło nam paliwa do osiągnięcia prędkości ucieczki i powrotu na statek.

Billie znowu kiwnęła głową. Nie miała w tym momencie nic do powiedzenia.

Po lewej stronie Buellera ukazało się boczne przejście. Wystrzelił w głąb korytarza trzydzieści ładunków. Trzymał karabin na wysokości pasa i zataczał nim małe kręgi. Nie miał zbyt wiele amunicji, zaledwie jeszcze jeden zapasowy magazynek, lecz nie chciał natknąć się na brzydką niespodziankę. Korytarz był ciemny.

W każdym razie trafił.

Automatyczny ogień mógł dosięgnąć każdego obcego stojącego na wysokości od kolan do bioder i pewnie tak się stało. Jednak jeden z nich musiał uwiesić się przy suficie lub rozciągnąć na podłodze. Natychmiast, gdy umilkły strzały monstrum wyskoczyło z ciemności. Bueller nie pozostawiał niczego przypadkowi i ciągle trzymał broń gotową do strzału, ale podskoczył przy kolejnym strzale. Potwór leciał w kierunku komandosa jak rakieta.

Reakcja Mitcha była błyskawiczna. Nieważne stało się jak wiele pocisków trafiło obcego. Inercja powodowała jego ciągle zbliżanie się. Bueller nie miał czasu myśleć. Upadł i przyłgnął do śliskiej, gorącej podłogi. Bestia minęła go o centymetry. Mbutu krzyknęła kiedy obcy skierował się ku niej. Blake strzeliła, ale monstrum i Mbutu już się szepili. Mimo, że Blake była doskonałym strzelcem nie potrafiła powstrzymać wycieku kwasu z rany obcego. Wytrysnął na twarz nieszczęsnej komandorki. Mbutu instynktownie otworzyła usta do krzyku. Potwór był umierający, ale wpompował wystarczającą ilość swej śmiertelnej krwi by dziewczyna szybko zginęła. Może przeżyłaby, gdyby znalazła się od razu w wojskowym centrum medycznym, ale takiej szansy nie miała. Jej policzek i nos stał się jedną dymiącą ruiną, a gardło i płuca szybko zostały przeżarte kwasem.

Bueller zerwał się. Mbutu wydawała jeszcze charczące dźwięki. Wiedział o co prosiła. Nie mógłby prosić Blake by to zrobiła. Podniósł karabin i jeden raz nacisnął spust.

Kula trafiła w mózg i zakończyła cierpienia Mbutu.

Blake schyliła głowę.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Mitch nie odpowiedział. Zabrakło mu tchu. Skinął tylko głową i wzruszył ramionami.

Zostało ich dwoje.

- To jest tam - powiedział Wilks.

Obraz na monitorze był wyraźniejszy niż z bocznych wizjerów, ale Billie wolała naturalność. Kopiec wyrastał ponad grunt jak jakiś złośliwy nowotwór. Był brudnoszary w



światle miejscowego słońca. Krajobraz był pustynny. Wokół mrowiska nie było nic prócz pyłu i skał.

- Zamierzam lądować na tym paśmie wzgórz - odezwał się Wilks - Będziemy mogli łatwiej używać dział lądownika ze wzniesienia. No i łatwo dojrzymy ich, kiedy będą się zbliżać. A także wszystko, co ich będzie gonić.

Dziewczyna spojrzała na niego.

- Ciągłe za duże zakłócenia - powiedział - Coś jest w ścianach, co blokuje sygnał.

- Mogłabym pójść... - Nie. Nie mogłabyś.

- O, ludzie - jęknęła Blake - Skreślam to miejsce z mojej listy kurortów. Tu cuchnie.

Z krętego korytarza wysypali się następni napastnicy, ale było tu dość miejsca, co pozwoliło Buellerowi dostrzec ich na czas. Razem z Blake skosili ich błyskawicznie jak na strzelnicy. Mitch strzelał ogniem półautomatycznym by oszczędzać amunicję. Miał jeszcze około osiemdziesięciu ładunków i plazmową strzelbę Mbutu zawieszoną na ramieniu. Mogłoby być gorzej.

Ukazało się ogromne, sklepienie wejście.

- Sygnał dochodzi stamtąd - odezwała się Blake - Mniej niż pięćdziesiąt metrów.

- Wylęgarnia - powiedział Bueller. - Tak.

- Idziemy tam.

Gdy zbliżyli się do przejścia zwiększyła się temperatura. Powietrze jakby zgęstniało i stało się bardziej wilgotne. Czuli się jak w łaźni parowej pełnej rozkładających się ciał. Mitch wszedł pierwszy, Blake tuż za nim. Oboje trzymali broń w pogotowiu.

- Są tam - powiedział komandos.

Czwórka ludzi, trzech mężczyzn i kobieta, wisiała przy ścianach spowita w podobne do pajęczych sieci.

Podłogę zaścielały jaja wielkości kosza na śmieci. Nie było żadnego znaku obecności królowej. Nie było również robotnic. Panowała cisza tak głęboka, że Bueller słyszał własny oddech.

Nagle obydwójce zaczęli poruszać się bardzo szybko.

- Ta nie żyje - powiedziała Blake po przytknięciu palców do tętnicy szyjnej kobiety.

- Ten również - stwierdził Bueller.

Tylko jedna z ofiar żyła. Komandosi błyskawicznie rozcięli spowijającą ją sieć. Jajo leżące obok ciągle było nie popękane. Znaczyło to, że człowiek ten nie nosi w sobie poczwarki obcych.

Mężczyzna odzyskał przytomność niemal dokładnie w momencie uwolnienia go. Krzyknął z przerażenia.

- Spokojnie, spokojnie - odezwała się Blake - Wszystko w porządku. Właśnie cię wydostaliśmy z tej pułapki.

Strach nie pozwalał mówić wystraszonemu człowiekowi. Słowa uwięzły mu w gardle.

- Możesz chodzić?

Skinął głową, ciągle nie mogąc wymówić nawet pojedynczego wyrazu.

- Więc zabierajmy się stąd i to szybko. Zrozumiałeś? Znów kiwnięcie głową.

Cała trójka ruszyła ku wyjściu z komory. Kiedy tam dotarli Mitch zatrzymał się nagle.

- Co jest? - spytała Blake.

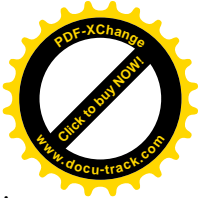
- Zostawię im tu w prezencie parę granatów.

Oparł o biodro karabin i wystrzelił trzy pociski. Zrobił to tak szybko, że gdy pierwszy jeszcze nie wybuchł, drugi i trzeci już leciały do celu.

- Idziemy.

Pobiegli.

Wilks dotknął sensora na tablicy kontrolnej.



- Wykryłem tu jakieś fale sejsmiczne. Wygląda na to, że ktoś bawi się materiałami wybuchowymi. Prawdopodobnie M-40.

Ciągle żyją?

- Może.

- Musimy coś zrobić.

- Ciągle coś robimy. I czekamy. Nikomu nie pomożemy jeżeli nie znajdziemy sposobu by zleźć z tej cholernej skały. W ciągu pięciu godzin cała planeta zamieni się w piekło, a potem stanie się płaska jak oceany na Jowiszu. Nie chcemy chyba zostać tu tak długo.

- Po lewej! - krzyknął Bueller.

Blake, zimna jak ciekły tlen, odwróciła się i oblała korytarz zielenią swej plazmowej strzelby. Strumienie energii ugotowały robotnice obcych jakby to były kraby schowane w pancerzach. Wszystkie płyny ich ciał zagotowały się i zaczęły wydobywać w formie pary z kończyn. Parujący kwas mógł stać się niebezpieczny dla komandosów i pilota.

- Spróbuj jak smakuje plazma, ty łajdaku - mruknęła Blake.

Bueller zerknął na nią ze zdziwieniem.

- Już dawno chciałam to powiedzieć - wyjaśniła i uśmiechnęła się.

Potrząsnął głową, chociaż podzielał jej uczucia. Wbrew wszelkim przeciwnościom szybko zbliżali się do wyjścia z koszmaru. Już mniej niż sto metrów dzieliło ich od jaskrawego światła dnia. Widać je było na końcu tunelu, jaki otworzył się przed nimi.

- Prawie dotarliśmy - odezwał się Mitch - Dasz radę?

- Dam - pilot w końcu odzyskał głos - Tylko trzymajcie tych skurwysynów z daleka ode mnie.

Ostatnie trzydzieści metrów było najgorsze. Okazało się, że robotnice odcinają ich od wyjścia. Jednak nadzieja nie opuszczała Buellera - mogli to w końcu zrobić - chociaż mogło być za wcześnie na taki optymizm.

W końcu dotarli do ujścia tunelu.

- Cześć, słoneczko - wykrzyknęła Blake, gdy wyszli z kopca.

Mitch osłaniał tyły. Trzymał broń w pogotowiu i co chwila zerkał za siebie. Ciepło słońca, jakie odczuł na skórze sprawiło mu taką przyjemność jak nic dotychczas.

- Hej, nasi są tutaj! - ryknęła nagle Blake - Tam fiest nasz lądownik!

Bueller rzucił okiem. Tak. Pięćset metrów od nich, na niewielkim wzniesieniu stał pojazd pochodzący z ich statku.

- Wracamy do domu, ludziska! - zaśmiała się Blake. Bueller zdusił w sobie chichot. Było coś cudownego w świeżym powietrzu i nigdy nie widział nic piękniejszego, poza Billie, od bojowego pojazdu widniejącego prawie o wyciągnięcie ręki.

- Słyszałem - powiedział - Ruszamy. Będę osłaniał wasze dupska.

Blake poprowadziła pilota pylistą ścieżką w kierunku wzgórz.

- Tam są - powiedział Wilks. Głos miał spokojny, lecz brzmiało w nim krańcowe napięcie.

Billie rozejrzała się wokoło. Odległość była zbyt duża by gołym okiem zidentyfikować osoby. Widać było trzy postacie. Dwie poruszały się w dół po stoku wiodącym do wejścia do kopca, jedna stała i osłaniała tyły.

Billie sięgnęła po wizjer elektroniczny i nacisnęła odpowiedni przycisk. Popatrzyła na ekran.

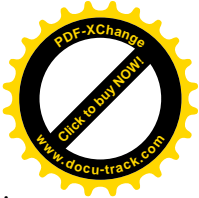
To Mitch stał nieruchomo w wejściu do tego przeklętego mrowiska.

- Żyje!

- Została ich tylko trójka - odezwał się Wilks - Dwoje komandosów i jeden z załogi statku.

Billie nie słuchała co mówi. Tam był żywy Mitch i to było najważniejsze.

- Oddział Pierwszy, tu Wilks. Odbiór. W odpowiedzi zabrzmiał kobiecy głos:



- Fajnie, że spadłeś z nieba, sierzancie. Co byś powiedział gdybyśmy dołączyli do was i dali stąd nogę?

- Tak myślałem - padła odpowiedź - Śpiesz się Blake. Czas płynie.

- Idziemy do was.

Mitch słyszał wszystko przez komunikator i uśmiechnął się. Wpatrywał się w ciemności ziejącej paszczy kopca. Zrobił krok w tył. Broń ciągle trzymał wycelowaną w wejście.

- Hej, Billie - powiedział do mikrofonu - Trzymasz dla mnie to małe ciepełko?

- Przyjdź i ogrzej się w nim - odpowiedziała Billie. Odwrócił się by spojrzeć w kierunku ładownika. Uśmiechał się ze szczęścia.

To był błąd.

Obcy musiał czekać na moment dekoncentracji komandosa. Wypadł na zewnątrz, jego szpony ryły skalisty grunt. Ramiona miał wyciągnięte, a obnażone zęby wysunęły, się w przerażającym grymasie.

Bueller okręcił się wokół osi i podniósł karabin. Pośliznął się o odłamek skały. Zachwiał się, przechylił w lewo. Lufa obniżyła się odrobinę, o włos, gdy naciskał spust.

Padł strzał. Pudło.

Próbował wycelować lepiej, ale potwór był już przy nim i wystarczyło tylko strzelić. Zrobił to zbyt wolno. Monstrum skrzyżowało dłonie i chwyciło go, wbijając jeden z pazurów o twardości stali w jego biodro. Drugi szpon wbił mu się poniżej pasa po drugiej stronie. Karabin wypadł Mitchowi z rąk. Usiłował wyciągnąć pistolet.

- Mitch! - krzyknęła Billie.

Obcy naprężył mięśnie ukryte pod zewnętrznym szkieletem. Były silniejsze wiele razy od ludzkich. Bueller poczuł jak ból przenika go w pasie. Zdołał krzyknąć, potem poczuł szok jakby...

Potwór rozerwał go na dwoje w pasie.

Billie ujrzała upadające części Mitcha. Zobaczyła jak nogi lecą w jedną stronę, a korpus w drugą. Popłynęła krew, nie czerwona, lecz biała, BIAŁA! - wytrysnęła jak fontanna mleka w powietrze ku słońcu planety obcych.

24.

Wilks obserwował jak obcy rozrywa Buellera. - Blake, padnij! - krzyknął przez komunikator.

Wcisnął przyciski kontrolowanego ognia działek wycelowanych w wejście do kopca. Zobaczył jak brzegi otworu pojaśniały światłami wybuchów 20 mm uranowych ładunków. Mając określony cel, robot od działek władował w kopiec dwadzieścia pocisków, poczynając od szczytu, a kończąc metr nad ziemią.

Ogień z ładownika rozerwał na części obcych rzucając poszarpane kawałki ich ciał na ściany mrowiska. Komputer zaprogramowany został na cel w kształcie potworów i teraz wstrzymał ogień, czekając na dalsze cele.

Billie krzyknęła. Patrzyła przez wizjer i nie mogła nie zauważyć czym był Bueller. Skręty jego układu trawienego zwisały poniżej torsu, a biały płyn rozlewał się wokół. Człowiek byłby w tej sytuacji skąpany we krwi, Bueller leżał jakby w kałuży mleka. Rurki, złączki, rozgałęzienia, wszystko to wypływało na zewnątrz ze zniszczonego ciała androida.

Billie ponownie krzyknęła. Wilks wiedział, że właśnie odkryła to, czego nigdy nawet nie podejrzewała.

- Billie!

Ciągle krzyczała.

Nie miał teraz czasu się nią zajmować. Przekrzykując jej wrzask rzucił do komunikatora:



- Blake! Ruszaj! Pochylcie się, macie tylko metr wolnego! Komputer ponownie uruchomił działka. Sierżant dostrzegło obcych na sekundę zanim pociski dosłownie nie wrzuciły ich do wnętrza kopca.

Blake ruszyła, ale w odwrotnym kierunku. Poczłogała się w kierunku Buellera. Ciągłe pozostawał poniżej linii ognia z lądownika.

- Blake, do cholery!

Billie znów zaczęła krzyczeć.

Wilks odsunął w tył fotel, wychylił się i uderzył otwartą dłonią w twarz dziewczyny. Krzyk urwał się nagle jak przecięty laserem.

- On żyje - dobiegł z komunikatora głos Blake. Komandoska wciągnęła sobie rannego androida na plecy i popęzła do miejsca, gdzie leżał pilot.

- O, Boże! O, Boże, o, Boże! - zajęczała Billie.

Wilks miał tego dość.

- Próbowałem cię ostrzec! Próbowałem cię trzymać z daleka od niego! Nie chciałaś mnie nawet wysłuchać! Tak, jest androidem. Cały pluton; wszyscy z nich to androidy! Stworzeni do zadań takich jak nasze. Jak myślisz, jak człowiek mógłby oddychać tym marnym powietrzem i być ciągle w najwyższej formie?

Billie patrzyła na ekran. Nie poruszała się; nawet nie mrugnęła okiem.

Blake zygzakowała by schodzić z linii ognia. Ciągłe miała na plecach Buellera. Właściwie połowę Buellera. Pilot trzymał się blisko niej.

- Dlatego wrócili do mrowiska - powiedział Wilks czując się już bardzo zmęczony - Nie mogli pozostawić człowieka bez ratunku. Takie jest Pierwsze Prawo.

Billie ciągle nieruchomo patrzyła przed siebie.

- Są szybsi, silniejsi i tańsi niż człowiek. Niektórzy nie lubią pracować z nimi, więc nowe modele idealnie udają człowieka. Jedzą, piją, sikają, działają i nawet czują jak człowiek. Potrafią nienawidzić, bać się, kochać tak jak my. Z zewnątrz nawet fachowiec ich nie rozpozna. Wszystko na zewnątrz wygląda identycznie. Myślę, że wiesz o tym, prawda? W końcu popatrzyła na niego. Dostrzegł jej ból, który przeżerał ją do największych głębin mózgu. Zakochała się w androidzie, spała z nim. Dla niektórych miało to takie samo znaczenie jakby zakochała się w psie albo innym zwierzęciu i spółkowała z nim.

- Massey nie wiedział o tym - ciągnął dalej - To dlatego obcy nie spieszyli się z atakiem na nich czy użyciem ich jako swych inkubatorów. Ich tkanka jest niejadalna dla poczwerek. Wyglądają tak samo, nawet po dotknięciu, ale oczywiście w smaku są nie do przyjęcia.

- Przepraszam, dzieciaku.

Gdy odezwała się, jej głos był zimny jak kosmiczna pustka.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, Wilks?

- Próbowałem. Nie chciałaś słuchać.

- Nigdy nawet nie wspomniałeś o androidach.

- Kiedy doszedłem do wniosku, że powinienem to zrobić, było już za późno. Co miałem powiedzieć? Zakochałaś się w sztuczny facecie, tak? Urodził się w warsztacie i tam został złożony jak zabawka przez zespół techników. To miałem ci powiedzieć? Nie uwierzyłabyś mi.

- Powinieneś powiedzieć.

- Tak, całe moje życie składa się z rzeczy, które powinienem zrobić, a nie zrobiłem. Ta misja jest skończona i odlatujemy. Resztę poukładamy sobie później.

Billie odwróciła się ponownie do ekranu. Blake i pilot dźwigali to co pozostało z Buellera. Szybkimi skokami zbliżali się do lądownika. Za nimi mrowisko obcych wybuchnęło nagle tuzinami potworów. Działka ponownie zaczęły swą pracę. Pociski przeciwpancerne rozrywały biegnące monstra na strzępy, a te ciągle zachowywały się jak wściekłe tropikalne



mrówki, które biegły ku metalowym ścianom pojazdu. Dziesiątki, setki. I ciągle ich przybywało.

Robot strzelający z działek był najnowszym modelem. Uwzględniał miejscową grawitację, wiatr, ruch celu, a potem strzelał i trafiał. Ale niezależnie od jakości broni, działa ona tak długo dopóki starcza jej pokarmu, czyli amunicji.

Ostatnie pociski posypały się z luf. Tablica kontrolna rozjarzyła się czerwonym światłem. Komputer oznajmił, że zapasy amunicji wyczerpały się, ale dalej jest prowadzona akwizycja danych o celu. Operator powinien załadować puste magazynki by kontynuować zadanie lub przejść na ręczne sterowanie dodatkowymi modułami. W międzyczasie system pozostanie w pełnej gotowości, rozpoznając i śledząc cele.

Wilks pokręcił głową. Zła wiadomość. Ładownik wystrzelił już całą amunicję jaką posiadał. Nikt przed rozpoczęciem misji nie spodziewał się takiej walki. A obcy ciągle wysypywali się z kopca jak ogromne czarne termity naszpikowane sterydami i amfetaminą. Już z pięćdziesiąt potworów musiało biec w kierunku wzgórza, gdy przestały strzelać działa. Potwory wspinały się w górę po ciałach zabitych. Czas odlatywać.

Blake i pilot byli tylko pięćdziesiąt metrów od statku. Wilks wydał rozkaz otwarcia zewnętrznego włazu.

- Pośpiesz się, komandosie - powiedział do Blake - Za tobą jest od cholery śmierdzącego towarzystwa. Chciałbym zamknąć jak najszybciej drzwi!

Byli wystarczająco blisko, żeby dostrzec uczucia malujące się na ich twarzach. Pilot spojrzął przez ramię i najwyraźniej nie był zadowolony z tego, co zobaczył. To on właśnie był czynnikiem opóźniającym bieg. Blake mogłaby prawdopodobnie biec dwa razy szybciej, nawet dźwigając Buellera. Mężczyzna wyraźnie przyśpieszył. Blake trzymała się u jego boku.

Z niewiadomego powodu Wilksowi przypomniawszy się stary dowcip, który usłyszał w dzieciństwie. Żart o pasterzach owiec. "Dalej, ruszajcie się - pomyślał - Co tu się zastanawiać, zabierajmy dupy w troki i..."

Billie była jak odrętwiała aż do głębin swej duszy. Wilks uderzył ją, ale nic nie czuła. Może tylko niewielkie ciepło w miejscu, gdzie jego palce zetknęły się z policzkiem.

"Kłamstwa. Same kłamstwa. Wszystko to kłamstwo. Jak Mitch mógł mi to zrobić? Dlaczego nie powiedział mi prawdy?"

Buty zatupały o wejściową rampę. Już tu byli.

Blake weszła do kabiny. Pochyliła się i ostrożnie położyła Mucha na stole. Na ścianie była apteczka pierwszej pomocy, ale komandoska zamiast tego wyciągnęła z szafy plastikowe pudełko. Oczywiście. Apteczka dla ludzi nic tu nie mogła pomóc.

- Dalej, człowieku - odezwał się pilot - startuj stąd! - Wilks siedział w fotelu pilota.

- Zapiąć pasy - rozkazał.

Tylko pilot posłuchał. Billie stała pochylona nad Mitchem. Android miał zamknięte oczy. Jego ciało kończyło się w pasie, a to co wypływało z jego kadłuba, przyprawiało o mdłości.

- Siadaj, Billie!

Nie poruszyła się.

Bueller otworzył oczy. Przez chwilę nie mógł ich zogniskować, lecz po chwili dziewczyna zauważyła, że ją poznał. - Przy... przykro m-m-i-i, Bil... Billie - powiedział. Głos jakby bulgotał, jak głos kogoś przebywającego pod wodą. - Za... zamierzałem c-i-i po... powiedzieć. Sapnął, usiłując nabrać więcej powietrza.

Blake otworzyła skrzyneczkę. Wyciągnęła kilka elektronicznych podzespołów i przyczepiła je do piersi i ramion Mitcha. Jeszcze jeden przypięła mu do szyi, a kolejny do czoła. Podłączyła tubę z czystą cieczą do przyrządu na szyi. Płyn zaczął przepływać przez rurkę. Blake wyciągnęła plastikowy pojemnik i rozpyliła niebieskawą pianę na rozerwanej talię kolegi. Pianka zaskrzypiała, pojawiły się bąble, i szybko zastygła w twardą powłokę, która zmieniła kolor na jaskrawą zieleń. Pokryła całkowicie uszkodzone rurki i inne części.



- Czy umrze? - spytała Billie.

- Nie wiem - szczerze odpowiedziała Blake - Jego system został poważnie uszkodzony, ale zdołał zamknąć krążenie i uruchomić program naprawczy. Nie wiem jak to się skończy, ale zostaliśmy zbudowani by wiele wytrzymać.

- Posadź w końcu swoją pieprzoną dupę! - ryknął Wilks Startujemy!

Billie ruszyła do fotela, ale ciągle patrzyła jak Blake zabezpiecza Mitcha. Komandoska oplotła jedną ręką mocną podporę, a drugą przycisnęła klatkę piersiową Buellera.

- Zakotwiczyłam się - powiedziała - Jego też utrzymam. Ruszajmy.

Wilks zamknął włązy i uruchomił program startu. Silniki pojazdu ruszyły.

- Przygotowanie do startu zakończone - powiedział - Uwaga...

Coś uderzyło w lądownik. Cios był wystarczająco silny by zatrzęść pojazdem.

- Gównu! - powiedział pilot.

Kolejne uderzenia. Trzecie. Piąte. Dziesiąte.

- Wszystkie siedzą na nas!

- Pieprzyć je - odpowiedział Wilks - Odlatujemy. Nacisnął guzik.

Nic. - Co do diabła? - zaczął pilot.

- Jeden z nich musiał zablokować dysze - stwierdził Wilks - Komputer nie może uruchomić głównego ciągu. Muszę przejść na ręczne sterowanie...

Doszedł ich odgłos skrobania o metal.

- Przedostają się przez powłokę - odezwała się Billie. - To niemożliwe! - wykrzyknął pilot.

Znowu zgrzyt metalu.

Sierżant nacisnął kilka przycisków. Lądownik zatrzęsał się, ale się uniósł. Zataczał się, lecz ciągle szedł w górę. Przebył już kilkaset metrów. Billie widziała to na monitorze.

- W porządku - powiedział pilot.

- Jesteśmy zbyt ciężcy - Wilks nie był zadowolony - Musimy strząsnąć tych skurwysynów...

Statek drgnął, opadł, zakręcił się, jakby jakaś ciężka masa wylądowała na jednym z jego boków.. Z tablicy kontrolnej odezwała się syrena. Sierżant pracował jak szalony. Jego ręce tańczyły po klawiaturze. Lądownik wyrównał, ale ciągle opadał.

- To lewy silnik - powiedział Wilks - Blokada. Coś jest wewnątrz komory dyszy. Nie mogę przejąć kontroli.

- Ale... ale komora jest opancerzona! - odezwał się pilot. - Wejście jest zabezpieczone kratą o grubości palca - odpowiedział Wilks - Ale coś tam weszło. Węgłowo-borowe ostrza są superchłodzone i są kruche. Wystarczy uderzyć czymś cięższym niż kilka gram i rozsypują się na kawałki. Nie mogę skompensować tej straty pozostałymi silnikami. Nie wyjdziemy na orbitę. Musimy wylądować i oczyścić komorę.

- Mówisz o wyjściu na zewnątrz?

Sierżant popatrzył uważnie na pilota.

- Chyba, że masz lepszy pomysł. . - Człowieku!

Ciągle słyhać było dudnienie o zewnętrzną powłokę, więcej uderzeń i skrobania w metal.

Billie patrzyła na Mitcha. On spojrzał na nią. Oczy miał już zupełnie czyste i jasne. Nie wiedziała co powiedzieć. Leżała naga z tym mężczyzną - nie, nie mężczyzną, androidem - oddała mu swe ciało, powierzyła mu swe tajemnice. Oddała mu swe myśli, jakiegokolwiek by były. A on odpowiadał jej jak człowiek, ale najważniejszą prawdę zatrzymał przy sobie. Gdy tak patrzyła na leżącego Mitcha, możliwe, że umierającego, poczuła się chora. Czowała, że gdyby miała go więcej nie zobaczyć, to byłoby to zbyt szybko.

Jeszcze inna myśl pojawiła się gdzieś głęboko w jej mózgu. Niemal na granicy postrzegania. Było to coś, czemu nie potrafiła się oprzeć, choć robiła co mogła. Nie chciała



patrzeć na tę rzecz leżącą tutaj, nie chciała niczego wiedzieć, nie potrzebowała żadnej wiedzy na jej temat. Usiłowała zamknąć drzwi pomiędzy sobą a tym czymś. Odejść. Lecz patrząc na Mitcha nie potrafiła tego zrobić.

Dobrze. Nieważne. I tak tutaj umrą. Niedługo obcy wedrą się do wnętrza. Billie popatrzyła na broń, którą ciągle trzymała Blake. Wilks nie pozwoli, żeby potwory wzięły ich żywcem. Musi to stać się bardzo szybko. Nie ma więc znaczenia co czuła do Mitcha. Najmniejszego znaczenia. Jej krótkie i nieszczęśliwe życie dobiegało końca. Z wyjątkiem kilku godzin, kiedy czuła, że Mitch jest inny niż okazał się być, nie przeżyła zbyt wiele. Może powinna mu to powiedzieć zanim umrą. A może nie. Co za różnica?

Lądownik dotknął ziemi i osiadł nierówno.

- Może chociaż zgnetliśmy paru pod sobą - powiedział Wilks.

Billie spojrzała na niego. To też nie miało znaczenia. Zmierzali ku śmierci. To co poczuła było czymś w rodzaju ulgi.

25.

Walenie w powłokę nasiliło się. Całe otoczenie lądownika wypełniło się potworami, które tłukły bezmyślnie w statek, jakby była to żywa istota, którą chciały zabić.

Wilks popatrzył na resztę. Billie zapadła w ponure milczenie. Pilot był tak przerażony, że zmoczył się w spodnie. Mógł liczyć tylko na Blake. Ciągle była w pogotowiu i mogła go osłaniać, kiedy wyjdzie na zewnątrz.

Uśmiechnął się ponuro. Otwarcie wjazdu może być zabawne. Nie mieli na tyle amunicji by utrzymać bestie z dala od lądownika przez czas potrzebny na usunięcie przeszkody. Rozsądne byłoby ponownie podnieść statek w powietrze, przelecieć dziesięć piętnaście kilometrów od mrowiska i załatwić tych kilku obcych, które uczepliłyby się pojazdu.

Tylko, że może im nie starczyć paliwa na takie zabawy, a przez pomyłkę w obliczeniach mogliby nie powrócić na orbitę. W komputerze Benedicta został umieszczony plan wybuchów jądrowych. Nie można było go dezaktywować z lądownika. Wilks chciał mieć pewność na wypadek gdyby coś się im przytrafiło.

Cóż, nie ma tak źle, żeby nie mogło być gorzej. - Sierzancie?

Popatrzył na Blake.

- Nie, wyjście na zewnątrz nic nam nie da. Zamierzam znowu wystartować, zrobić parę kilometrów i wylądować już bez towarzystwa. - Brzmi rozsądnie - skinęła głową Blake.

- Jeżeli wypalimy za dużo paliwa, możemy jeszcze powyrzucać wszystkie rupiecie, żeby zmniejszyć wagę.

Siadł do tablicy kontrolnej. Statek zadygotał, lecz nie ruszył.

- O, do diabła! - Sierzancie?

- Albo zbyt dużo potworów siedzi na nas, albo przedarli się przez inne kraty. Wygląda na to, że wracamy do planu A. Metal zatrzeszczał.

- Cholera!

- Nie stawiałabym na nasz start, sierzancie.

- Tak, ja też. Nie widzę żadnej szansy. Słuchaj, Blake. Gdyby wzięli mnie żywcem, zgaś mnie jak świeczkę.

- Nie mogę, sierzancie. Wiesz o tym.

- No tak. Nieważne. Mam tu granat Massey'a. Sam wyciągnę wtyczkę, gdyby na to przyszło.

- Billie.

Popatrzyła na niego. Oczy miała puste. - Co?

- Weź ten pistolet. Jeżeli nie wrócimy... Skinęła głową. Zrozumiała.

Statek zatrząsł się. Uniósł się w górę z jednej strony, potem opadł z trzaskiem.



- O, rany - sapnął Wilks - pracują wspólnie. Jest ich tyle, że mogą nas przewrócić do góry nogami. Do włazu, Blake. Kiwnęła głową. Odbezpieczyła plazmową strzelbę.

Statek zatrzęsł się znowu. I znów opadł na miejsce.

- Billie, słuchaj. Przykro mi, że cię w to wciągnąłem.

- W porządku, Wilks. Nie miałam nic lepszego do roboty. Ich spojrzenia spotkały się na sekundę i uśmiechnęły się do siebie. Kredyt życia подарowany im przez los już się kończył.

"Pieprzyć to" - pomyślał Wilks. Wciągnął głęboko powietrze. - Idziemy...

Statek przeszył dreszcz. Takiego dźwięku Wilks jeszcze nigdy nie słyszał. Każda część ładownika dostała nagle drgawek. Brzmiało to jak przeraźliwe brzęczenie. Upadł na kolana i zasłonił sobie rękami uszy. Poczul jak wibracja przenika go do szpiku kości.

- Chryste! - krzyknął pilot. Nagle dźwięk zamarł.

Wilks wstał. Trząsł się cały. Co to było, do diabła? - Słuchajcie - odezwała się Blake.

- Nic nie słyszę - stwierdził pilot.

- No właśnie - kiwnął głową sierżant - Obcy przerwali atak.

Było cicho jak w dźwiękoszczelnej izolacji. Wszyscy patrzyli na Wilksa.

- Chodź, Blake. Popatrzmy.

Wziął kilka głębokich wdechów i ruszył do włazu. Karabin trzymał w pogotowiu. Blake szła tuż za nim. Właz stanął otworem.

- O, ludzie - jęknęła Blake.

Wilks nie odezwał się. Co najmniej pięćdziesiąt potworów leżało rozciągniętych na ziemi wokół ładownika. Wyglądały jak... jak roztopione. Były martwe. Sierżant nie wątpił w to ani przez sekundę. Było to niesamowite. Lecz to co ujrzał kilkanaście metrów dalej było jeszcze bardziej niecodzienne. - Co to jest u diabła? - spytała Blake.

Wilks patrzył.

Niedaleko nich stała dziwna postać w skafandrze. Była około siedmiu, ośmiu metrów wysoka, dwunożna. Ubrana w próżniowy skafander z przezroczystym hełmem. Wilks mógł dojrzeć przez jego powłokę twarz przybysza. Wyglądała jak głowa słonia. Skóra tej tajemniczej postaci była różowo-szara, wydłużony nos, a może trąba, znikał w długiej pochwie wystającej z przodu skafandra. Po obu stronach tego wyrostka znajdowała się para czegoś, co wyglądało jak macki. Skafander miał także przedłużenie z tyłu i Wiksowi wydało się, że musi to być osłona na ogon. Przyjrzał się uważniej i stwierdził, że ten osobnik tak naprawdę nie stoi, lecz wisi w powietrzu. Masywne buty, jakby zaprojektowane dla kopyt, unosiły się kilka centymetrów nad powierzchnią gruntu.

Stali wystarczająco blisko by dojrzeć oczy dziwadła. Źrenice miały kształt krzyża i były szersze niż wyższe. Te oczy wyglądały jak martwe.

Osobnik trzymał w swych urękawiczonych dłoniach coś co wyglądało na broń. Wilks gotów był postawić swoje dziesięcioletnie zarobki przeciwko gwoździowi, że to jest jakiś rodzaj broni.

Powietrze nie było dobre na tej planecie i sierżant poczuł, że coraz ciężiej mu oddychać. Wyraźnie brakowało mu tlenu. Spojrzał przez ramię i zobaczył, że Blake powoli przesuwając lufę plazmowej strzelby w kierunku nieruchomej postaci.

- Nic z tego - odezwał się cicho - Myślę, że to coś właśnie rozłożyło miejscowych łobuzów przy pomocy tego, co trzyma w łapie. Nie chciałbym, żeby pomyślało o nas coś złego. Skoro mogło powalić te monstra za jednym razem, nie mamy z nim szans.

Blake opuściła strzelbę.

Stwór - jeszcze jeden obcy i z pewnością nie stąd - również opuścił broń.

- Cześć, przechodniu - szepnęła Blake - Musisz być nowy w mieście.

Za ich plecami rozległ się krzyk przerażenia Billie. Znowu była na planecie Rim.

Była dzieckiem siedzącym na przednim siedzeniu patrolowca swego ojca. Patrzyła przez wizjer obserwacyjny. Jak okiem sięgnąć rozciągała się szarawa pustka, lecz tata powiedział,



jest tu coś co muszą obejrzeć wszyscy. Dlatego zabrał ze sobą ją i jej brata Vicka. Asystent ojca, pan Zendall, również był z nimi. Nazywano go Gene, ale Billie nie ośmielała się tak do niego zwracać. Była też z nimi matka.

- Na Święte Siostry z Gwiazd - odezwał się ojciec. - Russ? Co to jest? - spytała matka.

- Naszym detektorom zabrakło skali. Coś ogromnego znajduje się tu, w Dolinie Żelaznych Palców.

- Skąd się tam wzięło?

- Nie wiem. Ale sygnał mówi o megatonowym, złożonym obiekcie. Może to być coś sztucznego. Gene?

- Mam to, Russ. O, Panie! Nie mogę tego zidentyfikować. Popatrzcie na charakterystyki. Billie nic z tego nie rozumiała. Nie wiedziała nic o tych wszystkich liczbach i opisach. Zdawała sobie jednak sprawę, że jest to coś ważnego bo jej rodzice i Gene - pan Zendall byli tak podnieceni.

- Wygląda to jak ogromna końska podkowa.

Nie wiedziała co to znaczy, nigdy nawet nie widziała konia poza ekranem wideo, a ten, którego oglądała nie nosił żadnych "podków".

- Gene, Sarah, myślę, że natrafiliśmy na statek obcej cywilizacji.

Zniżyli lot i Billie dostrzegła przez zasłonę pyłu to coś, co tak ekscytowało rodziców. Wyglądało to jak wielkie "U", którego ramiona sterczały w górę. Całość była nieco pochylona i naprawdę była wielka. Można by do środka załadować ze dwadzieścia patrolowców i jeszcze zostało by mnóstwo miejsca.

- Nic takiego nie znajduje się w naszych danych - powiedział Gene. Potem zaśmiał się głośno.

- Jak szperacze z kolonii mogli to przegapić? - zastanowiła się matka.

- Magnetyczne zakłócenia spowodowane rudą żelaza. Chyba tak to można wytłumaczyć - powiedział ojciec - Satelita pogodowy pewnie nie zarejestrował tego punktu. Czy to ważne? Znaleźliśmy to i mamy do tego prawa jako odkrywcy. Może to być nasz bilet na Ziemię. Pewnie jest warte fortunę!

Wylądowali. Ojciec, matka i Gene założyli skafandry próżniowe.

- Zostań tutaj i obserwuj monitor - przykazał jej ojciec Nie pozwól Vickowi dotykać jakiegokolwiek przycisku. Wychodzimy popatrzeć na ten statek. Gdybyście zgłodnieli w szafce są racje żywnościowe. Po jednej na głowę i nic więcej. Jasne?

- W porządku - Billie skinęła głową.

Została więc i patrzyła w ekran. Cała trójka miała w skafandrach komunikatory. Wiedziała jak się je przełącza. Mogła widzieć każdą osobę po kolei, albo wszystkie trzy razem.

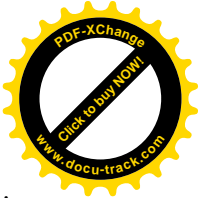
Z początku na zewnątrz było ciemno i burzowo. Szybko jednak troje dorosłych weszło do statku i obraz się poprawił. Mieli ze sobą silne lampy i właśnie je włączyli.

Wnętrze było niesamowite, niezemskie. Nic takiego wcześniej nie widziała. Trochę czasu minęło zanim rodzice i Gene dotarli do sterowni - wiedziała, że tam chcą dotrzeć, gdyż słyszała jak o tym rozmawiali.

Gdy w końcu tam się znaleźli - Billie w międzyczasie zdążyła dwa razy wyjść do toalety i zjeść swoją porcję oraz napocząć połowę porcji Vicka, który nie lubił zielonej pasty zobaczyli martwego stwora siedzącego w fotelu przy pulpicie sterowniczym.

Był naprawdę duży. Wyglądał dziwnie. Przypominał ziemski zwierzę nazywane słoniem. Miał wielki śmieszny nos, a całe jego ciało było tak długie jak czterech ludzi. Leżał na plecach. Nie żył. Tam, gdzie miał przypuszczalnie brzuch, lub klatkę piersiową ziała dziura. Wystawały z niej połamane kości.

Rodzice kilka razy okrążyli leżące stworzenie. Rozmawiali ze sobą i z Gene. Potem wyszli do hallu. No, do dużego pokoju. Na podłodze tej wielkiej sali stały te stwory...



Billie ciągle krzyczała. Wilks błyskawicznie znalazł się przy niej, chwycił za ramiona i potrząsnął nią delikatnie.

- Hej, wszystko w porządku. Już dobrze.

Wspomnienia bulgotały jej w głowie. Usiłowała z nimi walczyć. Ale w mózgu wyczuwała jakieś ciśnienie, rodzaj telepatycznej obecności czegoś niewiadomego.

- Billie?

- To coś na zewnątrz - powiedziała - Potrafię czytać jego myśli. Nie, bardziej jego uczucia. To siedzi w mojej głowie. Wilks popatrzył na nią.

- Nie oszalałam - mówiła dalej - To właśnie zabiło wszystkich obcych, prawda? Bo ten stwór ich nienawidzi. To... to jest coś... co już kiedyś widziałam. Kolekcjoner gatunków. Ja... O, Boże.

- Billie!

Potrząsnęła głową jakby chciała z niej wytrzepać obecność czegoś niemiłego.

- To jakoś może czytać moje myśli. To coś wie. - Wie? O czym?

- Ja... Rim... rodzice... - Co z nimi?

- Na Boga, Wilks! Moi rodzice znaleźli tam statek. Statek obcej cywilizacji. Pilot był czymś w rodzaju naukowca. Zjawił się w tamtym świecie. Zabrał stamtąd te stwory. Właściwie ich jaja. Zabiły go. Statek rozbił się na Rim. Monstra ocalały i przebywały wewnątrz. Nikt nie wie jak długo. Moi... moi rodzice znaleźli pojazd. Weszli do środka...

Wilks przerwał jej.

- Spokojnie, dziecko. Nic nie mów. Wiemy co się stało. Billie zaszlochała. Z oczu popłynęły jej łzy. To wspomnienie było do dziś głęboko zakopane w podświadomości dziewczyny. Nie pojawiało się nigdy w jej snach, nawet najgorszych koszmarach.

Przepełniła ją nienawiść, lecz to nie było jej własne uczucie. Pochodziło od kosmicznego wędrowca stojącego obok lądownika. Od giganta, którego współplemieniec zginął na Rim. Nie chciała o tym pamiętać, ale ten stwór przywołał w jej mózgu obrazy z przeszłości. Widziała dziecko, którym wtedy była, wpatrzona w monitor. Obserwujące jak jej ojciec pochyla się nad jednym z jaj. Patrzące jak podobny do kraba embrion wystrzela w powietrze i wpija się w twarz najbliższego jej człowieka. Patrzące jak matka i Gene wyciągają ojca stamtąd. Słuchające jak krzyczą...

- Nie! Zabierzcie to ze mnie! Precz!

Nienawiść. Czarna, płynna nienawiść przepływająca przez całe jej ciało, od głowy aż do czubków palców. Jakże ten stwór nienawidzi tych kreatur!

- Uratował nas - odezwał się Wilks.

- Nie dlatego, że nas lubi - odpowiedziała - lecz zwalcza obcych.

- Sierżancie - odezwała się Blake - musimy wracać na statek. Ile nam zostało? Trzy godziny?

Billie pomyślała co też stanie się z tą planetą, kiedy spadną tu bomby jądrowe.

Odczuła nagle zainteresowanie ze strony stworzenia stojącego opodal. Zainteresowało się jej myślami. Zrozumiało wiadomość. - To coś nas opuszcza - powiedział pilot - Po prostu odlatuje.

- Wie o bombach - wyjaśniła Billie.

- Tak. Jeżeli chcemy zostać ambasadorami w nowych światach nowych gatunków, musimy naprawić lądownik albo zamienimy się niedługo w pył.

Wilks stał. Pozwolił Billie siedzieć na stole. Obok niej leżał Mitch. Właśnie otworzył oczy. Nic nie powiedział, a i Billie nie miała mu nic do powiedzenia. Nagle opuściło ją uczucie obecności obcego stworzenia. Poczowała nagły ból jakby ktoś wyciął ostrym nożem kawałek jej mózgu.

Z wysiłku brakowało im tchu, oczy piekły i wszystko bolało, ale zdołali usunąć w godzinę wszystkie usterki. Lądownik uniósł się, wszedł na orbitę i pomyślnie spotkał



się z Benedictem. Wilks starannie sprawdził czy nie zabrali przypadkiem niepożądanego pasażera oraz oczyścił laserem każdy kawałek zewnętrznej powłoki pojazdu. Dopiero wtedy przycumowali do statku.

Blake włączyła Buellera do systemu podtrzymywania życia specjalnie zaprojektowanego dla androidów.

Pilot - Billie nie znała jego nazwiska i zupełnie ją ono nie obchodziło - zaczął sprawdzać statek.

Wilks coś majstrował, ale nie chciał powiedzieć co.

Billie siedziała przy stole i gapiała się w ścianę. Wszystko skończone. Dotarli do świata obcych. Uratowali się z napadu Maseya, przeżyli atak obcych, otarli się o śmierć w wyniku wybuchu bomb jądrowych, które miały zniszczyć całe życie na tej diabelskiej planecie. A teraz wracają do domu.

Wszystko się skończyło.

26.

Orona siedział w swym biurze i przyglądał się trzem dyrektorom korporacji, którzy siedzieli naprzeciw niego. Doktor nazywał się Dryner, innych nazwisk nie pamiętał, ale nadał im w myślach nazwy od kolorów ubrań, jakie nosili: Czerwony i Zielony.

Pokój był ekranowany. Nawet w szybach okien biegły cieniuteńkie druciki tak, że laserowy podsłuch nic nie mógł tu działać. Orona podejrzewał, że co najmniej jeden z jego gości miał przy sobie elektroniczny przyrząd zakłócający. Może wszyscy trzej mieli takie. Zostali prześwietleni, ale istniały już specjalnego rodzaju sztuczne tworzywa, które mogły udawać wszystko. But, rzepkę kolanową, cokolwiek. Z rozmowami na tak wysokim szczeblu lepiej uważać. Nikt nie powinien znać słoty Orony wypowiedzianych w tym pokoju.

- Cóż, panowie. Nie owijajmy niczego w bawełnę. Wszyscy znamy powód tego spotkania.

Zielony i Czerwony wymienili szybkie, ukradkowe spojrzenia. Widać było, że są wytrawnymi graczami. Lekarz był sztywny i powściągliwy, ale trochę bardziej zdenerwowany. Leciutko bębnił palcami o brzeg stołu.

- Może powinniśmy rozmawiać w obecności adwokatów - pierwszy odezwał się Czerwony.

- Nikt tu nie mówi o śledztwie - powiedział Orona - I nie obraża niczyjej inteligencji. Ja reprezentuję stronę rządową, wy jesteście prywatnymi przedsiębiorcami. Mój młotek jest większy i użyję go jeśli zajdzie potrzeba. Wiecie o tym. Teraz do rzeczy.

Czerwony i Zielony uśmiechnęli się z prawie identycznym wyrazem twarzy. Obaj zrozumieli.

- Przejdźmy od razu do sedna sprawy - mówił dalej Orona - Mieliście w swoich laboratoriach jednego obcego. Religijni fanatycy włamali się tam, pozwolili się zaimplantować tymi paskudnymi embrionami. Wszyscy to wiemy. Wasz strażnik wysadził w powietrze laboratorium. Fanatycy uciekli. Wiemy to, gdyż zebraliśmy doniesienia o koszmarach. Oznacza to, że niektóre z tych cholernych potworów przeżyły.

- Czy powiedziałem coś, co nie było wam znane? Czerwony i Zielony uśmiechnęli się lekko. Ich przeciwnik miał doskonałe źródła informacji. Niczemu nie można było zaprzeczyć.

Doktor Dryner pokręcił głową. - My, cóż, obawiamy się tego.

- Tak myślałem. Macie wtyczkę w naszym głównym komputerze. Ale nie udało wam się podpiąć do Działu Taktyki. Popatrzył na trójkę mężczyzn. Czerwony wzruszył ramionami. Orona odczytał to jako "nie".

- Znaleźliśmy jednego z tych, którzy zaatakowali laboratorium.

Doktor pochylił się do przodu. - Czy miał w sobie embrion?



- Niestety nie. Klatka piersiowa tego człowieka została wyjedzona od środka. Był martwy od dwunastu godzin, kiedy go odkryła nasza grupa. W Nowym Jorku. Nie było śladu po nowo narodzonym obcym.

- Znowu gówno - lekarz odchylił się w tył.

- Podzielam pańskie uczucia, doktorze. My również bardzo chcemy mieć ten gatunek. Ale obawiam się, że problem, z jakim mamy teraz do czynienia jest nieco inny niż pierwszeństwo w użyciu obcych jako swego rodzaju broni. Bez względu na to jak wiele by to było warte.

Zielony i Czerwony ożywili się.

- O czym pan mówi? - spytał Zielony.

Orona wstał i odwrócił się w stronę okna. Popatrzył na światła miasta migoczące w mroku.

- Doktorze, pan wie jak te stwory się rozmnażają. Każdy z nich jest potencjalną królową, prawda?

Dryner spojrział na dwójkę mężczyzn. Niezauważalnie drgnęły im ramiona. Wal bracie.

- Tak, to możliwe - powiedział doktor.

- Nie wiemy jak wielu fanatyków uszło z życiem. Może cały tuzin. Straciliśmy jednego z nowo narodzonych obcych. Inne niebawem wyjdą z ciał żywicieli, jeżeli już tego nie zrobiły. Nie myślę się?

- Cóż, to zależy od tego z jakich jaj wyszły embriony. Królowa składała je przez kilka dni.

- Ale to tylko różnica tych kilku dni, tak? - Obawiam się, że tak.

- Doktorze, jeżeli jest, powiedzmy, piątka nowych obcych i każdy z nich stanie się królową i zacznie składać jaja, gdy tylko osiągnie dojrzałość, jak pan myśli, ile czasu potrzeba by te przeklęte potwory pokryły całą planetę?

Dryner przełknął głośno ślinę.

- Nie... nie ma sposobu... pewności... jakby powiedzieć...

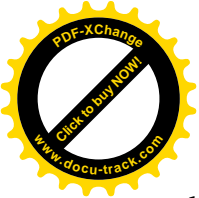
Orona odwrócił się. Poczul na barkach ciężar władzy. Był ekspertem, chociaż ci mężczyźni wiedzieli tyle samo co on. Potrzebował każdego strzępka wiedzy jaka istniała na temat obcych.

- To problem chomika. Jeżeli jedna matka i jej potomstwo przeżyją i będą mieli kolejne potomstwo, które w całości przeżyje, to w ciągu paru lat możemy brodzić po kolana w chomikach. Oczywiście tak się nie dzieje. Niektóre małe są zabijane przez matkę, inne zjedzone przez naturalnych wrogów, inne rozgniecione przez stworzenia o dużych stopach. Ale obcy nie mają naturalnych wrogów w naszym świecie. Potrzeba broni przeciwpancernej, żeby je zabić, a nawet przy jej pomocy nie jest to łatwe. Mamy raport z Korpusu Komandosów Kolonialnych. Oni z nimi walczyli. Chiński rolnik z widłami czy australijski łowca ptaków ze swoją strzelbą tracą tylko czas usiłując powstrzymać dorosłego obcego. Mam rację?

Doktor znów przełknął ślinę. Pytanie było retoryczne.

- Tak naprawdę, każdy, kto będzie usiłował walczyć z nimi jest stracony. Rozmnażają się jak chomiki, królowa nawet nie potrzebuje samca, a dojrzałość osiągają bardzo szybko. Nie wiemy kiedy zaczną nam zagrażać. Fanatycy rozpieczęli się po całym świecie. Mamy raporty na ten temat. Może niektórzy nie powinni być policzeni, ale jeśli jedna dziesiąta doniesień jest prawdziwa, musimy spodziewać się spotkań z potworami na obu półkulach. Od równika do biegunów. Chicago leży dość daleko od Limy.

- Więc, panowie, oznacza to, że wszyscy wpadliśmy po szyję w gówno. Żądam od was pełnej współpracy. Musimy ich powstrzymać. Jeżeli tego nie zrobimy, może okazać się, że jest to ostatnia rzecz, o którą powinniśmy się martwić. Te monstra będą zabijać tak wielu



ludzi, że krzyk tych co przeżyją będzie słycać na Marsie. I każdy z ocalałych będzie żądał by winnych skrócić o głowę. Wtedy dam im wasze. Potem rząd weźmie moją.

Doktor oblizał zeschnięte wargi.

Nawet dwójka kosmopolitów, Zielony i Czerwony, nie wyglądała na szczęśliwą. Orona trzymał ich w garści. Spodziewał się, że jeszcze nie jest za późno. Nie okazywał strachu, który go prześladował: potwory opanują Ziemię w takim stopniu, że ludzkość zostanie skazana na zagładę. Oczywiście, to był scenariusz najgorszy z możliwych i Orona nigdy nie myślał, że może się wydarzyć. Prześladowało go to jak koszmar.

Jednak ciągle miał nadzieję, że pozostanie koszmarem.

27.

Olbrzym o kształcie słonia odleciał. Dostrzegli ślad jonowych silników jego statku rozplywający się w próżni. W końcu i oni opuścili eliptyczną orbitę, którą dotąd zakreślali wokół świata obcych. Dziwne, ale to miejsce nie miało swej nazwy, a przynajmniej Wilks jej nie znał. Nie znaczyło to, że się tym martwił.

Tam w dole nie było już niczego, o co można by się martwić.

Tak. Ciężki deszcz ładunków jądrowych spadł na powierzchnię planety dzięki uprzejmości Komandosów Kolonialnych, a personalnie wskutek działań sierżanta Wilksa. Bomby jądrowe wystrzelono z Benedicta. Weszły na orbity zgodnie z obliczeniami komputera i wylądowały w punktach przeznaczenia. Niektóre spadły do morza, ale woda im wcale nie przeszkadzała.

Kiedy wszystkie wybuchły, dosłownie zmiotły wierzchnią warstwę planety. Wyglądało to jakby jakiś bóg zezłościł się na swe nieudane dzieło.

Ściany atomowego ognia stopiły powierzchnię. Fale uderzeniowe wyrwały drzewa i krzaki, a nawet zrównały z ziemią niektóre pasma wzgórz. Wskutek wstrząsów zbudziły się do życia od dawna wygasłe wulkany i dodały do ogólnego chaosu swój wkład w postaci wrzącej lawy. Łądy zatrzęsły się tak potężnie, że skala stworzona przez człowieka nie wystarczała. Ocean zagotował się. Życie, zarówno w morzu jak i na lądzie czy w powietrzu, obrazowo mówiąc, ugotowało się. Świat został przeorany aż do najgłębszych korzeni i jeżeli cokolwiek przeżyło pierwszy kataklizm, musiało zginąć wskutek nuklearnego wiatru i promieniowania pozostałego po wybuchach. Obcy byli wytrzymali, mogli żyć w warunkach zabójczych dla innych form życia, ale nawet one musiały jeść. A żywności nie będzie na tej planecie długo, bardzo długo.

Wilks obserwował monitory. Kamery automatycznie użyły filtrów, kiedy planetą obcych wstrząsnęły śmiertelne drgawki. Poczul prawdziwe zadowolenie. Miał nadzieję, że te potwory, które przeżyją w końcu umrą z głodu. I będą długo umierały. Nie myślał, że kolejny raz spotka się z koszmarami dręczącymi go od wielu lat. Znów wysłano go jednak przeciw tym diabelskim stworom, lecz tym razem jego cios był silniejszy niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Zniszczył je. Tym razem on się śmiał ostatni.

Tak, został jeszcze jeden na Ziemi, ale kiedy tam wróca, on, Wilks, zobaczy, co można zrobić z tym samotnym monstrum.

Zastanawiał się, jaka jest kara za wysadzenie w powietrze całej planety i czy będzie za to postawiony przed sądem. Mógł to sobie tylko wyobrazić.

Wszystko przebiegało gorzej niż przewidywał Orona. Pierwsze działania były raczej łatwe. Jego Grupa Taktyczna szybko dowiadywała się o masowych zaginięciach i wkraczała do akcji. Zmobilizowano wszelkie środki transportu tak, że w pełni wyekwipowany zespół ludzi mógł dotrzeć do dowolnego punktu ziemskiego globu w ciągu niecałych trzech godzin.



Pierwsze mrowiska były niewielkie – nie więcej niż pięćdziesiąt lub sto jaj i jedna królowa. Grupa nie dawał im żadnej szansy na przeżycie. Sterylizowali cały teren. Mrowisko było doszczętnie zniszczone. To samo robiono z otaczającym terenem. Potencjalni nosiciele byli zatrzymywani i izolowani. Ci, u których wykryto poczwarki byli zabijani, a ich ciała palono.

Nowe Chicago, Miami, Hawana, Madryt – wszędzie tam szybko wykryto małe gniazda i bezwzględnie je zniszczono.

Początkowo Orona odczuwał pewne zakłopotanie. To prawda, że było trochę spraw do zatuszowania, trochę emocji polityków, ale Akt Bezpieczeństwa Planetarnego dawał mu w tym względzie szerokie uprawnienia. Potwory nie były zbyt inteligentne. Można je było porównać do termitów, mrówek czy pszczoł. Budowały swe mrowiska, tworzyły komorę na składanie jaj i wysyłały robotnice na poszukiwanie pokarmu. Ich zachowanie było instynktowne i nie kryła się za nim wielka inteligencja. Pracowały dla dobra swego mrowiska i nie istniało nic takiego jak rywalizacja. Orona zaczął spać spokojnie. Wojskowi ufali mu jako ekspertowi właściwie nieograniczenie.

Przeszły tygodnie, potem miesiące.

Wykryto więcej mrowisk: Paryż, Moskwa, Brisbane, Arktyczne Miasto. Obcy rozprzestrzenili się na cały świat tak, jak się tego obawiał Orona. Ciągłe jednak łatwo było znaleźć ich kryjówki i zniszczyć bez litości. Zaraza była groźna, ale ciągle pod kontrolą.

Lecz potwory zaczęły się zmieniać.

Grupy Taktyczne były dobrze wyszkolone, a wskutek ciągłej praktyki stały się jeszcze lepsze. Ale wskutek, być może, naturalnej selekcji, obcy nauczyli się lepiej ukrywać swe gniazda. Jak prześladowane szczury czy karaluchy.

Mrowiska stały się mniejsze, lecz liczniejsze. Grupy wysyłane do zniszczenia ich znajdowały co najwyżej piętnaście jaj w jednym, a i miejsca, gdzie były ukryte stawały się coraz trudniejsze do wyśledzenia. I było ich więcej. Na terenie Afryki Północnej, na dawnym Wybrzeżu Kości Słoniowej, odkryto nie mniej niż osiemdziesiąt małych mrowisk w kole o średnicy pięćdziesięciu kilometrów. Niektóre z nich znaleziono w Abidanie, w podziemiach drapaczy chmur i starych magazynach. Inne znajdowały się w otaczających miasto pustkowiach, skryte pod ziemią. Stwierdzono poczwarki obcych u bydła, koni, a nawet kóz. Wydawało się, że każde wystarczająco duże stworzenie jest dobre na żywiciela młodych bestii. Co do ludzi nie znano dokładnej liczby nosicieli. W cywilizowanych okręgach zauważano każde niemal zniknięcie, ale nikt mógł nie poznać losu mieszkającego na odludziu farmera i jego bydła.

Stało się jasne, że obcy stają się coraz sprytniejsi i zaczynają przystosowywać się do nowych warunków.

Sześć miesięcy po ucieczce zaimplantowanych fanatyków z laboratorium w Limie Orona musiał wydać rozkaz ataku siłami dywizji na gigantyczne mrowisko w Diego Suarez na północy Madagaskaru. Faktycznie był to szereg mniejszych mrowisk, które łączyły się ze sobą podziemnymi tunelami.

W ósmym miesiącu walki Orona stał się odpowiedzialny za zniszczenie Dżakarty przy pomocy ładunków jądrowych.

W rok po rozpoczęciu walk z obcymi kontynent australijski uznano za zbyt zarażony i wydano zakaz wszelkich podróży, zarówno z, jak i do Australii. Każdy statek – morski, powietrzny czy kosmiczny – usiłujący wydostać się stamtąd był zestrzeliwany przez laserowe działa z satelitów Ochrony Wybrzeża.

Poszukiwanie mrowisk przez Grupy Taktyczne straciło sens. Ważne było sprawdzenie pewnych terenów i niedopuszczanie tam wroga. To była już prawdziwa wojna.

Ustanowiono Stan Wyjątkowy. Wszystkie granice narodowe zniesiono aż do odwołania. Pakt Wojskowy przejął władzę i zniósł na czas trwania konfliktu wszelkie prawa cywilne i



wolności osobiste. Podejrzani o nosicielstwo embriona mogli być rozstrzelani na rozkaz oficera w randze co najmniej pułkownika. Potem próg obniżono do majora, potem do kapitana. I do sierżanta. Szybko każdy żołnierz, który miał karabin mógł zastrzelić każdego, kogo tylko zechciał. Gdyby zaś prześwietlenie nic nie wykazało, to cóż, pieprzona pomyłka. Wojna to piekło, prawda? Paru cywilów mniej. Nie szkodzi, to może uratować całą planetę.

Robotnice obcych, kiedy je chwytano – był to bardzo rzadki przypadek – okazywały się być coraz inteligentniejsze. Najsprytniejsze były na poziomie psa, daleko mądrzejsze niż przypuszczano. Natomiast jedyna królowa schwytna w bitwie, która zniszczyła połowę centrum San Francisco, wykazywała po testach inteligencję na poziomie 175 punktów na skali Irwina-Schlatlera. To stawiało ją w rzędzie najinteligentniejszych przedstawicieli rodzaju ludzkiego, jacy kiedykolwiek przyszli na świat.

Koszmar zmienił się w rzeczywistość. Nigdy jeszcze Orona nie czuł w swych wnętrznościach tak przejmującego zimna jak wtedy, gdy komputer przedstawił mu te trzy cyfry: 175. One stawały się coraz mądrzejsze. Za mądre.

A odpowiedzialni za to byli ludzie.

Na pokładzie Benedicta układano się do hipersnu.

Bueller leżał poszarpany, ale ciągle żywy. Zawdzięczał to Blake. Billie unikała go, lecz zdecydowała się na ostatnie spotkanie przed pójściem do komory snu. Musiała z nim porozmawiać.

Od klatki piersiowej w dół pokrywał go naciśnieniowy rękaw. Powyżej Mitch wyglądał jak zwykle. Obudził się, kiedy weszła do pokoju.

- Mitch.

- Billie. Wolałbym, żebyś mnie raczej nie widziała w takim stanie.

- Bo to jest cholernie nieprzyjemne, co? Któż jeszcze miałby cię oglądać? Jak miałbyś wyglądać? Jak człowiek?

- Billie, przykro mi. Nawet nie wiesz jak mi przykro.

- Kim ja jestem, Mitch? Błyskiem w twoim oprogramowaniu?

Podeszła bliżej. Tak blisko, że mogłaby wyciągnąć rękę i dotknąć go. Mogłaby. Czemu nie.

- Nie – powiedział.

- Więc czym?

- Powiniennem ci wszystko powiedzieć. Próbowałem, ale jakoś nie potrafiłem. Obawiałem się.

- Obawiałeś?

- Że cię utracę.

Zaśmiała się ostrym, gorzkim śmiechem.

- Nie miałem wpływu na to, kim jestem, Billie. Nie miałem wyboru, gdy przyszedłem na świat.

- To prawda, ale do ciebie należała decyzja, żeby zabawić się z głupią ludzką dziwką, prawda?

- Nie. Kimkolwiek jestem, skądkolwiek pochodzę, to jednak jem, czuję i cierpię. Teraz zrozumiałem, że również kocham.

Billie przygryzła wargę. Nie chciała tego słyszeć.

Nie chciała słyszeć już nic więcej.

- Nie jestem taki jak ty – ciągnął dalej Mitch. – Nie miałem matki i ojca, nigdy nie byłem dzieckiem, nie miałem wcześniej żadnego życia. Zostałem stworzony by być Komandosem Kolonialnym. Jednak uczyłem się, stawałem się kimś innym. I przeżyłem miłość. Nie wiem, czy ty odczuwałaś to podobnie.



Dla mnie poza tobą jest tylko pustka, ból kiedy odchodzisz, gorączka, na którą jesteś jedynym ukojeniem. Pożadam cię, pragnę cię dotykać, trzymać w ramionach. Nawet w tej chwili, kiedy jestem na pół żywy.

Przerwał i zaszlochał.

„O, Boże. Tylko niech nie płacze” – pomyślała. Nie potrafi znieść tego.

- I straciłem cię – odezwał się znowu. – Kiedy to monstrum chwyciło mnie i rozerwało na dwie części, nie było to tak bolesne, jak uczucie, gdy zobaczyłem twoje oczy. Twoje spojrzenie na mnie. Patrzyłaś na mnie z taką nienawiścią...

Przerwał i odwrócił twarz.

Billie stwierdziła, że to, co Mitch czuje jest prawdziwe. Niezależnie od tego, czym... kim był. Stwierdziła też, że kocha go tak, jak on kocha ją.

Ciągle to czuła.

- Mitch...

- Dalej, Billie. Wyłącz te maszyny i pozwól mi umrzeć.

Wyciągnęła rękę i dotknęła go. Jego nagie ramię było ciepłe, skóra żyła, mięśnie prężyły się. Kochał ją. Była o tym przekonana. Czymkolwiek był, tylko to się liczyło. Nikt jeszcze nie kochał jej poza rodzicami.

- Mitch – powtórzyła.

Popatrzył na nią.

Pochyliła się niżej. Pocałowała go delikatnie w usta. Czuła jego ból i nagłą słabość, gdy zorientował się, co się dzieje.

- Boże, Billie!

- Cii, Wszystko w porządku. W porządku. Nic się nie liczy.

I nie liczyło. Ale nie do końca.

Była wojna i ginęli ludzie.

Orona został zaskoczony sposobem, w jaki się to odbywało. Człowiek miał do dyspozycji potężną technologię, to był jego świat, miał wszelkie przewagi po swojej stronie. Z wyjątkiem...

Za wyjątkiem woli życia, która u obcych była zdecydowanie silniejsza. Potwory poświęcały wszystko by uratować gatunek. Tylko niewielu ludzi zdobyło się na to. Matko może poświęcić życie dla ratowania swego dziecka, święty mógłby wejść w ogień dla swych współwyznawców lub swego boga, ale instynkt samozachowawczy ciągle był u ludzi silniejszy niż wszystko. Obcy nie dbali o życie. Gdyby setka robotnic miała zginąć, by uratować jedno jajo, zrobiłyby to. I robiły.

Obcy rozplenili się wszędzie, nawet w miejscach, gdzie szczury miałyby kłopot z przeżyciem. Były tam, gdzie nikt się ich nie spodziewał. Zakopane w arktycznych lodowcach, na pustyniach, w wilgotnych dżunglach, na rzecznych barkach. Wszędzie tam, gdzie było wystarczająco dużo miejsca do złożenia jaj. Nikt nie wiedział ile ich jest. Snuto tylko domysły. Oszacowania zmieniały się od setek do tysięcy, od tysięcy do dziesiątków milionów. Prywatne statki kosmiczne opuściły Ziemię w takiej ilości, że wojskowe patrolowce nie potrafiły ich zawrócić czy choćby sprawdzić. Większość z nich leciała tylko na Księżyc lub do pasa Asteroid. Niektóre podążały ku dalszym planetom. Paru bogaczy połączyło swe fortuny i zakupiło statki zanim rząd wydał zakaz posiadania prywatnej floty kosmicznej. Tysiące opuściły Ziemię, gdyż tu nie pozostało już wiele miejsca do ukrycia się.

Orona siedział w jednym z takich właśnie miejsc – solidnie strzeżonym wojskowym obiekcie w Meksyku. Teren ogrodzony był potężnym murem, ziemia wokół została zaminowana, każdy samochód czy samolot, który lądował czy startował był szczegółowo sprawdzany. Każdy pasażer musiał być prześwietlony.



Orona stwierdził w końcu, że obcy są jak choroba, a nie jak wroga armia. Jedynym sposobem leczenia było wycięcie tkanki rakowej i wysterylizowanie rany. Było jednak za późno, bo zaczęły się przerzuty. W tej sytuacji połączone wysiłki skalpela, naświetlania i leków mogły okazać się nie wystarczające. Wszystko wydarzyło się tak szybko, ogień spowodowany jedną zapalką rozprzestrzenił się tak błyskawicznie, że w jednej chwili stał się ogólnoswiatowym pożarem. Nikt nie potrafił poradzić sobie z jego szybkością! Minęło dopiero półtora roku od chwili, gdy człowiek był panem stworzenia, szczytem łańcucha pokarmowego, królem świata. A teraz...

Wojskowe umysły nie są zbyt błyskotliwe, nigdy nie były, ale ci na górze, ci, którzy dowodzą, już dawno zdali sobie sprawę, że przegrali. Wszystkie pozostałe na ziemi pojazdy kosmiczne zostały skonfiskowane. Plany ewakuacji zostały zatwierdzone. Następowало przegrupowanie oddziałów od odległych kolonii. Tam miały powstać projekty dalszej walki z obcymi. Orona siedział w centrum komunikacyjnym obiektu – miejscu wypełnionym technologicznymi cudami. Nagle zaśmiał się głośno. Ziemia zostanie opuszczona. On zostanie tutaj. Mógłby uciec, ale nie miało to dla niego sensu. Mógłby przeżyć, ale straciłby najważniejszą bitwę życia. U starożytnych istniał pewien zwyczaj: kiedy statek tonął, kapitan szedł na dno wraz z nim. Obcy. To był jego projekt. Jego praca. Ktoś stłukł probówkę ze śmiertcionośnym płynem i całe laboratorium zostało skażone. To on za to odpowiada. Powinien to przewidzieć. Nawet, jeżeli inni o tym zapomną, on będzie pamiętał.

Zamierzał zostać tutaj. Wygrać lub zginąć.

Komora hipersnu była gotowa.

- Do zobaczenia za dziewięć miesięcy – powiedział Wilks.

Komputer wziął już kurs na powrót do domu. Wróćą szybciej niż przybyli. Potrwa to tylko parę miesięcy. Wilks miał nadzieję, że na Ziemi już załatwiono się z obcym, którego tam trzymali. Miał nadzieję, że byli ostrożni. Mieli tylko jednego i powinni łatwo sobie z nim poradzić.

Komory zamknęły się nad nimi i ukołysały do spoczynku, który wydawał się być śmiercią. Jednak zaprogramowane urządzenia utrzymywały ich w doskonale zrównoważonym stanie hipersnu.

Do czasu, gdy pierwsza wiadomość o okropnych wydarzeniach na Ziemi dotarła w końcu na statek, resztkę jego pasażerów pogrążona już była w głębokim śnie. Komputer zarejestrował krzyk Ziemi, ale zupełnie na to nie zwrócił uwagi.

Rozdział 28

Orona patrzył prosto przed siebie. Twarz miał wymizerowaną i bardziej zmęczoną niż kiedykolwiek.

- W ten sposób przebiegało to na Ziemi – mówił. – Wojsko zabrało większość swych oficerów i oddziałów bojowych i teraz są już zapewne w hiperprzestrzeni. Kilka następnych transportów stoi gotowych do ewakuacji.

Sytuacja ciągle się pogarsza. Komunikacja lądowa prawie zamarła, łączność satelitarna ciągle jest utrzymywana na terenach, gdzie istnieją możliwości zasilania przekaźników.

Narasta chaos. W ciągu ostatnich miesięcy obcy tak znacznie zwiększyły swą liczebność, że wydaje się to prawie niemożliwe.

Jest jeszcze tylko kilka enklaw, gdzie ludzie są bezpieczni. Prawdopodobnie miliard ludzi zginęło w ciągu półtora roku.

Coś zastukało w drzwi za plecami Orony.

- Nawet to miejsce, które wydaje się nie do zdobycia, nie jest bezpiecznym schronieniem. Zadziwiające.



Dudnienie stawało się coraz głośniejsze.

- Nie wiem czy ktokolwiek zobaczy tę transmisję, albo czy go obejdzie, kiedy go zobaczy. Tę komedię pomyłek, jaką stała się cała historia ostatnich dwóch lat. Gdybym był bogiem, śmiałbym się z ludzkiej głupoty.

Gruby plastik zaczął pękać pod potężnymi uderzeniami.

Orona zdobył się na uśmiech. Sięgnął do szuflady i wyjął niewielki pistolet. Spojrzał w lewo. Odłamki czarnej ściany przeleciały obok. Orona wprowadził nabój i odbezpieczył broń. Włożył lufę między zęby. Nacisnął spust.

Tył jego głowy rozpadł się i rozpylił w powietrzu czerwono-białą masą. Orona upadł do przodu dokładnie w chwili, gdy szponiasta ręka usiłowała go chwycić. Pazury nie trafiły, ale potwór ponowił próbę. Tym razem uniósł martwe ciało człowieka jak marionetkę, której pozrywały się sznurki. Potrząsnął.

Następna postać pojawiła się w polu widzenia kamery i całkowicie przesłoniła widok.

Po chwili Orona został wyniesiony. Pomieszczenie opustoszało. Kamera przesunęła obiektywem po ścianach i ukazała krew, mózg i odłamki czaszki.

- O, kurczę – powiedziała Billie wpatrując się w ekran.

Siedzący obok niej Wilks kiwnął głową, a twarz wykrzywił ponury grymas.

- Wszystko na nic- powiedział. – Wyszliśmy tę pieprzoną planetę w powietrze, ale zrobiliśmy to zbyt późno. Oni już mieli obcego na Ziemi. Jakiś głupi skurwysyn przywiózł go do domu, a inni go wypuścili.

Blake i pilot stali z boku i również patrzyli w monitor. Bueller leżał na wózku.

- Co powinniśmy teraz zrobić, sierżancie?

- Zrobić? Co możemy zrobić? Jesteśmy na orbicie i schodzimy w dół.

Nagle pilot – Parks, tak brzmiało jego nazwisko – odezwał się głośno:

- Wilks, mamy towarzystwo.

- O czym ty gadasz?

- Popatrz na Dopplera.

Sierżant spojrział. Zaklął cicho.

To był statek słoniowatego obcego. Wisiał w przestrzeni tylko kilkaset kilometrów od nich.

Niemożliwe, żeby ten stwór śledził ich w podprzestrzeni Einsteina.

Jak?

Dlaczego?

- Zezwalam na lądowanie według podanych współrzędnych, Benedict. Wasz komputer powinien to zrobić doskonale, ale bądźcie gotowi do sterowania ręcznego. Na wszelki wypadek. Zbliżacie się trochę za szybko i możecie wylądować na terytorium wroga. A wtedy zamienicie się w ich obiad.

- Dziękuję bardzo – powiedział Wilks do komunikatora. – Gdy wysiądzie komputer, będą martwi. Nikt na statku nie potrafił pilotować gwiazdnego pojazdu w atmosferze, a już na pewno nie umiał lądować na punkt.

- Raczej wolelibyśmy was tu widzieć w jednym kawałku. Potrzebujemy sprzętu. Poza programowalnymi transportowcami oddziałów wojskowych, nie mam zbyt wielu ptaszków, które potrafią fruwać.

- Zrozumiałem. Schodzimy do lądowania.

Wilks odchylił się w tył w fotelu. Wszystko wyglądało jeszcze gorzej niż widzieli i słyszeli z nagranych komunikatów. System bezpieczeństwa Orony przestał działać pewnie jakieś parę tygodni temu. Powrót na Ziemię nie był całkiem rozsądnym rozwiązaniem, lecz



sierżant chciał przekonać się na własne oczy, co tam się działo. Jego zwycięstwo w ojczyźnie obcych wydało mu się teraz całkowicie bez wartości.

Kiedy statek wylądował, czekało już na nich kilkunastu żołnierzy z bronią gotową do strzału. Oficer, pułkownik lub generał, jak sądził Billie, wyprężył się i skinął Wilksowi głową.

- Cieszymy się, że przyprowadziliście statek, sierżancie. Potrzebujemy go. To jest ostatni bezpieczny obóz wojskowy na Ziemi. I my też odlatujemy.

- Co tu się wydarzyło?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie potrafię powiedzieć. Zamierzam zabrać moich ludzi na stację, którą kiedyś zakładałem.

- Zamierzacie teraz odlecieć? A co z ludźmi, którzy zostaną?

Oficer pokręcił głową.

- Wyobrażam to sobie tak: obcy zawładną wszystkim. Potem, pewnego dnia, wrócimy i spróbujemy ponownie. Znajdziemy sposób na ich zabijanie z orbity bez niszczenia lądów i mórz. Może jakaś biologiczna, albo chemiczna broń. Zaczniemy od oczyszczania terenu.

Wilks wyglądał jakby zamierzał rzucić się na swego rozmówcę.

- Tu są miliardy ludzkich istot!

- Tu były miliardy, sierżancie. Obcy schwytali wielu, wielu zginęło w bratobójczych walkach, jeszcze inni w eksperymentach, które miały pomóc w zwalczaniu potworów. Pozostało może pięć, może sześć setek milionów. Ta liczba szybko się zmniejsza. Nie możemy ich uratować. Jeżeli szczęście nam dopisze, wystartujemy zanim będzie tu gorąco...

Młodszy oficer zjawił się nagle u boku dowódcy.

- Meldunek z południowego wschodu. Kilkaset bestii atakuje. Przeszły przez pola minowe i zbliżają się do zapór.

- Sprawdzić Benedicta – rozkazał oficer. – I wysłać Kompanię C by wsparła walczących.

Uzbrojeni żołnierze wspięli się do statku.

Oficer odezwał się ponownie:

- Kiedy się nad tym zastanowić, to może nie jest takie złe. Ziemia jest na krawędzi samozniszczenia już od dłuższego czasu. Gdyby się to nie wydarzyło, stałoby się coś innego. Teraz mamy szansę na kolejną próbę.

- A co z nami? – spytał pilot. Parks, jego nazwisko brzmiało Parks.

- Przykro mi – odpowiedział żołnierz, – ale nie mamy więcej miejsca. Poza tym mam swoje rozkazy.

- Chwileczkę – powiedział Wilks. – Jeszcze jedno. W świecie obcych coś nam pomogło. Inny kosmiczny gatunek. On... to nas uratowało.

- Więc?

- Śledziło nas aż tutaj. Ma swój statek.

- Słuchaj, sierżancie. To wszystko jest bardzo ciekawe, ale co za różnica? Czy myślisz, że ten stwór może zgładzić wszystkie potwory na naszej planecie?

- Nie wiem, ale może by pomógł...

Oficer spojrział na zegarek.

- Gdybyśmy mieli czas to, czemu nie. Ale jeżeli tylko nasz wywiad się nie myli, pozostał nam tylko jeden dzień, może tylko parę godzin, zanim nie zostaniemy pokonani. Zostawimy tu trochę ładunków jądrowych by zniszczyły wszystkie obiekty po naszym starciu. Przegraliśmy tę wojnę, sierżancie. Czas wydać rozkaz do odwrotu.

- Do diabła!

Oficer uniósł ostrzegawczo rękę. Drugą sięgnął po broń.

- Nie róbcie głupstw. Możecie umrzeć od razu, jeżeli zrobicie coś szalonego.



Wilks rozłożył ręce.

Blake, stojąca między Billie i Buellerem, przesunęła się do przodu. Żołnierz skierował lufę w jej kierunku.

- Nie pozwolę nikogo zastrzelić, generale – powiedziała Blake.

- Słuchaj komandosie. Zabijam ludzi od miesiący. Kilku więcej nie robi mi różnicy.

Dziewczyna uśmiechnęła się i ciągle szła w jego stronę.

- Blake, nie! – krzyknął Wilks.

Ciągle szła.

Generał strzelił. Kula trafiła Blake prosto w pierś. Zatrzymała się na moment. Mężczyzna zaklął i wypalił ponownie...

Wilks skoczył. Uderzył kantem dłoni w skroń generała w chwili, kiedy wystrzelił po raz trzeci. Pocisk zaświergotał rykoszetem o powłokę Benedicta.

Sierżant uderzył łokciem i kopnął generała, kiedy ten osuwał się na ziemię. Wyrwał z bezwładnej dłoni pistolet i skierował go w stronę wjazdu statku.

Właśnie pojawił się w nim żołnierz. Wilks strzelił mu w głowę.

Blake upadła. Parks zaczął uciekać.

Billie podbiegła do rannego androida. Do rannej kobiety.

- Blake...

- Nie pozwól im... się zastrzelić – powiedziała ranna. Uśmiechnęła się. – Upewnij... przypilnuj, żeby... dali mi medal... Sierżancie?

Wilks spojrzał na nią.

- Pewnie, dzieciaku. Masz je jak w banku.

Oczy Blake zmatowiały.

Sierżant pokręcił głową.

- Cholera. Trafił ją w główną pompę. Jedna szansa na tysiąc, tak jest chronione to miejsce. I akurat Blake miała pecha. Pocisk musiał odbić się rykoszetem.

- Blake! – krzyknęła Billie.

- Ona odeszła, Billie – powiedział Wilks. – I my również zginieemy, jeżeli nie zabierzemy się stąd. Szybko? Właśnie zabiłem generała. Ruszajmy się!

Popchnął ją, ale ona skręciła i chwyciła Mitcha. Zarzuciła go dobie na plecy.

- Billie, do ciężkiej cholery!

- Poradzę sobie.

- Billie, nie rób tego... - krzyknął Mitch.

- Zamknij się. W przeciwnym razie zostanę i zabiją mnie. Skoro nie chcesz, żeby się tak stało wiś spokojnie i pozwól mi biec.

Wilks już ruszył sprintem, a Billie i jej pasażer podążyli za nim.

Rozdział 29

Kiedy przystanęli dla złapania oddechu Billie powiedziała:

- Po co biegniemy? Nie mamy dokąd iść. Wysadzą to miejsce w powietrze, gdy tylko odlecą. Nawet gdyby na zewnątrz nie było obcych, nie zdołamy uciec na nogach wystarczająco daleko od wybuchu jądrowego.

- Nie planowałem uciekać pieszo.

- Jeżeli to, co mówili jest prawdą, to nie ma na Ziemi miejsca, gdzie byłoby lepiej – wtrącił się Bueller.

Cała trójka odpoczywała oparta o ścianę schronu, który wyrastał ponad powierzchnię gruntu aż do poziomu, na którym przebywali. Wilks pomyślał, że muszą być na trzecim poziomie, prawdopodobnie z pięćdziesiąt metrów nad ziemią.

- Nie planowałem również pozostania na Ziemi – dodał sierżant.



- O czym ty mówisz? – spytała Billie.
- Pamiętasz, co powiedział kontroler, kiedy podchodziliśmy do lądowania? Są tu zaprogramowane statki do transportu żołnierzy. Gdy wystartują, będziemy na jednym z nich.

- W jaki sposób?

Wilks uniósł pistolet generała.

- Zrobimy co będzie konieczne – powiedział.

Bueller wyglądał na niezadowolonego.

- Nie sadzę, żebym na to pozwolił.

Sierżant roześmiał się.

- Jak zamierzasz mnie powstrzymać starszku? Poza tym widzę furtkę w twoim programie. Oni zamierzają nas zabić, mnie i Billie, a my zamierzamy zabić ich. O kogo się bardziej obawiasz?

Mitch milczał dłuższą chwilę.

- Billie – wydusił w końcu.

- Aha, więc są równi i równiejsi, co?

- Tak.

- Nie nauczyli się tego?

- Nie.

Wilks ponownie się roześmiał.

- Właśnie przestałeś być androidem, kolego. Witamy w ludzkiej skórze.

Billie pozwoliła Wilksowi wziąć Mitcha. Mogli się w ten sposób poruszać szybciej i sprawniej. Nawet, gdy biegli, dziewczyna zastanawiał się nad tym co powiedział Bueller. Pokonał swoje oprogramowanie. Może jego ciało nie wyszło na świat z łona kobiety, ale, gdy głęboko się zastanowiła, był człowiekiem.

Wilks poprowadził ich do magazynu, gdzie znajdował się terminal komputerowy. Zaczął zadawać pytania systemowi.

- Co robisz?

Nawet nie spojrzał na Billie.

- Sprawdzam, czy transportowce mają załogi, czy tylko niosą ładunek. Niektóre przewożą ludzi, inne sprzęt. Możemy znaleźć taki z wyposażeniem, wejść do niego i zamienić trochę gratów na nas samych.

- Nawet nie wiemy, dokąd lecą – powiedziała Billie.

- Czy to ważne? Czy może być coś gorszego od upieczenia się w atomowym ogniu albo być zjedzonym przez potwory?

- Wilks...

- Wiem co chcesz powiedzieć – przerwał jej. – Myślałem, że wykonałem zadanie, kiedy rozwalilem tę diabelską planetę obcych. Sądziłem, że wrócę, znajdę cichy kąt w jakimś spokojnym więzieniu, albo zrobią mi operację na mózg i jakoś to będzie. Cieszyłem się z tych myśli. Teraz już nie. Nie spocznę, dopóki ostatni z obcych skurwysynów nie będzie martwy.

- Czy warto?

- Dla mnie tak. Człowiek powinien z radością wstawać każdego ranka. Ja spędziłem całe lata na zastanawianiu się, czy samemu nie zdmuchnąć swego życia. Coś ciągle mnie przed tym powstrzymywało. Nigdy nie wiedziałem co to jest, ale zadowolony jestem, że było. Mogę umrzeć, dziecko, ale chcę odejść z podniesionym czołem.

Był tak szczęśliwy, jakim jeszcze nigdy go nie widziała. Miał swój cel, a to było coś, czego nie posiadała większość ludzi.

- O mamy coś. Statek cargo, numer trzy-zero-dwa, nazywa się Amerykanin. Dok szesnaście, poziom piąty. Tu jest mapa położenia...



Ostrożnie zbliżyli się do statku. Wilks ostrożnie położył Buellera i wyciągnął pistolet.

- Tylko zranię strażników – powiedział. Nie zabiję ich.

- Dziękuję – odezwał się Mitch.

- Zostańcie tutaj. Wrócę, gdy zrobię co trzeba.

Zaczął odchodzić, ale zatrzymał się.

- Hej, Bueller. Nawet nie potrafisz powiedzieć jak wspaniałą robotę wykonałeś, ty i twoi żołnierze. Zrobiliście to bez pudła.

- Jak na androida przystało, co?

- Nie, jak przystało na człowieka.

Wilks pokonał drogę do statku kryjąc się za rozstawionymi tu licznie skrzyniami. Zadanie było łatwe. Czterech strażników nie spodziewało się najmniejszych kłopotów. Broń trzymali niedbale, z lufami opuszczonymi ku ziemi. Kiedy sierżant zbliżył się wystarczająco, ciągle pozostając w ukryciu, wziął głęboki wdech, podniósł pistolet i szybko wystrzelił cztery razy. Specjalna lufa prawie całkowicie stłumiła huk strzałów.

Trafiła wszystkich za pierwszym razem prosto między oczy. Strzał w głowę jest najlepszym sposobem na natychmiastową śmierć.

Okłamał Buellera. Cóż, życie jest twarde.

Billie zobaczyła, że Wilks wraca.

- No, ludkowie. Transportowiec już czeka. Idziemy.

Prowadził obok martwych ciał strażników.

Mitch popatrzył na zastrzelonych ludzi.

- Przykro mi. Musiała zadrzeć mi ręka – powiedział Wilks.

Bueller wzruszył ramionami. Kiedy ktoś umierał, kończyła się jego odpowiedzialność. Sierżant musiał o tym wiedzieć.

Za ich placami rozległy się strzały z ręcznej broni. Nie były zbyt bliskie, lecz także niezbyt odległe.

- Wygląda na to, że wołają nas do towarzystwa – mruknął Wilks. – Mogę się założyć, że sytuacja się komplikuje.

Statek był prostokątnym pudłem z dyszami od spodu i małą kabiną kontrolną, która wyglądała jak głowa gigantycznego insekta. Dla Billie wydawało się prawie niemożliwe, że połączona jest z resztą statku.

Sierżant uchwycił jej zdziwione spojrzenie.

- Będziemy mieli szczęście, jak nie rozleci się po starcie. Dalej, wchodzimy. Musimy wywalić trochę sprzętu. Ten ptaszek załadowano żywnością, zamrożoną spermą i zarodkami. Prawdziwa arka Noego. Musimy uruchomić system produkcji tlenu oraz system utylizacji odpadów i podtrzymywania życia. Musimy przecież oddychać i móc oczyszczać odpadki. A ponieważ nie wiemy jak długo będziemy lecieć, posiadanie komór hipersnu może okazać się niezbędne. Zajmie nam to parę godzin. Zamierzam zabrać wszystko, co nam potrzebne z tego statku obok.

- Co z pasażerami?

- Jeżeli tylko są, leżą już uśpieni w komorach. Nasz ptak nie potrzebuje załogi. To typowy transportowiec.

Dwie i pół godziny zajęło im przygotowanie odpowiednich urządzeń. Bez Wilksa byłoby to niemożliwe.

Odgłosy walki przesunęły się bliżej. Mogli nawet słyszeć dźwięki rykoszetujących pocisków odbijających się od pancerzy obcych. Stało się jasne, że ktokolwiek przejął dowództwo po zabitym generale, będzie się starał w szybkim tempie ratować swoją dupę.

Co chwilę słychać było wrzaski kobiet i mężczyzn.

Tak. Pora odlatywać.



- No, ładujemy się – powiedział Wilks do Billie. – Mam przecucie, że wystartujemy w ciągu kilku minut.

Kabina sterownicza miała zainstalowane bezwładnościowe fotele. Usiedli i zapięli pasy. Wcześniej Wilks pomógł Billie umieścić we właściwej pozycji Buellera. Nie wiedział zupełnie dokąd lecą, ale przygotował kabiny do hipersnu. Załadują się do nich po osiągnięciu hiperprzestrzeni. Automaty obudzą ich po ponownym wejściu w normalny świat.

W chwili, gdy Wilks ulokował się w swoim fotelu, rozbłyły lampki na tablicy.

- Trzymać się – powiedział. – Wyglądało na to, że ktoś rozpałił pod kotłem.

Rozdział 30

Statek uniósł się, przyspieszenie wcisnęło ich głęboko w fotele. Wilks był pewny, że gdyby miał podręcznik operacyjny, mógłby zlikwidować przykre skutki startu. Teraz mógł obserwować tylko rodzinną planetę opanowaną przez potwory. Nie było to zabawne. Westchnął.

Na razie nie dało się nic zrobić.

Pierwszą zasadą na wojnie jest przeżyć. Skoro żyjesz, możesz jeszcze walczyć. Gdy zginiesz, nic nie zrobisz.

Wilks zamierzał pozostać przy życiu tak długo, aż zabije wszystkich obcych.

Ktokolwiek programował statek zaplanował wykorzystanie ziemskiej grawitacji do wyrzucenia statku w głęboką przestrzeń. Transportowiec wspiął się na wysoką orbitę i włączyły się dodatkowe napędy. Monitory pokazały, że co najmniej pięćdziesiąt statków opuściło razem z nimi Ziemię. Plus jeden, którego Wilks natychmiast rozpoznał.

- Słuchajcie, powiedzcie do widzenia naszemu długonosemu przyjacielowi – powiedział do Billie i Mitcha.

Billie spojrzała na niego. Nagle zbladła i zaczęła krzyczeć.

W jakiś niepojęty sposób Mitch zdołał wydostać się ze swego fotela i dowlec na rękach do miejsca, gdzie Billie ciągle tkwiła przytwierdzona pasami do swego siedzenia. Podciągnął się i usiłował dotknąć jej ręką.

- Billie! Co się stało? Billie?

To znowu zjawilo się w jej mózgu. Ta obca interwencja, którą odczuwała przed świetlnymi latami. Wtedy, gdy słońiopodobny stwór uratował ich przed potworami.

Teraz się śmiał.

Siła myślowych przekazów oładnęła nią całkowicie. Nie potrafiła tego powstrzymać. To tak, jakbyś chciał powstrzymać gołymi rękami fale oceanu. Uczucia, które do niej docierały były różne: śmiech zabawa, poczucie siły, nienawiść. Pomiedzy nimi znajdowały się również takie, które nie miały swego odpowiednika w ludzkim świecie.

Lecz wiedziała dokładnie, co ten stwór chciał jej przekazać.

Na Boga!

- Billie!

W końcu udało jej się skupić uwagę na Mitchu. Na tym, który ją kochał. Jej własne uczucia do niego wyrosły jak potężny mur, o który rozbiły się fale emocjonalnego oceanu tamtego. Niektóre przeciekały, ale Billie już potrafiła je powstrzymać. Obcy stwór zrozumiał to. Przyływ się skończył.

- To... ten stwór... Mówił do mnie.

- Co powiedział? – wtrącił Wilks.

- Nie dba o nas więcej niż o obcych. Śledził nas aż tutaj, żeby zobaczyć nasz świat.

Zobaczyć czy jest tu coś do zabrania. Chce nas podbić.

- Nie napotka większego oporu, no nie? – żart Wilksa zabrzmiał gorzko.

- Planuje poczekać i pozwolić obcym zabić wszystkich ludzi. A kiedy wrócą żołnierze – zna ich plany – będzie czekał. Może z innymi ze swego gatunku. Żeby przejąć ziemię we władanie.

- Do diabła – zaklął Wilk. – Jeżeli nie jedno, to drugie. Z huraganu prosto w tornado. Cóż innego miał powiedzieć.

Wilks podłączył komory zgodnie z instrukcją. Statek zbliżał się do podprzestrzeni. Żadne z nich nie wiedziało jak długo będą lecieć. Gdzie wylądują i kiedy, tańcząc po Wstędze Einsteina. Nie obchodziło ich to.

Billie pomogła Wilksowi umieścić Mitcha w komorze. Sierżant odszedł, żeby sprawdzić swoją własną. Dziewczyna stanęła nad Buellerem i uśmiechała się do niego.

- W porządku?

- W porządku.

Byli zakłopotani. Billie westchnęła przeciągle i włączyła urządzenie. Pokrywa przesunęła się w dół i przywarła ściśle do brzegów. Mitch miał otwarte oczy i patrzył na Billie dopóki gaz nie przesłonił mu widoku. Ona patrzyła jak usypia, potem odwróciła się i ruszyła ku własnej komorze.

Wilks właśnie wchodził do swojej. Pomachał jej ręką.

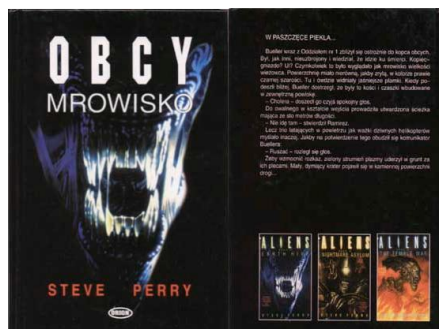
Tak. Przeszła w swym życiu wiele. Jedna zniszczona planeta, potem druga. Ciągłe jednak żyła. Nie tak długo jeszcze, ale wszystko zmieniało się tak szybko. Ma teraz Mitcha. Na pewno znajdzie się sposób na naprawienie go, na przywrócenie go do wcześniejszej postaci.

Nie, to nieprawda. Już był kimś więcej niż przedtem, chociaż jego ciało jest na wpół zniszczone. I były sposoby, żeby te zmiany utrwalić. A to było ważne.

Billie weszła do komory. Dotknęła przycisku. Patrzyła, jak pokrywa powoli się przesuwa. Najważniejsze, że nie jest już sama.

Wiedziała, że sen jaki za chwilę przyjdzie uspokoi ją. Nie będzie śniła o przeszłości i potworach. Może raczej o przyszłości, jakakolwiek by nie była. Jak na razie szło im całkiem nieźle.

Billie uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

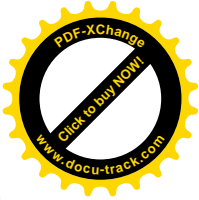


OBCY: AZYL

(„Zajawka” następnej części umieszczona na końcu książki)

1.

Na zewnątrz, w śmiertelnej pustce nie było dźwięków. Lecz w środku statku kierowanego przez roboty zawibrowały silniki grawitacyjne. Rozległ się niski odgłos, jakby ogromnego instrumentu muzycznego. Przenikał przez tkanki, kości, aż do głębin duszy.



Powoli otworzyły się pokrywy komór i uwolniły swych mieszkańców. Mechanizm, który ich usypiał, teraz przywołał ich z powrotem do życia.

Billie siedziała w kuchni i wpatrywała się w coś, co miało być kawą. Kolor był prawidłowy, ale to było wszystko. Smaku nie było prawie wcale – gorąca woda z jakąś dziwną zawiesiną. Patrzyła jak płyn stygnie, częściowo jeszcze przebywając w letargu po długim śnie. Jej własne ruchy były mocno niepewne. Czuła się jak w czasie grypy – nie możesz tego wyleczyć i musisz przeczekać. Kawa wibrowała. Na jej powierzchni tworzyły się małe pierścienie, które biegły od środka i rozbijały się o ścianki kubka.

Za plecami Billie rozległ się głos Wilksa:

- Smakuje jak gówno, co?

- Nie można tego zmienić – smętnie zauważyła dziewczyna. Nawet nie odwróciła się, by spojrzeć na Wilksa. Ten siedział obok niej i przyglądał się jej badawczo przez kilka sekund. Potem znowu przemówił.

- Dobrze się czujesz?

- Ja? Tak, w porządku. Dlaczego miałabym się źle czuć. Siedzę w bezałogowym statku, który leci Bóg wie dokąd, opuściłam Ziemię, którą opanowały potwory, przebywam w towarzystwie połowy androida i komandosa, który prawdopodobnie nie jest do końca normalny.

- Ejże, co to znaczy „nie do końca”? – zachnął się Wilks.

Billie zerknęła na niego. Nie mogła powstrzymać bolesnego grymasu, który skrzywił jej twarz.

- Jezus, Wilks.

- Hej, dzieciaku, weź się w garść. Sprawy nie stoją aż tak źle. Mamy siebie. Ty, ja i Bueller.

Na chwilę zapadło ciężkie milczenie. Po minucie komandos odezwał się ponownie.

- Idę przejrzeć komunikaty. Chcesz iść ze mną?

Billie podniosła się ze skrzyni, która zastępował jej krzesło. Popatrzyła na Wilksa. Blizny na jego twarzy były czymś, czego dotychczas prawie nie zauważała. Teraz jednak, w skąpym oświetleniu wydało jej się, że twarz komandosa nacechowana jest wszelkimi znamionami wściekłego okrucieństwa. Jakby jakiś demon bawił się czarodziejskim lustrem.

- Nie – powiedziała w końcu.

- Twoja sprawa – odwrócił się na pięcie.

Pociągnęła łyk obrzydliwego płynu. Zmarszczyła nos z niesmakiem.

- Poczekaj. Zmieniłam zamiar. Idę z tobą.

Wyglądało na to, że nie będzie zbyt wiele zajęć na tym statku. Odkąd zostali obudzeni, minął tydzień i nic nie wskazywało na to, że mają hamować. Urządzenia pokładowe były prymitywne, ale i tak potrafiłyby wykryć obecność ludzkich osiedli, gdyby takie znajdowało się w pobliżu. Napęd grawitacyjny był o wiele wydajniejszy niż stare silniki reakcyjne, lecz nawet jeżeli w pobliżu znajdował się jakiś system planetarny, To Wilks nie potrafił go wykryć. Były lepsze sposoby umierania niż głodowa śmierć na statku pędzącym do nikąd.

Billie powinna pójść i dowiedzieć się, czy Mitch nie chciałby iść z nimi. Mitch. Ciągłe ją to dręczyło. Tak, kochała go, ale czy kochała tę puszkę z robakami, którą okazał się być? No może nie dokładnie z robakami, ale to, co androidy miały zainstalowane wewnątrz swych ciał, mocno przypominało długie dżdżownice. Kochała go i jednocześnie nienawidziła. Jak to możliwe, że tak krańcowo różne uczucia można żywić do tej samej osoby? Może konowały w szpitalu, którzy poświęcili jej przypadkowi tyle lat, mieli rację? Może jest obłąkana?

Statek był ogromny, a większość jego przestrzeni przeznaczono na magazyny. Tak naprawdę, to jeszcze nie zdołali obejść wszystkich zakamarków. Billie przypuszczała, że



zostaną tu jeszcze długo, miała co do tego mocne podejrzenia, ale nie obchodziło ją to. Nie była jeszcze wystarczająco znudzona. Po co sobie zawracać głowę? Kto dba o jakieś gówno?

Kabina sterownicza była maleńka, ledwo wystarczała na dwie osoby. Projektanci zostawili miejsce dla technika, na wypadek jakiejś naprawy. Od początku swego istnienia statek sterowany był przez komputer i kilka robotów. Ekran monitora przekazującego komunikaty był pusty z wyjątkiem biegnących z góry na dół kolumn zapisanych w języku maszynowym.

- Czas na pokazy – odezwał się Wilks. Nie uśmiechał się jednak.

Człowiek wyglądający jak Albert Einstein w wieku około sześćdziesięciu lat powiedział:

- Mamy sygnał? Mamy połączenie. W porządku. Słuchajcie wszyscy, jeżeli gdzieś tam jesteście. Tu Herman Koch z Charlotte. Nie mamy żywności, prawie nie mamy też wody. Jesteśmy opanowani przez te przekłete potwory, które zabijają, albo porywają wszystkich wokoło! Zostało nas tylko dwudziestka!

Mężczyzna zniknął i nagle pojawiło się inne miejsce. Na zewnątrz panował jasny słoneczny dzień. Wokół kwitły wiosenne kwiaty, jasnozielone liście okrywały drzewa. Jednak coś niesamowicie okropnego niszczyło tę sielankową scenerię:

Jeden z obcych taszczył w swych łapach kobietę. Niósł ją jak człowiek niosący małego pieska. Potwór był wysoki na około trzy metry. Światło migotało na jego czarnym zewnętrznym szkielecie. Głowę miał w kształcie jakiegoś dziwnie zmutowanego banana, a cała postać przypominała groteskową krzyżówkę insekta z jaszczurką. Z pleców sterczały mu kościste wyrostki, jak zewnętrzne żebra, po trzy pary z każdej strony. Szedł wyprostowany na dwóch nogach, co wydawało się prawie niemożliwe przy jego budowie. Z tyłu wił się długi, umięśniony ogon.

Pocisk odbił się od głowy potwora, nie czyniąc mu więcej krzywdy niż uderzenie gumowej kulki o ulicę z plastekretu. Obcy odwrócił się i popatrzył w stronę niewidocznych strzelców.

- Celuj w kobietę! – ktoś krzyknął. – Zastrzel Jannę!

Zanim bestia zdołała uciec ze swą zdobyczą, zabrzmiały jeszcze trzy strzały. Pierwszy chybił, drugi trafił w pierś potwora i rozpląszczył się na naturalnej zbroi. Trzecia kula trafiła kobietę tuż nad lewym okiem.

- Dzięki Bogu! – rozległ się głos niewidocznej osoby.

Obcy wyczuł, że wydarzyło się coś niedobrego. Podniósł kobietę i trzymał ją w wyciągniętych przed siebie łapach. Kręcił głową na wszystkie strony, jakby badał swoją ofiarę. Potem popatrzył na strzelców. Cisnął na ziemię martwą lub umierającą kobietę, jakby była niepotrzebnym już śmieciem. Zaczął biec w kierunku zabójców jego zdobyczy. Wydawał przy tym głośny syk...

Teraz była to szkolna klasa. Rzędy ciemnych ekranów komputerowych terminali. Jedyne światło padało od strony rozbitego okna. Na podłodze leżało ludzkie ciało. Było częściowo zjedzone. Reszta przypominała krwawą miazgę. Rozkładające się tkanki przyciągnęły mrówki i innych małych padlinożerców. Resztką ciała była zbyt mała, by określić płeć ofiary. Nad ciałem, na ścianie półmetrowe litery głosiły: DARWIN ESTIS KORECTO.

Darwin miał rację.

Czy to leżąca na podłodze osoba napisała te słowa jako ostatnie przesłanie? Lub może ktoś był tu później, zobaczył co się wydarzyło, poszukał wyjaśnienia, zanim nie przyszły stworzenia stojące teraz na szczycie łańcucha pokarmowego? Słowa, jak te, miały swą wymowę, ale w dżungli miecz, zęby i pazury były potężniejsze niż pióro. Zawsze...

Młody mężczyzna, może dwudziestopięcioletni, siedział w kościele we frontowej ławce. Religia nie była popularna w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ale ciągle były jeszcze miejsca



do modlitwy. Delikatny blask spod krzyża zawieszonego nad ołtarzem padał na młodego człowieka. Ten siedział w pierwszym rzędzie ławek, w pustym kościele. Oczy miał przymknięte i modlił się głośno.

- ...I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego – mówił. – Bo Twoje jest królestwo, potęga i chwała na wieki. Amen.

Prawie bez chwili wytchnienia młodzieniec ponownie zaczął monotonnym głosem:

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Mroczny cień padł nagle na ścianę przy końcu rzędu ławek. - ...przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Cień rósł.

- ...jako w niebie, tak i na Ziemi...

Rozległo się głośne szuranie po posadzce. Lecz mężczyzna nie poruszył się, jakby nie słyszał.

- ...chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Obcy stanął nad modlącym się człowiekiem, Przejrzysta ślina ciekła z rozwartych szczęk. Wargi odsłoniły ostre zęby. Paszcza otworzyła się powoli i ukazała drugi komplet mniejszych zębów, które przypominały szpony.

- ...i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego...

Wewnętrzne zęby zawieszono były jakby na oślizłej, postrzępionej tyczce. Wystrzeliły nagle z paszczy z oszalamiającą siłą i szybkością. Wyrwały dziurę w szczycie głowy mężczyzny, jakby jego czaszka nie była grubsza i twardsza niż mokry papier. Mózg i krew trysnęły w górę. Oczy modlącego się otworzyły się w ostatnim zdumieniu, a usta zdołały jeszcze wyszeptać:

- Boże!

Potwór wyciągnął szponiaste łapy i wyrwał swą ofiarę z ławki. Pazury rozerwały tkanki i dotarły do serca, które nie wiedziało, że jest już martwe.

Obcy i jego zdobycz zniknęli z ekranu, na którym pozostało trochę krwi i strzępki szarej substancji na ławce. Wnętrze kościoła stało puste i ciche.

Bóg, jak się wydawało, nie zbawił nas ode złego.

Wilks wychylił się do tyłu w fotelu i patrzył ponuro na pusty kościół.

- Automatyczna kamera – odezwał się. – Prawdopodobnie zainstalowana z powodu złodziei. Ciekawe, że jej sygnał dotarł tak daleko.

Z oczu Billie stojącej obok ciekły łzy.

- Wilks!

- Zdziwiające, jak ludzie potrafią przysyłać wiadomości. Rzeczywiście potrzebują pomocy. A może to jest już tylko nagrobek? No wiesz, sygnały mogą krążyć w przestrzeni przez wieczność. Nieśmiertelne. Może pomyśleli, że ktoś, o milion lat świetlnych od Ziemi, przechwyci je i zwróci przez chwilę uwagę. Rozumiesz, chrupiąc prażoną kukurydzę, przyglądasz się zagładzie ludzkości.

Billie wstała.

- Zamierzam zobaczyć się z Mitchem – powiedziała.

- Ucałuj go ode mnie – rzucił Wilks.

Billie zeszytniała. Spozrzegł jej reakcję i pomyślał o przeprosinach, ale nic nie powiedział. Pieprzyć to. Nieważne.

Wilks przeszukiwał dalej komunikaty, oczekując czegoś innego, ale wszystko wyglądało podobnie. Śmierć. Zniszczenie. Ciała porzucane na ulicach. Zwierzęta żywiące się trupami. Zgraja psów walcząca o ludzkie ramię. Nie było dźwięku. Obraz pochodził pewnie z kamery nagrywającej uliczny ruch, ale łatwo było się domyśleć, że warczą i



szczekają na siebie. Ramię było napuchnięte i sinobiałe. Pewnie leżało długo na słońcu. Ktokolwiek był właścicielem, nie musi się już pewnie o nie martwić. Z pewnością już nie dba o to, że psy się o nie biją. Teraz było tylko padliną.

Wyłączył w końcu obrazy z Ziemi. To już tylko historia. Wszystko, na co patrzył, już się wydarzyło, skończyło.

Ponownie zaczął bawić się przeglądaniem. Szukał informacji dokąd zmierza statek. Ich sytuacja była nieciekawa – statek został zaprojektowany tak, że nie mógł przewozić pasażerów. Wilks potrafił uruchomić kilka programów i dowiedzieć się z ekranu paru rzeczy. Statek został wysłany z powodu obcych na Ziemi. Był to stary trup, połatany drutem i modlitwą o utrzymanie się przez jakiś czas w całości. Po tym, jak Wilks zobaczył tego faceta w kościele, nie czuł szacunku do modlitwy. Nie znaczyło to, że odczuwał go kiedykolwiek.

Statek wiedział, dokąd leci, ale to niewiele pomogło komandosowi. Musiała to być planeta lub stacja kosmiczna gdzieś tam, w przestrzeni. Około dwustu milionów kilometrów przed nimi znajdowało się jakieś słońce klasy G, ale nie potrafił dostrzec żadnych satelitów. Musiały tam być, bo w przeciwnym razie komory hipersnu nie uwolniłyby ich.

:Mogło być jakieś uszkodzenie, dupku – zabrzączał cichy głos w jego głowie. – Możecie wszyscy umrzeć.”

„Pieprzyć to – odpowiedział Wilks głosowi. – Mam interesy do załatwienia przed śmiercią”.

„Myślisz, że Wszechświat zwróci uwagę na twoje interesy?”

„Odpieprz się, kolego. Ty i ja jedziemy na tym samym wózku”.

Odpowiedział mu szydery śmiech.

2.

Mitch spoczywał na wózku, który zmajstrowali dla niego, i wyglądało to jakby normalnie siedział. Biorąc pod uwagę, że poniżej talii nie pozostało nic, prawdziwe siedzenie nie było możliwe. Kończył się pośrodku, niemal dokładnie pół człowieka – pół androida, zaklajstrowanego medyczna pianką. Sam naprawił uszkodzenia układu krążenia. Utworzył nowe połączenia i jego krwioobieg był zamkniętym systemem. Druga jego połowa została na planecie obcych, oderwana przez rozwścieżonego potwora broniącego swego gniazda. Ten obcy został zabity, a pozostałe prawdopodobnie wyparowały w atomowych eksplozjach, które przygotował Wilks, jako pożegnalny podarunek.

Człowiek rozerwany jak Mitch zmarłby na tej diabelskiej planecie od szoku i utraty krwi. Androidy były lepiej skonstruowane.

Usłyszał, gdy wchodziła. Siedział w kabinie stworzonej dla napraw komputera. Była mniejsza niż pokój, w którym siedział Wilks. Usłyszał ją i miał nadzieję, że to nie ona.

- Mitch?

Potrząsnął głową.

- Nie mogę wejść do systemu komputera – powiedział – kod dostępu do obszaru nawigacyjnego jest sześćdziesięciocyfrowy i na dodatek jeszcze zakodowany przy użyciu kolejnych czterdziestu cyfr. Żeby się tam wdrzeć, trzeba wieczności. Ale, ale. Gdzie są inne statki? Opuszczaliśmy Ziemię wraz z całą armadą. Powinni tu gdzieś być, a nie ma ich. Jesteśmy sami. W tym nie ma żadnego sensu.

Stała obok jego wózka. Z trudem powstrzymała się od pogładzenia go po czuprynie.

- Wszystko w porządku...

- nie, nie wszystko w porządku! Nie wiemy gdzie jesteśmy, dokąd lecimy, czy w ogóle przeżyjemy! Muszę, taka jest moja rola jako... - Odjechał w tył. Ponownie potrząsnął głową.

Billie chciało się krzyżeć. To co zrobiła w ostatnim tygodniu, znaczyło więcej niż całe życie. Zakochała się w tym androidzie. Co gorsze, on zakochał się w niej i miał z tym więcej



problemów niż ona. Kiedy wchodzili do hipersnu, zaakceptowała to, zo się wydarzyło. Wierzyła, że jakoś to będzie. Lecz kiedy się obudzili, coś się zmieniło. Coś w nim. I coś w niej samej.

Nie zauważyła, że jest jedną z tych osób, które obnoszą swą nienawiść jak włóczęgę i dźgając każdego, kto się z nimi nie zgadza. Zawsze była tolerancyjna. Człowiek jest człowiekiem, nieważne czy urodziła go kobieta, czy wyszedł ze sztucznej macicy, czy też zrobiono go w fabryce androidów. Nieważne skąd pochodzisz, ale dokąd zmierzasz. Poświęcanie czasu na spoglądanie wstecz nie miało dla niej sensu. Ciągłe to powtarzała. A androidy były ludźmi.

Oczywiście, ale czy chciałyby, żeby jej siostra poślubiła któregoś?

Albo, żeby ktoś taki został jej mężem?

Jezus!

Nie powiedział jej kim jest i to było jego zbrodnią. Dowiedziała się tego, gdy zostali kochankami i gdy już zapadł jej głęboko w serce. To bolało. Nigdy nie spodziewała się, że może ją spotkać coś takiego. Zdziwiałe, ale tak było. A teraz?

Chociaż z drugiej strony nadal znaczył dla niej bardzo dużo. w sprzyjających warunkach Mitch mógł znowu być cały. Mógł być jak nowy. Mieć perfekcyjnie zaprojektowane mięśnie, delikatną skórę i wszystko inne na swoim miejscu...

Dosyć!

Coś jeszcze tkwiło w tym wszystkim. Sama nie była pewna, co. Mężczyzna – sztuczny czy nie – był czymś nowym w jej życiu. Mężczyzna, którego pokochała, zmienił ją. Coś zmieniło się w jej wnętrzu. Chciała to zrozumieć, chciała dać mu wszystko, czego będzie od niej potrzebował, ale nagle stał się dla niej kimś innym – zimnym, przestraszonym człowiekiem, który nie pozwala jej się zbliżyć. Kimś, kto nie chce słuchać o jej uczuciach, o gniewie i potrzebach. Kimś, kto ukrył się za murem i zakrył rękami uszy.

Ciągle jednak próbowała.

- Mitch, posłuchaj. Ja... - Wyciągnęła rękę i tym razem dotknęła jego włosów. Były tak naturalne jak własne, jakby wyrosły ze skóry człowieka. Tylko pod mikroskopem można było zauważyć różnicę.

- Nic nie mów, Billie.

Poczuła jakby od tych słów nadleciał mroźny podmuch. Tak zimny, że aż zaparło jej dech w piersi. Jak mógł tak zrobić? Nie chce ze mną nawet rozmawiać?

- Billie, proszę... Spróbuj zrozumieć. Nie... nie chciałem się zranić. To... ja nie... nie mogłem. Przykro mi...

- Jestem zmęczona – powiedziała Billie. – Zamierzam trochę odpocząć.

Wyszła tak szybko, jak tylko pozwalała na to sztuczna grawitacja. Problem polegał na tym, że nikt nie uważał za konieczne włączanie ciężenia w statek kierowanym przez roboty. Jednak Wilks uruchomił ten system, jak wiele innych, gdy tylko weszli na pokład. Teraz mogło się zdarzyć, że statek rozleci się od silniejszego kichnięcia.